

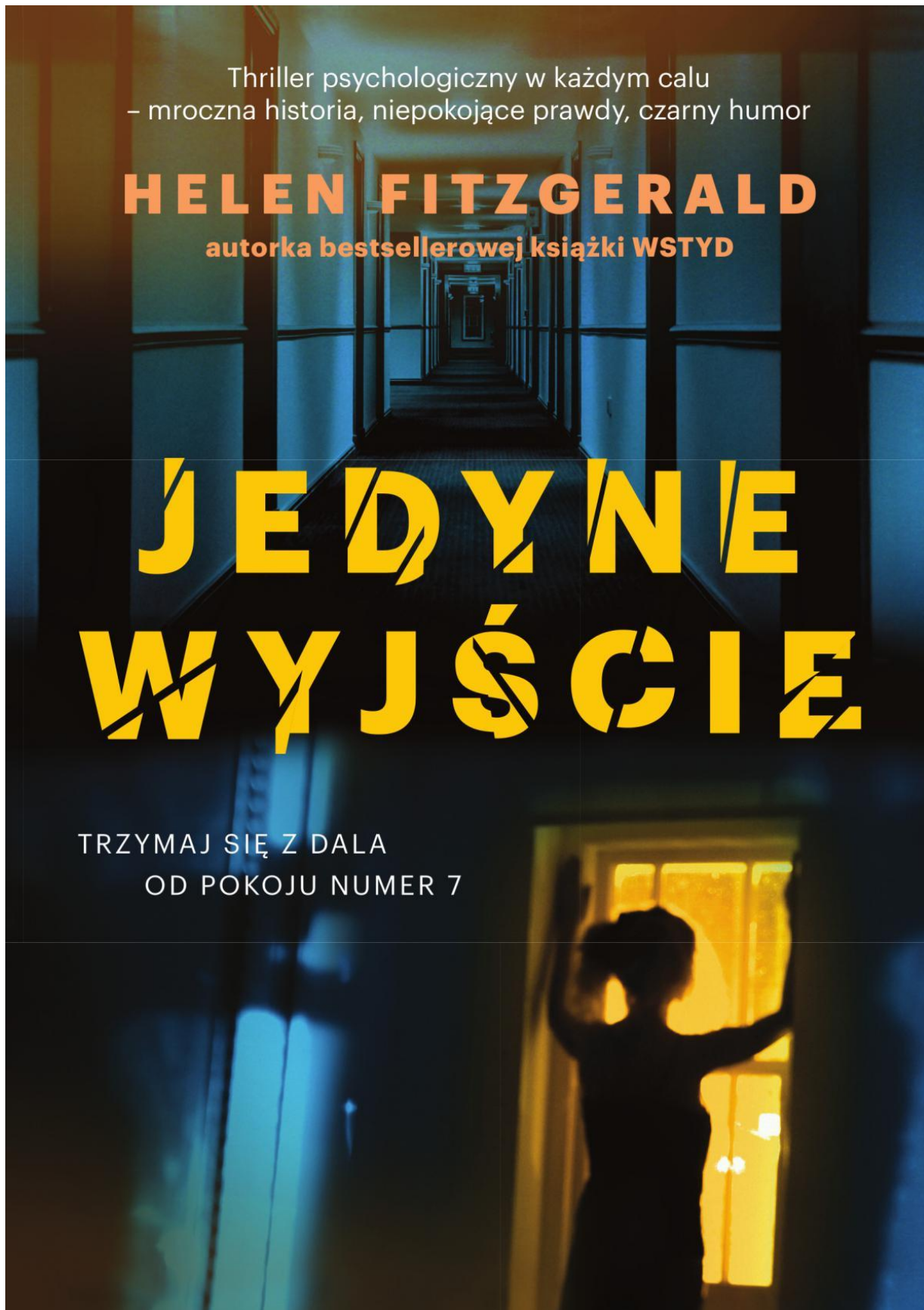
Thriller psychologiczny w każdym calu
– mroczna historia, niepokojące prawdy, czarny humor

HELEN FITZGERALD

autorka bestsellerowej książki **WSTYD**

JEDYNE WYJŚCIE

TRZYMAJ SIĘ Z DAŁA
OD POKOJU NUMER 7



HELEN FITZGERALD

JEDYNE WYJŚCIE

Z języka angielskiego przełożył

MARIUSZ GADEK



Tytuł oryginału: *The Exit*

Copyright © by Helen FitzGerald, 2015

First published in 2015 by Faber & Faber Ltd

Copyright for the Polish edition © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o.,
2016

ul. Marynarska 15, 02-674 Warszawa

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Tłumaczenie: Mariusz Gądek

Redakcja: Renata Bubrowiecka

Korekta: Łukasz Mackiewicz/eKorekta24.pl, Dorota Ring/Melanż

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki: Magdalena Palej

Zdjęcia na okładce: Joana Kruse/Arcangel Images, Robert Jones/Arcangel
Images

ISBN: 978-83-8053-157-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo

Spis treści

Cztery tygodnie przed śmiercią

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Trzy tygodnie przed śmiercią

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Jeden tydzień przed śmiercią

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Śmierć

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Podziękowania

Rozmowa z Helen FitzGerald

Przypisy

Dla Serge'a

Cztery tygodnie przed śmiercią

Rozdział 1

Nie dostałam tej pracy, ponieważ nie wyglądałam dostatecznie radośnie. Kierownik jednak, dwudziestosiedmiolatek ciągle mający problemy z trądzikiem, nie przyznał tego wprost. Oznajmił, że brakuje mi zapału. Gdy zapytał, gdzie widzę się za pięć lat, nie mogłam przecież odrzec, że w McDonalddie. „Chciałabym pomieszkać przez jakiś czas w Kostaryce” – brzmiała moja odpowiedź. Mama, gdy się o tym dowiedziała, zwołała rodzinną naradę. Miała się odbyć o siedemnastej trzydzieści w jadalni i wymagała oczywiście porządku obrad. Czyli że zacznie się tak samo jak poprzednia. Mama tym swoim głębokim, poważnym tonem oświadczy: „Punkty do dyskusji. Jeden: wyciąg z karty kredytowej Catherine. Dwa: realistyczne plany Catherine co do jej przyszłej kariery. Trzy: godziny, o których Catherine chodzi spać, i jej stosunek do obowiązków domowych. Cztery: przyszłe miejsce zamieszkania Catherine... Chciałabyś coś dodać, zanim zaczniemy? – I nie czekając nawet na odpowiedź: – Dobrze, w takim razie...”.

Chrzanić to. Zdobędę pracę przed wpół do szóstej.

Mama męczyła mnie, żebym spróbowała pozyskać jedyną posadę, która wymagała mniejszych umiejętności niż robota w McDonalddie, czyli posadę pomocy pielęgniarki w Domu Opieki Zielona Przystań. Znała kogoś, kto znał tam kogoś, i w ten sposób załatwiła mi numer telefonu. Musiałam tylko zachowywać się jak człowiek, być gotowa zacząć pracę natychmiast i stawić się o wpół do czwartej w Clydebank na rozmowę kwalifikacyjną.

Taksówkarz (punkt piąty rodzinnej narady: wydatki Catherine) wysadził mnie przed wysoką żelazną bramą strzegącą upiornej kamiennej rezydencji. Spodziewałam się niemal, że blisko trzymetrowe drzwi otworzy mi jakiś starszy kamerdyner. Zamiast niego jednak pojawił się Marcus Baird, najwyżej trzydziestoletni właściciel całej tej instytucji. Zaprowadził mnie do biura z frontu budynku i mówił głównie o sobie. W pomieszczeniu znajdowały się dwa lustra: jedno, nowoczesne i owalne, naprzeciwko biurka, przy którym siedział, i drugie, ozdobne, z pomalowaną na pomarańczowo ramą, oparte o ścianę po jego prawej ręce. Marcus nieustająco sprawdzał w obu swój wygląd. Czy grzywka dostatecznie mu sterczy? Odrobinę ją zwichrzył i pociągnął do tyłu. Tak, teraz w porządku. Czy dobrze zrobił, odpinając jeden guzik koszuli? Może lepiej dwa? Nie, zdecydowanie jeden. Jak prezentuje się ze skrzyżowanymi nogami? Dobrze, nawet świetnie. Ten facet wypełził prosto z horroru klasy B: pasowałby do roli idealnego chłopaka blond gwiazdy filmu, którą jednak zdradzałby z jej najlepszą przyjaciółką i zginąłby drugi w kolejności (oczywiście tuż po lasce, z którą się puścił). Jak wyjaśnił mi Marcus, ta posiadłość należała do jego rodziny od wielu pokoleń. To jego matka przekształciła ją w pełen troski ośrodek opiekuńczy dla osób starszych

i umierających.

– To przepiękne miejsce. – Przywołałam na twarz uśmiech, jaki mam zwykle po trzecim kieliszku wódki. Gdybyśmy byli teraz w barze, on dawałby mi swój numer telefonu, a ja mówiłabym: „To nie twojego numeru telefonu teraz potrzebuję”.

– Masz jakieś doświadczenie w kontaktach ze starszymi ludźmi?

– Moja mama ma prawie pięćdziesiąt lat – odparłam.

Zatrudnił mnie, bo jestem ładna. Nie mam problemu z przyznaniem tego. Nienawidzę osób, które mówią: „Ale jestem brzydka” albo „Jestem taka gruba”, gdy wcale takie nie są. Ja jestem szczupła i wysportowana. Mam blond włosy, niebieskie oczy i, niech mnie diabli, jestem cholernie śliczna. Spytajcie siedmiu chłopaków, z którymi chodziłam nie dłużej niż sześć tygodni: każdy z nich to potwierdzi. Nie pytajcie tylko tych trzech, z którymi umawiałam się dłużej niż sześć tygodni (ale nigdy nie dłużej niż trzy miesiące), bo oni powiedzą wam, że jestem pustą egoistką.

Marcus wręczył mi kilka dokumentów do wypełnienia, zanim będę mogła zacząć jutro pracę, a ja pokazałam mu zaświadczenie o niekaralności, które mama kazała mi wyrobić sobie przed dwoma tygodniami. Na szczęście nie przyłapano mnie w wieku dwunastu lat, gdy wpadłam w przedsięwzięty ciąg kradzieży w sklepach w East Kilbride. Potem zaproponował, że oprowadzi mnie po ośrodku, ale odparłam, że się śpieszę. Nie miałam ochoty oglądać starych ludzi, jeśli nikt mi za to nie płacił. Nie lubiłam ich. Wpychali się w kolejki do autobusów, jeździli powoli samochodami, powoli pakowali zakupy i powoli za nie płacili, narażali wszystkich na widok swoich starych twarzy, mieli problemy z płaceniem za benzynę, opowiadali nudne historie, cuchnęli sikami i zabierali innym przestrzeń do życia. Tak, jestem ageistką i dobrze mi z tym. Nie należę do tych miłych młodych osób, które pomagają przejść staruszce na drugą stronę ulicy. Taki za to jest mój kumpel Paul. On nawet większość wolnego czasu spędza na kartach ze swoim dziadkiem i nagrywaniu jego wspomnień z czasów wojny (nie jestem jednak pewna z której). Ja unikam takich ludzi, jakby starość była zaraźliwą chorobą. Uważam, że starcy nie powinni w ogóle zadawać się z młodymi. Powinni siedzieć w ukryciu. Domyślałam się, że właśnie to niektórzy z nich robili w Domu Opieki Zielona Przystań, a ja miałam teraz codziennie stykać się z nimi za sześć funtów i dziewiętnaście pensów za godzinę.

Na rodzinną naradę spóźniłam się dziesięć minut (punkt szósty: problemy Catherine z punktualnością) i jak się spodziewałam, mama była z tego powodu wściekła. Siedziała w jadalni na końcu stołu z miną zdającą się mówić: „Jestem bardzo rozczarowana twoją postawą”. Zająłam miejsce naprzeciwko niej i oznajmiłam, że dostałam pracę w miejscu, które mi poleciła, i dzięki temu będę mogła spłacić moją kartę kredytową, a może nawet zdobyć trochę doświadczenia,

które przyda mi się podczas studiów na kierunku praca socjalna.

Chciałam studiować pracę socjalną równie mocno, jak spędzić resztę życia w tym zapomnianym przez Boga kraju. Wiedziałam jednak, że to ucieszy mamę znacznie bardziej niż mój ostatni pomysł: organizowanie wytwornych imprez za horrendalne stawki. Wciąż pamiętam zażenowanie malujące się na jej twarzy, gdy powiedziałam, że złożyłam podanie na kurs *event managera* do trzech, dość zresztą marnych, college'ów. Niewiele brakowało, żeby zemdłała. Dlaczego nie złożyłam podania na jakiś inny kierunek: psychologię, angielski, prawo, nauki humanistyczne, ochronę środowiska lub cokolwiek, co – na miłość boską – miało jakieś znaczenie? „Chcesz spędzić całe życie na załatwianiu rzeźb z lodu na przyjęcia urodzinowe dla jakichś wrednych szesnastolatek?” „Rzeźby z lodu wyszły z mody pod koniec lat dziewięćdziesiątych” – przewróciłam oczami. Teraz mama starała się opanować ekscytację: „Praca socjalna! Co za znakomity pomysł!”. Potrafiłam odczytać kryjące się za tym myśli: „Może jednak moja Catherine to uczciwa i porządna osoba?”. Może nawet urosłam w jej oczach do rangi jakiejś świeckiej Matki Teresy.

Narada skończyła się minutę przed szóstą. „Dostałam robotę. Będę pracować ze staruchami” – napisałam na Facebooku. Mary-Anne, Felicity, Greg, Hells, Frankie, Paul, Dante, Vannie i Rebecca polubili to. Gina skomentowała: „Fuj ha ha :o”. Craig (moja ostatnia zdobycz) napisał: „Hej! Gratulacje!”. W jednym komentarzu użył dwóch wykrzykników. Zmienił swoje zdjęcie profilowe na wyraźnie przerobioną Photoshopem fotkę, na której wyglądał jak nieco prześwietlony Tom Cruise, podczas gdy w prawdziwym życiu wiele brakowało mu nawet do niedoświetlonego Cruise'a. Zmienił też swój status na „w związku”. Usunęłam go więc ze swoich znajomych i poszłam świętować.

Mama nie przepada za moimi przyjaciółmi. I chyba właśnie z tego powodu się z nimi zadaję. W szkole obracałam się w towarzystwie lasek, które nosiły zbyt mocny makijaż, a na stołówce okupowały stolik najpopularniejszych dziewczyn. W wieku dwunastu lat zaczęłyśmy pić i palić, przed piętnastymi urodzinami (najpóźniej) wszystkie straciłyśmy dziewictwo i nosiłyśmy ciuchy z Topshopu, oczywiście pod warunkiem że zyskały wcześniej aprobatę Giny. Na studiach nie miałam już specjalnego wyboru, jeśli chodzi o przyjaciółki. Innego rodzaju dziewczyn tam po prostu nie było. Koleżanki mamy z kolei były poważne, spełnione w życiu zawodowym i interesujące (ziew). Ich wieczorne wyjścia i przyjęcia pełne były głośnych dyskusji i porozumiewawczych uśmieszków. Rzadko kiedy naprawdę się upijały, a potem nigdy nie miały żadnych ciekawych historii do opowiedzenia.

Wśród przyjaciół każdej z nas istnieją jednak dwa wyjątki. W przypadku mamy to Antonio, który dorastał na tej samej ulicy co ona. Narzekają nawzajem na swoje dzieci (Zgadza się, mamó, słyszałam: „Straszna z niej hedonistka! Boję się,

że nigdy nie będzie traktować niczego poważnie”). Antonio pociesza ją: „Myślisz, że masz źle? W ostatni weekend John nie chciał pojechać do swojej matki i na trzy godziny zamknął się w łazience”. Antonio odszedł od żony, ponieważ wreszcie zrozumiał, że jest gejem, ale na razie nie udało mu się znaleźć chłopaka. Mam wrażenie, że mama potrafi śmiać się tylko w jego towarzystwie.

W moim przypadku takim wyjątkiem jest Paul. Poznałam go na zajęciach aktywizujących, na które mama bez przerwy wysyłała mnie w dzieciństwie. Tym razem były to warsztaty teatralne w Citizens Theatre w Glasgow. Gdy byliśmy młodszy, Paul odgrywał rolę geeka, któremu mogłam powiedzieć wszystko, z czym kryłam się przed moimi głupimi przyjaciółkami. Teraz jest luzackim studentem medycyny, o którym nieco zbyt często opowiadam przyjaciółkom, lecz nigdy im go nie przedstawiłam. Tata Paula jest właścicielem ubojni, co mnie wydaje się fascynujące, lecz Paul uważa, że to obrzydliwe i krępujące. Miał osiem lat, gdy po raz pierwszy zobaczył w wielkiej hali martwe świnie zwisające z haków. Wybiegł stamtąd z wrzaskiem i płakał godzinami, a potem już nigdy nie zjadł mięsa, co ogromnie martwiło jego ojca. Paul był poważnym chłopcem i moja mama podziwiała go tak bardzo, że żałowałam, iż nie lubię go w takim samym stopniu jak ona. Podobnie jak mama Paul nie akceptował reszty moich przyjaciół i nieustannie szydził ze mnie, że się z nimi zadaję: „Pozujesz na tępą, wredną laskę, ale to do ciebie nie pasuje”. Czasami wciągał mnie podstępnie w jakąś poważną rozmowę (na przykład na temat kary śmierci) i wykrzykiwał: „Ha! Widzisz, to jednak cię obchodzi!”. Kiedy dostałam dyplom ukończenia liceum (w sumie pięć piątek, ale to wcale nie znaczy, że Szekspir i algebra są interesujące, a E News! i Fashion TV to nuda), zrobił jego ksero, oprawił je w ramkę z podpisem: „To dowód na to, że panna C. Mann nie jest taką kretynką, za jaką się podaje”. Zawsze patrzył z góry na moich znajomych i przedmioty na moich studiach, ale z jakiegoś powodu mnie samej nigdy tak nie traktował.

Zaczełam się zastanawiać, z kim się umówić, żeby uczcić zdobycie pracy. Z Paułem na drinka? Nie, zbliżały się jego egzaminy, więc przez kilka tygodni będzie nieosiągalny. A gdyby nawet zdarzyło mu się oderwać od nauki, to pewnie zmusiłby mnie do gry w karty z jego dziadkiem, który ostatnio przeniósł się do specjalnie dla niego postawionej przybudówki. Paul zresztą bardzo by się ucieszył, jakby ta praca faktycznie coś znaczyła, jakby to był pierwszy i nieunikniony krok ku dojrzałości i odpowiedzialności. Ostatnie, czego mi było teraz potrzeba, to partyjka kart z jakimś staruszką i protekcyjną gratulację ze strony jego pokreconego wnuczka. Dzisiaj wybieram więc Ginę i spółkę.

Dziewczyny zareagowały na moją nową pracę z takim samym obrzydzeniem jak ja.

– Będziesz musiała podcierać im tyłki!

O dziesiątej byliśmy już pijane, do dwunastej tańczyliśmy w klubie, około

pierwszej zaczęłyśmy się obściskować z nieznajomymi, do domu wróciłyśmy o czwartej.

Nazajutrz rano zjawiłam się w pracy z kacem oraz wymyślonym zawczasu kłamstwem.

– Przepraszam, ale dwa pierwsze autobusy w ogóle się nie zatrzymały na przystanku!

Marcus Baird nie cierpiał cholernych autobusów, za to mnie wprost uwielbiał.

– Biedactwo. Pociągi są bardziej niezawodne. Wejdz do środka!

Następnie zabrał mnie do gabinetu i zaczął wprowadzać w moje obowiązki. Wręczył mi teczkę z informacjami na temat rachunku bankowego (szybkie zasunięcie i rozsunięcie zamka skórzanej kurtki), podanie dotyczące kursu pierwszej pomocy (poprawienie grzywki w owalnym lustrze), uniform, rozmiar dziesięć, składający się z ohydnych czarnych spodni, jeszcze ohydniejszej morelowej bluzki, tenisówek, rozmiar sześć, oraz plakietki z nazwiskiem (krótkie zerknięcie w owalne ozdobne lustro), wreszcie na koniec – z półuśmiechem i błyskiem w oku – dotknął bez żadnej wyraźnej potrzeby mojego ramienia. Pewnie w ciągu tygodnia spróbuje mnie przelecieć na jednym z dwóch biurków w swoim gabinecie. Podczas gdy ja próbowałam ustalić, czy Marcus mi się podoba, czy nie, on przedstawił mi zakres moich działań: miałam zapewniać pensjonariuszom opiekę, pomagać im w codziennej aktywności życiowej, a także pobudzać oraz podtrzymywać w nich poczucie godności.

– Wierz mi lub nie, ale to jest szczęśliwe miejsce w dużym stopniu także dzięki postawie personelu. Jakies pytania?

Chciałam zapytać o lunch – na przykład czy w pobliżu jest jakaś piekarnia. Mogłabym zabić za pasztecik z mięsem i pączka z czekoladą. Uznałam jednak, że jeśli mam się odezwać, powinnam zabrzmieć troskliwie i opiekuńczo, odparłam więc, że na razie nie mam żadnych pytań.

– Dzisiaj chcę, żebyś trochę się zaaklimatyzowała. Bez pośpiechu. Może najlepszym na to sposobem będzie poznanie Rose. Wiedziałaś, że istnieją różne typy demencji?

Odpowiedziałam, że nie. Nie dodałam jednak, że nic mnie to nie obchodzi.

– Rose to ciężki przypadek. Prześladowuje ją trauma, której doznała wiele lat temu, a teraz pojawia się i znika. Musimy stale mieć ją na oku. Chodź, Rose właśnie je śniadanie. Przedstawię was sobie.

Rozdział 2

10 lat

Nikt nie wierzy dziesięciolatce.

Nikt nie wierzył Rose, gdy mówiła, że nie jest głodna albo że ktoś niedługo umrze. Tak ją to rozwścieczyło, że napluła na farmera.

– Rose! Spójrz, co zro... Nie jestem żadnym farmerem. To ja, Marcus – powiedział ktoś, kto nie chciał uwierzyć dziesięciolatce.

Rose nie знаła nikogo o imieniu Marcus. Człowiek stojący nad jej stołem był farmerem i doprowadzał ją do furii.

– Nie przejmuj się imionami – oświadczył farmer. – Jedz swoją owsiankę.

– Już mówiłam, że nie jestem głodna. – Rose odepchnęła talerz w lewą stronę i skrzyżowała ramiona. – Jak mogłabym jeść, gdy Margie nie jest w stanie oddychać? Dlaczego mnie nie słuchacie? Musimy zabrać ją do lekarza, bo inaczej umrze!

– To nie jest Margie, tylko Catherine. Jest nowa. I wcale nie umrze. Proszę, jedna łyżka.

Gdyby ktoś zadał sobie choć trochę trudu, od razu by się zorientował, że Margie jest poważnie chora. Spójrzcie tylko na nią! Jest szara jak niebo nad Glasgow. Nie ma szans, żeby dotarła do obory. O północy po raz ostatni zrobiła sobie inhalację z mieszanki ziołowej Potter's na astmę i na chwilę to jej pomogło, ale od trzeciej w nocy z trudem łapała oddech.

– Proszę, zabierzcie ją do lekarza. Ona potrzebuje tylko zastrzyku.

– Znowu cofnęłaś się w czasie. – Farmer postukał się w klatkę piersiową. – Co tu jest napisane?

Rose przyjrzała mu się uważnie. Miał około trzydziestu lat, ciemne włosy, wystające kości policzkowe, obcisłą szarą koszulę i zapiętą do połowy skórzaną kurtkę – dziwny strój jak na to miejsce. Ciągłe stukał się w plaketkę przypiętą do swojej klatki piersiowej.

– Marcus Baird – przeczytała na głos Rose.

– Otóż to, doskonale, jestem Marcus! A to Catherine, jest tu nowa.

Rose popatrzyła na stojącą w drzwiach dziewczynę: była młoda, ale nie tak młoda jak Margie.

82 lata

O jejku, jejku, to znów się wydarzyło. Rose wcale nie znajdowała się na

farmie, ale w domu opieki noszącym nazwę Zielona Przystań. Miała osiemdziesiąt dwa lata. To całkiem sporo. Ale wiecie co? Osiemdziesięciodwulatce też nikt nie wierzy.

Minęły już trzy lata od chwili, gdy Natalie Holland zapukała do jej drzwi z tak przesadnie radosnym uśmiechem, że Rose pomyślała, że to jakaś kolejna wariatka wciskająca ludziom wiarę w Jezusa.

– Proszę odejść. Nie mam ochoty iść do nieba. Wydaje mi się, że to strasznie nużące miejsce. – Rose zatrzasnęła drzwi.

Natalie ponownie zapukała, a potem uchyliła kłapkę na listy.

– Rose, nazywam się Natalie Holland. Jestem z opieki społecznej. Widzisz moją legitymację?

Przez szczelinę na listy kobieta wsunęła identyfikator ze zdjęciem.

– Zadzwoił do nas twój sąsiad, pan Buckland. Powiedział, że rozmawiał z tobą wczoraj w nocy, gdy szłaś do biura podróży Barrhead. Wybierasz się w podróż, Rose?

– Zastanawiałam się nad Marrakeszem. A co, to nielegalne?

– Nie, tylko... pan Buckland mówił...

– Pan Buckland wsadza nos w nie swoje sprawy.

– Powiedział, że byłaś w pizamie.

– Kłamie.

– Czyżby?

– To nie jego interes, ale miałam na sobie śpiochy.

– Dobrze, przyszedłam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Niby dlaczego? Nawet cię nie znam.

– Taką mam pracę, pomagam osobom starszym. Przyniosłam chleb bananowy z orzechami.

– Sama go upiekłaś? – Rose umierała z głodu.

– Nie, kupiłam w Peckham's.

Nigdy jeszcze nic, co kupiła w Peckham's, jej nie zaszkodziło, więc Rose otworzyła drzwi.

– Nastawię wodę, ale jeśli tylko spróbujesz mi coś sprzedać, a już zwłaszcza Jezusa, to rąbnę cię czajnikiem w łeb.

I tak oto pod postacią Natalie Holland w życie Rose wkroczyło Państwo. I choć Rose nie cierpiała pracy Natalie – miała ją sprawdzać, pilnować, kontrolować i opiekować się nią – to nie potrafiła nie lubić tej kobiety, która jak na czterdzieści pięć lat wyglądała dość młodo (była szczupła, nosiła ubrania w stylu vintage i krótkie czarne włosy niczym redaktorki w wydawnictwach), a zarazem emanowały z niej życzliwość i ciepło sześćdziesięcioletniej cioteczki.

Najwyraźniej też przed wizytą u Rose dobrze się przygotowała.

– Oooch, czy to jest to, co myślę? – Na stole leżał manuskrypt najnowszej książki Rose. – Jestem wielką, wielką fanką.

– Miałam właśnie iść na pocztę i wysłać ją do wydawcy. Ten moment zawsze mnie przeraża. Przyznajesz, że książka jest już skończona i zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

– Chcesz, żebym ją przeczytała przed wysłaniem?

Parząc herbatę, Rose zaczęła się szykować na zwyczajowe w takich sytuacjach okrzyki zachwyty („Jak na to wpadłaś?! Ależ to wielowarstwowe! Takie zabawne! Urocze! Smutne! Mój ulubiony fragment to... A mój ulubiony rysunek...”). Tymczasem, gdy Natalie skończyła czytać, pokręciła głową.

– Nie uwierzę w taką ściemę, Rose. To wydaje się niedokończone.

– Słucham? – Rose chwyciła manuskrypt i przekartkowała go. Kiedy skończyła pisać wczoraj w nocy – a może przedwczoraj? – miała poczucie, że to jej najlepsza książka. – Dlaczego?

– Billy, którego czasami nazywasz Willie, a czasami... hmm... Brett, tak, Brett, znika w połowie książki bez żadnego wyjaśnienia. Po prostu buch! – i go nie ma. A niektóre słowa wydają się zmyślane. Co to jest erawatura?

– Erawatura?

– Użyłaś tego słowa dwa razy. Spójrz. Czy to nie jest jakaś literówka? – Natalie wskazała wyraz.

– Ach, erawatura... Nie, nie, właśnie tak to się pisze.

„Pracownicy opieki społecznej – pomyślała Rose. – Jakie trzeba mieć wykształcenie, żeby dostać pracę w cholernej opiece społecznej?”

– Co to oznacza?

– To znaczy, to jak wtedy, gdy... Erawatura. To oznacza czuć... Poczekaj, przyniosę słownik. Gdzie to jest? Erawatura. Przeczytaj to zdanie na głos, dobrze? Użyj tego słowa w kontekście.

– Nie ma takiego słowa, Rose. A poza tym Tilly pali papierosy? Chyba nie jesteś do końca sobą. Popatrz na pralkę. Czemu przed włożeniem do niej ubrań nie wyjęłaś ich z koszyka?

Rose spojrzała na wypełniony brudnymi ubraniami wiklinowy koszyk wepchnięty do połowy w otwór pralki.

– Dziwne. Ja to zrobiłam?

– A któż by inny? A wiesz, która była godzina, gdy wybrałaś się wczoraj do biura podróży? Druga w nocy. Pan Buckland twierdzi, że często chodzisz gdzieś po nocach i zostawiasz drzwi frontowe otwarte na oścież. – Natalie poklepała manuskrypt. – Jesteś znakomitą pisarką, ale to jest w ogóle do ciebie niepodobne. Musimy więc się dowiedzieć, co jest z tobą nie tak, bo z pewnością coś ci dolega. Chcę cię zabrać do lekarza.

Do lekarza poszły na drugi dzień rano.

Rose wiedziała, jaki jest rok. Znała nazwisko obecnego premiera. Wiedziała, że jej mąż nie żyje. Wiedziała, że jej starsza córka Jane mieszka w Londynie, a jedyny syn Jane, Chris, całkiem niedaleko, w Gartmore. Wiedziała, że młodsza córka Elena przebywa w Kanadzie ze swoją partnerką Mary. Wiedziała też, że jej przerobiony z dawnych stajni dom znajduje się w Kelvindale. Ach, jej cudowny mały domek, kupiony za zaliczkę za książki numer pięć i sześć, schowany przy brukowanej uliczce na West Endzie, z niewielkim dziedzińcem zastawionym kwiatami i roślinami. Siedząc przy dużym, dębowym stole w kuchni, Rose mogła zaglądać do wszystkich trzynastu okien czynszówki z naprzeciwka. Patrzyła, jak ludzie jedzą i rozmawiają, wchodzą i wychodzą, jednym słowem – żyją. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż obserwowanie ludzi. Przy tym stole napisała prawie wszystkie swoje książki. Jak ona kochała ten dom. Nigdy nie mogłaby go zapomnieć. Zgadza się, doktorze, mój dom znajduje się w Kelvindale.

Ale odliczanie w dół od stu co siedem liczb okazało się dość trudne już przy osiemdziesięciu siedmiu... Nie, przy osiemdziesięciu sześciu, niech to szlag. A wskazówki, które narysowała na pustej tarczy zegara, wyszły zdecydowanie nieprawidłowo, kiedy już doktor Matthews jej to pokazał. Rose poczuła się nagle głupia i zagubiona. W samochodzie nie mogła przestać płakać. Ledwo słyszała, o co pyta ją Natalie.

– Co? Przepraszam.

– Twój wnuk wciąż nie odbiera. Masz w okolicy jakąś inną rodzinę? Nie chcę, żebyś została teraz sama.

Rose pokręciła głową.

– Przyjaciół?

– Barbara zmarła w zeszłym roku. Pamela pięć lat temu, na raka skóry. Nigdy nie myślałam, że jestem zupełnie samotna, a tu proszę.

– Wcale nie jesteś.

Natalie położyła rękę na kolanie Rose, co powinno wprawić ją w zakłopotanie, ale wcale tak się nie stało. Chwilę później zaparkowały na podjeździe przed jakimś domem na przedmieściach.

– Tym razem to ja zaparzę herbatę – zaproponowała Natalie. – Jeśli tylko obiecasz, że nie poskarżysz się mojemu szefowi na przekraczanie granic zawodowych i inne tego typu bzdety.

– Obiecuję. Ale zapomnę, że obiecałam.

– Nie szkodzi, zaryzykuję – roześmiała się Natalie.

Gdy wieczorem Natalie odwiozła ją do domu, Rose usiadła przy kuchennym stole i zrobiła coś, czego nie robiła od siedemnastego roku życia. Narysowała rzeczywistość, żeby mogła ją zapamiętać. Zaczęła to robić, gdy miała dziesięć lat, po śmierci Margie, a przestała, gdy poznała Vernona. W każdym z setek wykonanych przez nią rysunków – Margie zrywającej truskawki, Margie biegnącej w podskokach do obory dla krów, Margie grającej w kości, jedzącej lody i tulącej lalkę – Rose dorysowywała parę zielonych kaloszy, często ukrytych gdzieś w tle. Kalosze stanowiły rodzaj szyfru. Jeśli znajdowały się na rysunku, oznaczało to, że Rose uczestniczyła wraz z młodszą siostrą w przedstawionej scenie, że była jej naocznym świadkiem w prawdziwym życiu. Siedząc przy kuchennym stole, Rose rysowała teraz czterech synów Natalie jedzących obiad: Nathana, lat piętnaście, Frasera, lat jedenaście, Leo, lat dziewięć, i Joeya, lat trzy. Narysowała również zaskakująco poważnego, lecz świetnie do niej pasującego męża, narysowała makaron, sałatkę, chleb i wino. Narysowała też swoją nową przyjaciółkę, serdeczną i ciepłą Natalie. A w kącie kuchni parę zielonych kaloszy. Jeśli popatrzy na ten rysunek po jakimś czasie, będzie wiedziała, że zna to miejsce oraz tych ludzi. Kalosze świadczyły o tym, że tam była.

Rose schowała rysunek do kuferka ze swoimi dziecięcymi rysunkami przedstawiającymi Margie. Nigdy ich nie opublikowała. Nigdy nawet nie pokazała ich Vernonowi. Westchnęła i zamknęła wieko.

Po jakiejś godzinie zrezygnowała z prób zaśnięcia, włączyła komputer i wygoogłała swoją chorobę. „To przypomina życie w labiryncie – napisał ktoś – a jedynym wyjściem z niego jest śmierć”. Wszystko, co przeczytała na ten temat w sieci, było w równym stopniu optymistyczne. Przymknęła więc sobie, że nie będzie szukać więcej, i zabrała się do przepisywania swojej wyraźnie nieudanej książki.

Przez kolejne dwanaście miesięcy Natalie ciężko pracowała nad tym, aby Rose nie opuszczała domu. Alarm został założony na oknach i w drzwiach, a codziennie o szesnastej Rose dostarczano posiłki. Rozpisano plan działań i zaplanowano spotkania z opieką społeczną. W słoiczkach posegregowano różnobarwne jak tęcza pigułki. Wszędzie wokół rozmieszczono karteczki: Czy wyłączyłaś to? Upewnij się, że zamknęłaś tamto. Zapodział się gdzieś czajnik – opiekunka domowa przyniesie ci herbatę. Wszystkie czynności były zaplanowane, ale czasem Rose przeciwko nim protestowała: „Nie wsiądę do tego vana! Nie usiądę w tym kręgu! Gdzie jest Natalie? Sprowadźcie Natalie”.

Natalie robiła rzeczy, których nie powinna robić, i nie ukrywała tego przed Rose. Poradziła jej, żeby zaczęła wybierać pieniądze z konta, a kiedy Rose zrozumiała i zgodziła się na to, Natalie podpowiadała jej, w jakich miejscach może

ukryć gotówkę.

– Możesz potrzebować tych pieniędzy, Rose, na ubrania, muzykę, książki lub cokolwiek innego – oznajmiła Natalie, gdy zakleiły koperty zawierające po tysiąc funtów i wsunęły wszystkie pod okładki książek o Tilly. – Trzymaj je w bezpiecznym miejscu. Gdy się przeprowadzisz, zabierz te książki z sobą i schowaj koperty gdzieś w swoim nowym pokoju.

W końcu w biurze ośrodka opieki społecznej w Partick odbyło się spotkanie. Jane, córka Rose, przyjechała na nie specjalnie aż z Londynu i przez połowę czasu wydierała się przez telefon komórkowy: „Sprzedawaj!”, a przez drugą narzekała na niekompetencję pracowników opieki społecznej i ogólną „znieczulicę społeczną”. Obecny był także wnuk Rose, Chris, jak również Natalie oraz pewny siebie młody szef Natalie, kobieta, która robiła notatki, i mężczyzna, który też robił notatki. Zdecydowano, że piękny dom Rose w Kelvindale zostanie sprzedany, aby można było opłacić jej pobyt w domu opieki.

Po spotkaniu Natalie przyrzadziła dla Rose uroczysty obiad, a chłopcy wręczyli jej prezenty (ołówki, długopisy, szkicownik oraz dwa tuziny zaadresowanych do Natalie kopert z naklejonymi znaczkami). Później, kiedy wróciły już do jej domu, Rose także podarowała Natalie prezent: kuferek pełen jej dziecięcych rysunków oraz tych, które powstały w ciągu minionego roku. Wyjaśniła jej znaczenie zielonych kaloszy.

– Jeśli chcesz, możesz je wyrzucić. Nie są nic warte, to tylko szkice z pamięci.

– Nigdy ich nie wyrzucę – zapewniła ją Natalie. – I obiecuję, że będę cię odwiedzać. I to tak często, że jeszcze się mną znudzisz.

To Chris zaproponował Dom Opieki Zielona Przystań, ponieważ był bardzo ładny, położony niedaleko od jego domu i zbierał znakomite oceny po każdej kontroli. Chris zawiózł tam Rose w pewną słoneczną sobotę.

– Spójrz na ten wspaniały budynek! Wszystkie pokoje mają własne łazienki, a twój ma w dodatku widok na ogród różany. Czyż to nie kapitalna zbieżność: ogród różany dla Rose?

Było tu bez wątpienia pięknie. Rezydencja przypominała zamek, dzięki czemu Rose sama czuła się trochę jak księżniczka.

– Powinniśmy tu zostać na noc i pójść na kolację do Old Ginn House!

Rose potrafiła wyobrazić sobie, że spędzi tu dwie noce, ale nie więcej. Chociaż kochała naturę, to największą frajdę sprawiał jej zgiełk miejskiego życia, a tutaj były tylko ogrody, pola i rzeka. Jeśli nie będzie mogła obserwować ludzi, tak jak robiła to, siedząc przy swoim kuchennym stole albo przechadzając się po West Endzie w Glasgow, klucząc nieznanymi trasami, gawędząc z właścicielami

sklepeków i spacerowiczami wyprowadzającymi psy, to prawdopodobnie uschnie i umrze.

– To dom opieki, babciu. Są tu ludzie, którzy będą dla ciebie gotować.

– Ach...

Rose zauważyła podjazd prowadzący do frontowych drzwi i zaparkowaną przy nim karetkę. Przez szeroko otwarte drzwi wytoczono nosze na kółkach z zakrytymi prześcieradłem zwłokami. To uprzytomniło jej, gdzie tak naprawdę się znajduje. Nie będzie już więcej weekendowych wypadów, koniec z podróżami samolotem tylko z jednym zestawem ubrań na zmianę i przyborami do rysowania w małym plecaku, koniec samotnych kolacji w cudownych restauracjach. Rose uwielbiała jadać w samotności. Ale tej Rose już nie było, ta Rose stanęła właśnie u wejścia do labiryntu.

Na zajęcia grupowe w domu opieki Marcus, który sam był niespełnionym powieściopisarzem, zaprosił specjalnie dla Rose miejscową autorkę. H. R. Davids pisała kryminały. Rose nie lubiła kobiet, które robiły z siebie istoty pozbawione płci (a w zasadzie to mężczyzn), żeby sprzedać więcej książek. Nie miała więc ochoty nazywać jej H ani HR. Jak, do cholery, mogło brzmieć jej imię? Zgadza się, osiemdziesięciodwulatki też przeklinają. A także jedzą, piją i srają. Lubią jednych ludzi, innych zaś nienawidzą i miewają myśli, które można określić jako dwuznaczne, a czasami nawet złe.

Teraz właśnie Rose naszała taka zła myśl i zaczęła układać w głowie jednogwiazdkową recenzję, którą będzie mogła zamieścić później na Amazonie: „H. R. Davids może przypaść do gustu tylko komuś, kto zupełnie odwykł od myślenia”. (Zgadza się, osiemdziesięciodwulatki potrafią korzystać z komputera).

– A więc byłaś kiedyś pisarką? – zagadnęła H. R. Davids Rose z protekcyjnym uśmiechem, który ta chętnie starłaby jej z twarzy. Uznała, że będzie nazywać tę nudną sukę „Henrietta Ruth”.

– Nie, Henrietta Ruth, wciąż jestem pisarką, a do tego ilustratorką. Piszę książki dla dzieci.

Henrietta Ruth najwyraźniej postanowiła darować zramolałej staruszce to, że przekreśliła jej imię. Zacisnęła usta i obrzuciła litościwym spojrzeniem siedzącą na fotelu Rose, zupełnie jakby chciała poklepać ją po głowie. W zajęciach brały udział jeszcze cztery osoby. Henrietta Ruth czytała przez dwadzieścia minut, a każda sekunda wydawała się nudniejsza od poprzedniej. Morderca, zwłoki, inspektor policji z mroczną przeszłością, bla, bla, bla.

– Wspaniałe! – Marcus zaczął klaskać, gdy czytanie wreszcie dobiegło końca. – Niesamowite! Czy ktoś chciałby zadać naszej bestsellerowej autorce jakieś pytanie?

Rose przyjrzała się obecnej w sali pozostałej czwórce pensjonariuszy. Był tam Jim, sześćdziesięcioośmioletni były gitarzysta rockowy z długimi włosami i niezłymi nogami, których Rose miała wielką ochotę dotknąć. Jim nie był na tyle stary ani schorowany, żeby tutaj trafić, dlatego Rose zawsze się dziwiła jego obecności w ośrodku. Rockman jednak nie zdawał się mieć żadnych palących pytań. Siedział na krześle zajęty wystukiwaniem czegoś na telefonie komórkowym. Była też Nancy, katatoniczka. Obok niej siedział jej wierny mąż Gavin, który przeniósł się wraz z nią do domu opieki, mimo że absolutnie wszystko było z nim w porządku (oprócz pogłębiającej się, wyniszczającej depresji spowodowanej przez nieustanne przebywanie w towarzystwie żony, która od czterech lat nie powiedziała ani słowa). Gavin pokręcił głową. Pytania, jakie chciałby zadać, były zbyt poważne na autorkę powieści kryminalnych. Wreszcie była też Emma, za bardzo pochłonięta śpiewaniem, by o cokolwiek pytać. Nieustannie powtarzała jedną i tę samą linijkę: nad pięknymi, pięknymi brzegami Loch Lomond, nad pięknymi, pięknymi brzegami Loch Lomond, nad pięknymi, pięknymi brzegami Loch Lomond... Emma miała łagodną odmianę demencji, ale jej nieustanny śpiew doprowadzał wszystkich do szału, łącznie z Henriettą Ruth, która musiała czytać fragment swojej książki przy wtórze tego jednego wersu.

10 lat

Rose podniosła rękę.

– Tak, proszę pana. Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie sprowadzicie lekarza dla mojej siostry. Nie potrafię tego w ogóle zrozumieć.

– Nie potrzebujemy lekarza, Rose – odparł farmer.

– Zdaję sobie sprawę, że może nie wiecie zbyt wiele o astmie, ale proszę, wysłuchajcie mnie, ponieważ ja wiem sporo.

– Odprowadzimy cię do twojego pokoju. Nie denerwujemy się. Nie ma się czym niepokoić. – Farmer wyciągnął ramiona, żeby podnieść Rose z fotela. – Cóż, już idziemy. Teraz poszukamy Catherine. Pamiętasz Catherine?

– Ale Margie może umrzeć!

Margie miała siedem lat, miękkie żółte włosy i ciemnobrązowe oczy. Była delikatna, pulchna i wciąż zdawała się wierzyć w szczęście. Przebywały tu od miesiąca. Minęły cztery tygodnie, od kiedy mama pożegnała się z nimi na dworcu kolejowym King's Cross Station, a one pojechały na wieś, ponieważ tam nie spadały bomby. Rose i Margie nigdy wcześniej nie jechały pociągiem i nigdy nie były na wsi. Matka pocałowała je bez większych emocji, jakby chciała je zapewnić, że ich wyjazd to nic poważnego. Gdy tylko wsiadły do wagonu, odwróciła się

i poszła. Może rozplakała się w drodze powrotnej. Teraz zostanie w Londynie sama. Sama w czynszowym mieszkaniu z jedną sypialnią, które nazywały domem. Rose patrzyła za nią, aż zupełnie zniknęła. Żegnaj, mamó.

Pociąg jechał szybko i głośno stukał, był pełen dzieci w różnym wieku, wiele z nich szlochało. Rose objęła Margie, która przez cały czas przytulała do piersi swoją najdroższą lalkę Violet. Pogłaskała siostrę po włosach i stłumiła płacz, ponieważ teraz była dorosła. Teraz to na niej spoczywała odpowiedzialność.

– Nic nam się nie stanie, Ro-Ro?

Margie zawsze nazywała ją Ro-Ro. Była jedyną osobą, która tak się do niej zwracała, i tylko jej Rose na to pozwalała.

– Wszystko będzie dobrze, aniołku.

Farmer odebrał je z budynku ratusza w Penrith. Był garbaty, a gdy szedł, przechylał się na lewą stronę. Być może to jego garb sprawił, że był taki nieszczęśliwy, a może było dokładnie na odwrót? Gdy do holu weszło kilku mężczyzn w obdartych, brudnych ciuchach, Rose modliła się po cichu, żeby nie trafiły właśnie do niego. Gdy jednak podszedł do nich z tym swoim pochylonym grzbietem, kulejącymi nogami i zwężonymi złośliwymi oczami, ścisnęła mocno rękę Margie. Pokazał im, by poszły za nim. Szli razem w deszczu dwie mile, aż w końcu dotarli do swego nowego domu. Podczas podróży pociągiem Rose wyobrażała sobie, że zamieszkają w wielkiej wiejskiej posiadłości z żywopłotami i ogrodem różanym. Marzyła o ślicznych owieczkach, które będą mogły karmić i kochać, o kotach i psach oraz o radosnych pulchnych gospodarzach. Kiedy więc dotarli wreszcie do tonącego w błocie rozpadającego się domku, Rose musiała bardzo się starać, aby ukryć swoje rozczarowanie. Nie zastała tu żadnych radosnych ludzi, tylko zboląłego, porozumiewającego się monosylabami farmera, jego przykutą do łóżka chorą żonę oraz czwórkę innych dzieci z miasta, które wzorem farmera również stały się ponure i milczące.

Mężczyzna bardzo dbał o ich bezpieczeństwo: posłać łóżka, wyszorować podłogę, wydoić krowy, cicho siedzieć, wy beczelne latawice – cokolwiek to znaczyło – pomieszać zupę, posprzątać kuchnię, ścisnąć, puścić, krowy wydoić, powiedziałem: cicho być!

– A teraz, Rose – odezwał się farmer, gdy znalazła się z powrotem w swoim pokoju – uspokój się, już cicho, nie ma tu żadnych krów. Catherine włączy teraz twoją ulubioną melodię.

Z bardzo małego urządzenia na stoliku przy łóżku popłynęła muzyka.

– *Imagination*.

Tak, to była jej ulubiona melodia! Każdego wieczoru, od kiedy tu przybyły, Margie mówiła: „Zaśpiewaj, Ro-Ro, zaśpiewaj mi tę piosenkę”. Potem zasypiała

wysłuchana w głos starszej siostry, wyobrażając sobie, że obie znajdują się w domu i wszystko jest tak, jak być powinno. Tylko że to urządzenie było takie małe!

– A teraz może usiądziesz przy biurku i przejrzysz swoje ulubione rzeczy. Nie spiesz się, obejrzyj każdy przedmiot i opowiedz o nim Catherine.

Rose usiadła przy biurku, jak nakazał jej farmer, i przypomniała sobie, że musi być posłuszna, jeśli chce przeprowadzić to, co sobie zamierzyła. Przewróciła oczami, patrząc na Margie (nie Catherine!), po czym zaczęła udawać, że przygląda się swym „ulubionym” przedmiotom rozłożonym na biurku. Fotografie z twarzami nieznajomych, brzydki rysunek, jakieś książki dla dzieci, kolorowe kredki, ołówki i ogromna sterta najbardziej szeleszczącego i najbielszego papieru, jaki w życiu widziała. Te przedmioty nic jej nie mówiły. Nawet do niej nie należały. Musiała jednak udawać, że jest inaczej, dlatego wzięła do ręki pomarańczową kredkę i zaczęła rysować.

82 lata

Nie zawsze była świadoma tych przeskoków, ale kiedy odwiedzała ją jeszcze Natalie, powiedziała jej, że zdarzały się dość często. Teraz jednak jej umysł nigdzie się nie wybierał i wszystko było dla niej jasne. Kolorowe kredki. Musiała rysować!

Nie miała już niczego poza rysowaniem, ponieważ po śmierci Beatrice wszystko im odebrano. Nie mogła opuszczać terenu ośrodka. Skonfiskowano jej telefon komórkowy, a korzystanie z telefonu w biurze było zabronione. Pisanie listów – zakazane. (Zabrano jej nawet ostatni zapas zaadresowanych kopert ze znaczkami, które dostała od Natalie). Żadnych gości z wyjątkiem Chrisa. Nie mogła robić nic, tylko rysować historyjki o Tilly. Wszystko to, oczywiście, dla jej dobra.

– Gdy ostatnio wyszłaś sama na spacer, omal nie utonęłaś – przypominał jej Chris.

– Nie możemy znowu marnować czasu policji – tłumaczył Marcus.

– Masz tu zapewnioną specjalną opiekę – dodawał Chris. – Chronię cię, dzięki mnie jesteś bezpieczna!

Powinna to narysować, zanim minie ten krótki przeblýsk świadomości. Ale ta dziewczyna była zupełnie nowa i nieopierzona. Daj sobie spokój z rysowaniem, Rose. Powinnaś jej o tym po prostu powiedzieć. Być może ona ci uwierzy. Policja nie uwierzyła, Chris nie uwierzył, nie uwierzyły jej córki ani nawet Natalie. Proszę, proszę, maleńka, nie jestem teraz wariatką, wysłuchaj mnie, błagam. Uwierz mi.

Rozdział 3

To stare babsko wystraszyło mnie swoim przedziwnym strojem: dzinsy, martensy, luźny wzorzysty T-shirt i krótkie, farbowane na czarno włosy. Osiemdziesięciodwuletnia kompletnie zbzikowana punkowa.

Odwróciła uwagę od swoich „drogocennych skarbów” na biurku i spojrzała na mnie.

– Zdradzę ci coś, jeśli obiecujesz zachować to w tajemnicy.

– No dobra.

– Obiecujesz?

Wyciągnęłam do staruszki rękę z wystawionym małym palcem, ale nie zrozumiała gestu, więc go schowałam.

– Obiecuję.

– Ale co?

– Obiecuję, że nikomu tego nie zdradzę.

– Czego nie zdradzisz?

Ha! Już zdążyła zapomnieć. Nigdy nie znałam nikogo naprawdę chorego ani też naprawdę starego. Ta chora stara kobieta była dla mnie równie obca i odpychająca jak fretka. Dokładnie tak wyglądała! Jak fretka. Cała chuda, koścista, żółtobiała i pomarszczona. Miałam wrażenie, że lada moment wbije mi kły w szyję.

– Jak tam, dobrze się dogadujecie?

W drzwiach stanęła pielęgniarka. Na jej plakietce widniało imię Gabriella. Miała sterczące cycki, siwe, równo obcięte włosy i jaskrawoczerwono umalowane usta. Rose rzuciła jej pełne przerażenia spojrzenie.

– Nie słyszałaś o pukaniu? Wynocha z mojego pokoju.

– Nie przejmuj się. – Gabriella uśmiechnęła się do mnie. – Czasami wszystko jej się trochę miesza.

– Skąd ją znasz? – zwróciła się do mnie Rose, gdy pielęgniarka wyszła.

– Nie znam jej.

– A pozostałych? Przyjaźnisz się z pozostałymi?

– O kogo ci chodzi?

– O tamtych, oni są tam. – Wskazała na drzwi.

Pewnie miała na myśli wszystkich, którzy znajdowali się w ośrodku.

– Nie. Wczoraj poznałam tylko Marcusa, a całą resztę dopiero dzisiaj. Jestem tu nowa.

– Więc nie powiesz im tego, co ci zaraz zdradzę? Nie powiesz nikomu, dopóki nie zdecyduję, co powinniśmy zrobić?

– Ani słowa.

– Kogo kochasz?

- Słucham?
- Kogo kochasz najmocniej na świecie?
- Chyba moją mamę.
- Przysięgniesz na życie swojej matki?
- Prędeż umrę, niż zdradzę komuś cokolwiek. – Położyłam rękę na sercu.
- Lepiej nie kuś losu.
- Dobra, obiecuję, że nikomu nie powiem.

Kobieta-fretka nachyliła się do mnie i wyszeptała:

- W tym miejscu dzieje się coś bardzo złego.

Cofnęłam się o krok. Dziki wyraz jej twarzy sprawił, że wystraszyłam się, że zaraz rzuci się na mnie i wyssie z mojej szyi krew.

– Przestraszyłaś się mnie. Dobry Boże, nie bądź śmieszna. To nie mnie powinnaś się bać. Musisz mi uwierzyć! Słyszysz mnie?

Trudno było jej nie słyszeć: szept przechodził powoli w krzyk.

– Ty mi nie wierzysz! Widzę to w twoich oczach, ty głupia dziewczyno. Wynoś się z mojego pokoju!

Nawet siostra Gabriella ją usłyszała. Wpadła do środka, podbiegła prosto do łóżka Rose, wpackowała jej tabletkę do ust i obserwowała ją, aż staruszka wreszcie zamknęła oczy.

– Zostań przy niej i nie daj jej się wyprowadzić z równowagi. Czasami wygaduje niestworzone rzeczy.

– W porządku.

– I czy możesz przeszukiwać codziennie jej pokój? Ciągle kradnie z kuchni zapalki, zawsze, kiedy cofa się w czasie. Nigdy jej na tym nie przyłapaliśmy i nie mamy pojęcia, gdzie je potem chowa. Jest szybka i przebiegła jak dziesięciolatka. – Wydawszy wszystkie te polecenia, pielęgniarka ruszyła do drzwi.

– Ale to w końcu jej pokój. – Wydawało mi się, że powiedziałam to pod nosem, tylko do siebie.

Siostra Gabriella zawróciła i stanęła bardzo blisko mnie.

– No i?

– I nie uważam, żeby to było wobec niej w porządku.

– Och, skoro uważasz, że to nie w porządku...

Wpatrywałyśmy się w siebie przez dłuższą chwilę, wreszcie to ja pierwsza mrugnęłam.

– A teraz rób, jak ci każę, albo zabieraj się do domu.

Gdy Gabriella zamknęła za sobą drzwi, Rose otworzyła oczy, spojrzała prosto na mnie, przyłożyła swój kościsty palec do ust i powiedziała:

– Cśś. – Po czym znów zamknęła oczy.

Ta kobieta była bardziej przerażająca niż Freddy Krueger.

Zatrzasnęłam drzwi, żeby nie musieć pomagać przy rozdawaniu obiadu,

i wrzuciłam na Facebooka swoje zdjęcie z podpisem „kobieta pracująca” (poza numer jeden: broda w dół, grzywka na oczach, poważna mina – wyglądałam oczywiście obłądnie). Dziesięć lajków w piętnaście minut. Całkiem niezłe. Craig nie napisał ani maila, ani esemesa w związku z tym, że usunęłam go ze znajomych. Ale napisze. Oni zawsze piszą. A ja zignoruję go jak tych wszystkich pozostałych desperatów.

Półka w kącie pokoju pełna była książek o Tilly. W dzieciństwie miałam ich mnóstwo razem z książeczkami o Katie Morag. W większości domów znajdowała się przynajmniej jedna z tych serii. Najwyraźniej ta starucha była w stanie przeczytać już tylko dziecięcą historyjkę z obrazkami. Mama kupiła mi całą kolekcję opowieści o Tilly na siódme urodziny i czytała mi codziennie po jednej przed snem. Bardzo podobało jej się to, jak silna i niezależna była Tilly („Taka właśnie powinna być dziewczyna! Nie zdawaj się wyłącznie na łaskę jakiegoś idioty!”). Przekartkowałam jedną z moich ulubionych książeczek (*Tilly i telegram*). Ta historia była niesamowicie smutna, ale jednocześnie podnosząca na duchu. Dwaj synowie farmera walczyli na wojnie. Bridget, jedna z dziewczyn zakwaterowanych na farmie, odebrała w miasteczku pocztę, wśród której znajdował się pewien straszny telegram. W drodze na farmę wdała się w bójkę w błocie z denerwującym sąsiadem. Wróciła do domu cała umorusana i bez telegramu. Tilly postanowiła ją kryć. Przez kilka godzin grzebała w błocie, aż wreszcie go odnalazła. Okazało się, że najstarszy syn farmera zaginął w akcji. W ramach kary Tilly musiała do końca wojny wyrzucać sama gnój z obory. Udało jej się jednak znaleźć przyjemność w tej pracy. Uznała bowiem, że lepiej przebywać w oborze, niż siedzieć w domu.

Czy ja naprawdę byłam zajęta czytaniem dziecięcych książek, podczas gdy obok w łóżku spała przerażająca i zupełnie mi obca staruszka? A kiedy się obudzi, czy znów zacznie głądzić o „złych rzeczach”, które się tu dzieją? A może jeszcze gorzej? Może będzie potrzebowała pomocy, żeby pójść do toalety? Nie, to po prostu było obrzydliwe. Postanowiłam, że dotrwam do końca zmiany, a potem pojedę do Queens na drinka i wykombinuję, co powiedzieć mamie – to bez dwóch zdań musi mieć coś wspólnego ze zdrowiem i bezpieczeństwem. To miejsce jest fatalnie zarządzane i niebezpieczne! Czy chciałaby, żeby jej jedyne dziecko zostało poważnie zranione, okaleczone do końca życia, doznało psychicznego uszczerbku, i to za jedyne sześć dziesiętnaście za godzinę?

Na ścianie wisiały przypięte pocztówki od osób, które kochały Rose na tyle, żeby je przysyłać, ale nie na tyle, żeby przygarnąć ją do siebie do domu.

Kochamy Cię, Babciu Rosie!

Cześć, Mamo. Wybacz, że nie możemy przyjechać Cię odwiedzić, ale chyba

rozumiesz, że tak będzie najlepiej. To tylko wszystko by pogorszyło. Gregor większość czasu spędza w Brukseli, więc zostałam sama z domem na głowie. W pracy wszystko dobrze pomimo sytuacji gospodarczej. Wczoraj kupiłam nowe bmw – jest po prostu wspaniałe! Mam nadzieję, że Chris się Tobą opiekuje, Jane.

Kochana Babciu, napisałam to opowiadanie! Podoba Ci się?

Kochana Mamo, Wesołych Świąt! Mam ostatnio urwanie głowy z pracą i dziećmi. Ally i Cat przesyłają pozdrowienia. Ściskam, Elena.

Były tam też czarno-białe fotografie. Pan młody z ponurą miną, bez wątpienia mąż Rose. Teraz już pewnie nie żyje. Dwie małe dziewczynki w ogrodzie. Były też kolorowe fotografie, a na nich następne pokolenie, które robiło to samo co poprzednie: żeniło się, płodziło dzieci, uśmiechało się. To Rose powołała tych ludzi do życia, mimo to tkwiła tutaj sama, wracając we wspomnieniach do jakiejś traumy z dzieciństwa i wyobrażając sobie jakiś koszmar. Ciekawe, do jakiej traumy ja bym powracała, gdybym wylądowała w podobnym miejscu z taką samą potworną demencją. Do tego, jak mama przyłapała mnie na oglądaniu porno? Nie, to było tylko krępujące. Do tego, jak Mark mnie zdradził? Nie, to ja zdradziłam go pierwsza, poza tym on i tak był fiutem. Uświadomiłam sobie, że nie mam żadnej traumy, którą mogłabym przeżywać na nowo. Moja demencja, jeśli w ogóle nadejdzie, będzie raczej łagodna niczym piękne, piękne brzegi Loch Lomond. Pstryknęłam sobie kolejne selfie. Poza numer dwa: grzywka odrzucona do góry, usta w dzióbek. Wyglądałam oczywiście obłędnie.

I na razie byłam wolna od jakiegokolwiek traumy.

Rozdział 4

82 lata

Nowa dziewczyna, Catherine, spała na nowoczesnym krześle, które kołysało się to w jedną stronę, to w drugą. Była bardzo ładna, ale zupełnie nieciekawa. Rose ją obserwowała. Nie, nie było w niej nic interesującego. Gdyby włączyła ją do którejś ze swoich historii, przypominałaby Betty, trzynastolatkę z szalejącymi hormonami i przesadną dbałością o własny wygląd. Betty nigdy nie odgrywała za dużej roli w jej książkach poza dokuczaniem Tilly. Była tylko rekwizytem, statystką, postacią służącą za ledwie za tło dla prawdziwej bohaterki. Nowa dziewczyna śpiąca na krześle miała nawet takie same idealne blond włosy jak Betty i bez wątplenia poświęcała im całe godziny, ponieważ uroda stanowiła w zasadzie jej jedyny atut. Rose już stworzyła i opisała Betty. Nie potrzebowała więc kolejnej. Nie, ta dziewczyna nigdy nie stanie się na tyle interesującą postacią, żeby trafić do którejś z jej książek. Wyglądała, jakby nigdzie w życiu nie była i nic nie zrobiła. Jakby nie miała żadnych ambicji, by gdziekolwiek pojechać lub czegokolwiek dokonać.

Gdy dziewczyna się obudziła, Rose przyglądała się swojemu ostatniemu rysunkowi Tilly, ale nic na nim nie miało sensu.

– Co o tym sądzisz? – Pokazała go dziewczynie.

Choć kolory wydawały się tak żywe jak we wszystkich jej pozostałych książkach, w tym rysunku było coś przerażającego, co wprawiło Rose w zdumienie. Tilly leżała w łóżku w pokoju przypominającym pokój Rose. Nad nią stała kobieta pozbawiona wszelkich rysów twarzy, z wyjątkiem jaskrawoczerwonych ust. Łóżko otaczały cztery milczące postacie, jedna z nich siedziała na krześle. Tekst brzmiał:

Tilly nie lubiła się malować ani nie miała ochoty bawić się w króla i królową.

– *Masz szczęście, będziesz księżniczką!* – powiedziała królowa, zdejmując nasadkę z nowo otwartej szminki. – *A księżniczka jest ładna, nieprawdaż?*

– *Bardzo ładna.* – *Król uśmiechnął się do swej najdroższej dziewczynki.*

– *I będzie miała piękne czerwone usta.*

Książę posłał uśmiech księżniczce. Była ona także jego najdroższą

dziewczynką.

– Ale nie aż tak czerwone jak moje!

Zadowolona z makijażu królowa zamknęła szminkę.

– Jaka szkoda, że nie możesz ściągnąć ust. Buziaki.

– Nie przypominam sobie nawet, że to narysowałam. Nic z tego nie rozumiem! Chociaż często tak bywa z moimi książkami. Czasami mam już napisane trzy czwarte tekstu, kiedy wpadam na to, jak ma się skończyć przygoda Tilly.

Po raz pierwszy na twarzy dziewczyny zagościło coś innego niż znudzenie.

– Tilly! Rose Price! To ty napisałaś te wszystkie książki o Tilly!

– Czytałaś je?

Fanka! Jak bardzo Rose tęskniła za tymi kolejkami małych dziewczynek czekających na jej autograf.

– Każdą jedną. Rety, Rose Price, no jasne! Ale ten rysunek jest całkiem inny niż reszta, bardzo mroczny. – Dziewczyna przyglądała mu się bacznie. – Dodałaś Tilly pieprzyk. Chyba nie miała pieprzyka, prawda?

Rose wzięła od niej kartkę i spojrzała na rysunek.

– Nie, nie miała. Dziwne.

– A czy Tilly nie była zawsze tak samo ubrana?

Ta dziewczyna miała rację. Tilly zawsze nosiła ciemnozielony fartuch, białą bluzkę i podkolanówki. A jej rude włosy zawsze były splecione w dwa warkocze. Na tym rysunku zaś miała krótkie włosy i białą koszulę nocną z literą B. Pokój, dokładnie taki sam jak Rose. Pieprzyk. Krótkie włosy. B. Ach, to przecież wcale nie była Tilly.

– To Beatrice. Bea! Mieszkała w pokoju numer pięć.

Rose przyjrzała się pozostałej części rysunku. Drzwi do pokoju były uchylone i można było na nich zobaczyć napis: „Pokój numer 7”.

– Ciekawe, dlaczego umieściłam ją w pokoju numer siedem. Dziwne. Pewnie gdy to rysowałam, było to dla mnie całkowicie zrozumiałe. Teraz to kompletny nonsens.

– Bea zmarła?

– Sześć miesięcy temu. Alzheimer, tak jak ja. Była tancerką! Miała tylko siedemdziesiąt dwa lata. Więc... – Rose wzięła kartkę od Catherine i położyła ją obok rysunku, nad którym właśnie pracowała. A więc znów narysowała pokój numer siedem. Podniosła się. – A więc... – Pochyliła się i zbliżyła usta do ucha Catherine.

10 lat

– ...coraz gorzej oddychasz, Margie. Trzymaj głowę wysoko. Jeszcze wyżej! Wdech, powoli. I nie zapominaj o wydechu. Wydech!

– Oddycham zupełnie dobrze – odparła Margie, ale wcale dobrze nie wyglądała. Wyglądała bardzo źle.

Rose zauważyła farmera kręcącego się pod pokojem i wyszeptwała:

– Znów będziemy musiały pójść do obory. Jak nie będzie patrzył, pójdziemy do doktora. Chodź za mną. No już!

„Jesteś samolubną dziewczyną, Rose Price” – powiedział jej ojciec dzień przed tym, jak pożegnały go na dworcu kolejowym. Rose nie wypełniła swoich obowiązków (tego dnia miała zamieść podłogę i pościła łóżka). Nie pomogła matce, która miała zostać sama w Londynie z dwójką małych dzieci. Ojciec zwykle był starym, łagodnym poczciwiną wobec swych dziewczynek, dlatego Rose tak bardzo zdumiało, gdy to powiedział. „Jesteś samolubną dziewczyną, Rose Price”. Pewnie nieraz z nią później rozmawiał. Pewnie nawet powiedział jej, że ją kocha i że Rose ma wiele zalet, nie jest tylko samolubna. Mógł też pocałować ją w policzek, połaskotać pod pachami, mógł nawet nazwać ją najdroższym skarbem i promyczkiem swego życia. Ale nawet jeśli to zrobił, Rose tego nie pamiętała. „Jesteś samolubną dziewczyną, Rose Price”. Okazało się, że ostatnie jego słowa, jakie zapamiętała, były zarazem najokrutniejszymi, z jakimi kiedykolwiek się do niej zwrócił.

Z taty był prawdziwy gawędziarz. Każdej nocy przysiadł na brzegu podwójnego materaca, który Rose dzieliła z Margie w kuchennej wnęcie, i wymyślał zachwycające opowieści, które zawsze miały cudowne zakończenie. Był zdecydowanie zbyt utalentowany, żeby pracować w fabryce. Zbyt utalentowany, żeby pojechać na wojnę. Nauczył Rose wszystkiego, co wiedziała, lecz z wszystkiego, czego ją nauczył, najbardziej zapadło jej w pamięć to, że była samolubna.

Do tej pory Margie dwukrotnie prawie umarła. Najpierw w wieku trzech lat, gdy gorączka zaatakowała ją zacieklej niż całą resztę i zaległa jej w płucach. Tata w środku nocy sprowadził lekarza. Mama całymi godzinami paliła ziółka na astmę. Rose w ogóle nie pomagała, ale Margie jakoś dotrwała do czwartych urodzin.

No i rok temu. Tym razem spowodowała to wiosna. Rose znów nie zrobiła nic, żeby pomóc, ale rodzice w porę zawieźli Margie do szpitala i dzięki temu jej

siostra dotrwała do siódmych urodzin.

Skrzypiący oddech, tak mówiła na to Margie. „Mój oddech robi się skrzypiący”. Szarzała wtedy na twarzy, siadała wyprostowana i sztywniała, jej plecy przypominały deskę, jej maleńka pierś ledwo się unosiła przy rozpaczliwych kocich wdechach. W zeszłym roku ten dźwięk był tak okropny, że Rose nie mogła go znieść. Zamknęła się w łazience i zaczęła rysować ludzi, którzy nie byli szarzy na twarzach i mogli bez problemu oddychać. Teraz Margie znów była szara. Z trudem szła do obory. Z południowego pola wlokło się w ich kierunku szesnaście krów rasy jersey. Była tam niesforna Josie, płocha Wendy, zadiorna Gee. A gdzie radosna Noreen? Rose wzięła siostrę za rękę i zaczęła ją ciągnąć.

– Poczekamy, aż nie będzie patrzył, i wtedy uciekniemy.

Wilgotne wymiona Josie były tak napęczniałe, że aż błagały o opróżnienie. Rose usiadła na stołku i zaczęła ją doić. Kochana Josie, najbardziej buntownicza z całego stada, zawsze oddalała się od reszty w drodze do obory, a potem uciekała z powrotem na łąkę. Teraz trzepnęła Rose ogonem, oślepiając ją na chwilę. Rose potarła oko i zerknęła na Margie, która gwałtownie łapała oddech, ściskając słabo wymiona Meliny. A gdzie farmer? Nigdzie w zasięgu wzroku.

– W nogi!

82 lata

Nowa dziewczyna zdecydowanie zbyt mocno ściskała jej ramiona. Au!

– Zejdź z drogi! Rose! Samochód!

Dziewczyna pociągnęła ją za ramiona i obie upadły na wysypane żwirem pobocze, gdy tymczasem biały van, który zjechał na niewłaściwą stronę drogi, zniknął, trąbiąc, za zakrętem.

Dziewczyna leżała z twarzą w żwirze. Rose wylądowała na niej. Jejku, o jejku, zrobiła jej krzywdę. Wcale nie chciała.

– Przypomnij mi, jak masz na imię.

Dziewczyna usiadła oszołomiona.

– Catherine.

– Co my tu, u licha, robimy, Catherine?

Rozdział 5

Mama dała mi pierwszą niedzielną listę, gdy miałam pięć lat. „Oto rzeczy, które chcę, żebyś spróbowała zrobić w tym tygodniu” – oświadczyła, wręczając mi ją. Następnego dnia zaczynałam naukę w szkole podstawowej Hillhead, ale nauczenie mnie czytania i pisania przed pójściem do szkoły musiało się chyba znajdować na liście, którą zrobiła sama dla siebie.

1. Znajdź w szkole trójkę nowych przyjaciół i zapytaj, czy chcieliby czasem przyjść do ciebie się pobawić.

2. Napisz dla mnie opowiadanie.

3. Wkładaj swoje brudne ubrania do kosza na bieliznę w pralni. (To, Catherine, jest coś, co chcę, żebyś zaczęła robić już od teraz).

4. Zrób sobie sama śniadanie – płatki z mlekiem. (To, Catherine, jest coś, co chcę, żebyś zaczęła robić już od teraz).

5. Zrób przynajmniej trzy dobre uczynki dla innych.

Aż do końca szkoły dostawałam podobną listę w każdą niedzielę. Jeśli zrobiłam trzy z pięciu znajdujących się na niej zadań, otrzymywałam dość rozczarowującą nagrodę, jak dodatkowa godzina telewizji w następną niedzielę.

Gdy wróciłam do domu po pierwszym dniu pracy w Zielonej Przystani, na podwórku stał już do połowy zapełniony kontener na śmieci. Zauważyłam w nim otwarte pudło ze starymi kablami od komputera, spłowiałe zasłony z jadalni, rozbite lustro, szafkę z łazienki, jakieś stare zabawki i na oko kilkanaście czarnych worków na śmieci. W korytarzu natknęłam się na pudła ze słowem: „Oxfam”. Mama siedziała przy swoim biurku w gabinecie i coś pisała. Najprawdopodobniej jakiś list.

Wsunęłam głowę do środka.

– Pracujesz dzisiaj z domu?

Zasłoniła ręką to, co pisała, a koperty ukryła pod łokciem.

– Boli mnie tylko głowa. Jak ci poszło dziś w pracy?

Wszystkie te pudła, śmieci i koperty wskazywały, że mama wpadła w tryb maniackalny. Nie zrozumcie mnie źle, zawsze była maniaczką – choć nikt tego u niej nie zdiagnozował – ale ciągle była zajęta, i to znacznie bardziej niż jakakolwiek znana mi osoba. Nigdy nie wylegiwała się na kanapie. Nigdy nie czytała książki, chyba że miała pewność, że czegoś się z niej nauczy. Nigdy nie

oglądała telewizji, z wyjątkiem wiadomości na Channel 4 w trakcie gotowania. Miała niespożyte zasoby energii i wykorzystywała je niezwykle efektywnie. Przez sześćdziesiąt godzin w tygodniu pomagała w kierowaniu jedną z największych organizacji humanitarnych w Wielkiej Brytanii. Przez czterdzieści dwie godziny w tygodniu spała mocnym snem. A pozostałe sześćdziesiąt sześć godzin spędzała na sporządzaniu list dla mnie i dla siebie oraz sprawdzaniu, czy przynajmniej trzy piąte z zapisanych na nich zadań zostało zrealizowane w stopniu zadowalającym. Wszystko jednak wskazywało na to, że dzisiaj znajdowała się w takim maniakałnym nastroju, jaki przydarzał jej się tylko raz w roku. W ostatnich dwóch miesiącach nieco przyhamowała i już się cieszyłam, że może po wejściu w wiek średni trochę się uspokoi – albo też popadnie w depresję, co wydawało się łatwiejsze do zniesienia niż jej mania – ale teraz nie sprawiała wrażenia ani wyluzowanej, ani też przygnębionej. Siedziała przy biurku z tym spojrzeniem, które zdawało się mówić: „Ja zrobiłam już dzisiaj wszystko, co sobie zaplanowałam, a ty, Catherine?”.

Zamierzałam przedstawić jej mój pomysł, by już nigdy nie wracać do Zielonej Przystani.

– Zdarłam sobie skórę z ramienia, próbując ściągnąć szaloną staruszkę z drogi. Wybiegła tak szybko. Powinnaś była ją widzieć! To miejsce nie jest dla mnie bezpieczne. Spójrz.

Mama nie zareagowała na moje krwawe otarcia, tak jak się tego spodziewałam („Przykro mi, ale gdy coś zaczniesz, musisz to dokończyć”). Zamiast tego zaproponowała:

– A może otworzymy butelkę czerwonego wina? Chodź, opowiedz mi o tym.

To dopiero było dziwne. Nie zwykłyśmy gawędzić sobie przy kieliszku wina. Nigdy się razem nie upiłyśmy, nigdy nie paliłyśmy wspólnie jointa ani nie tańczyłyśmy w kuchni. Nigdy sama z siebie nie przytuliłam się do niej, a kiedy ją czasami tknęło poczucie rodzicielskiego obowiązku, nasz uścisk był bardzo sztywny i wręcz męski. Mama nigdy nie powiedziała mi, że mnie kocha, i ja też jej tego nie powiedziałam, ale nie znaczyło to, że się nie kochałyśmy, tylko że nasze role – zdeterminowanej i energicznej matki oraz dryfującej bez celu córki – nie wymagały ckliwych wyznań i babskich pogaduszek przy winie.

Mama naląła mi kieliszek i usiadła na kanapie.

– A więc... Dom Opieki Zielona Przystań. Słyszałam, że to piękny stary budynek. Opowiedz mi o nim.

Zrelacjonowałam wydarzenia dzisiejszego dnia, a w tym czasie mój telefon ciągle brzęczał od esemesów i wiadomości na Facebooku. Miałam wielką ochotę przerwać, żeby je przeczytać, i normalnie tak bym zrobiła, ale dzisiaj miałam wrażenie, że jakoś nie wypada.

– Jest tam czysto i przyjemnie?

Miałam ochotę skłamać i powiedzieć, że roi się tam od szczurów, ale tylko kiwnęłam głową.

– A pracownicy? Są mili?

– Chyba tak.

Mama wypła ostatni łyk wina, westchnęła i spróbowała się podnieść. Nie mogła jednak ruszyć lewą nogą, którą miała podkurzoną.

– Wszystko w porządku, mamó?

– Tak, tak. Tylko noga trochę mi ścierpła.

Pocałowała mnie w policzek, a ja zarumieniłam się jak wtedy, gdy po raz pierwszy pocałował mnie chłopak. Usiadła z powrotem na kanapie i zaczęła się bawić pierścieniem z szafirem na swoim palcu. To był zaręczynowy pierścionek babci. Od jej śmierci mama ani razu go nie zdjęła.

– Popatrz, mój palec zrobił się już za gruby. – Ściągnęła pierścionek i uśmiechnęła się do niego. – A na twój pasuje?

I pomimo mojej niezbyt zachwyconej miny wsunęła mi pierścionek na palec, jakbyśmy właśnie złożyły sobie przysięgę małżeńską. Nie miałam serca, by powiedzieć jej, że to pierścionek dla starych pierników.

– Twoja babcia była dość tradycyjną staruszką, ale, Boże, jak ja ją kochałam... Zawsze uważałam, że mogła osiągnąć znacznie więcej w swoim życiu, ale ona ciągle tylko troszczyła się o tatę, aż do jego śmierci. A potem zajmowała się nami, aż do swojej śmierci. Ale teraz wydaje mi się, że nie można oczekiwać, że osiągnie się w życiu więcej, niż ona zdołała.

Uśmiechnęłam się do pierścionka tak jak mama wcześniej. Prawdę mówiąc, wyglądał na moim palcu wspaniale.

– Doceń to, Cath. A teraz rozmroź dwie lazanie, dobrze?

Kilka dni temu mama zaczęła gotować jak szalona i pakować porcje jedzenia do opisanych pojemników tupperware. Przygotowanie naszych całotygodniowych posiłków zawsze figurowało na jej niedzielnej liście (na liście, która zawsze miała więcej niż pięć pozycji, a czasami dobijała nawet do pięćdziesięciu). Ale teraz mama działała nieco kompulsywnie, wypełniła jedzeniem całą zamrażarkę i kolejną, którą kupiła specjalnie i wstawiła do szafki w korytarzu. Musiała zrobić więcej zapasów, jak wyjaśniła, bo w końcu byliśmy teraz bardzo zapracowane.

Po ustaleniu przez Facebooka planów na wieczór (drinki w Studiu o ósmej z Giną i spółką) nadeszła pora na wypełnienie zadania z listy, którą dostałam jeszcze jako ośmiolatka: „Każdego wieczoru o wpół do siódmej nakryj do stołu: połóż na nim obrus, rozłóż serwetki, sztucce i przyprawy odpowiednie do posiłków zapisanych w cotygodniowym menu znajdującym się na lodówce. (To, Catherine, jest coś, co chcę, żebyś zaczęła robić już od teraz)”.

Rozmowa przy kolacji wyglądała tak jak zwykle. Mama spytała mnie, o czym chcę pogadać. Odparłam, że nie mam specjalnie pytań. Powiedziała mi, że

muszę jakieś mieć, na co ja, że nie, niespecjalnie, więc ona podzieliła się ze mną swoimi przemyśleniami, które zawsze dotyczyły fali głodu albo jakiegoś politycznego tyrana, a ja zawsze cieszyłam się wtedy, że nie opowiedziałam jej o nowym fantastycznym podkładzie do makijażu, jaki wyhaczyłam na wyprzedaży w Boots. Dzisiaj w ogóle nie zaczęła swojego przesłuchania, tylko jadła w milczeniu i nawet chyba nie zauważyła, kiedy wyszłam.

Marcus Baird zadzwonił, zanim zdążyłam dotrzeć do Studia.

– Zastanawiałem się, czy mogłabyś przyjść dzisiaj do pracy. Potrzebujemy kogoś na zastępstwo od dziewiątej do drugiej. Harriet nie da rady przed drugą, a Molly jest chora. Zapłacę ci półtorej stawki.

Przeprowadziłam szybkie obliczenia. Jeśli przepracuję tam miesiąc, biorąc tyle nadgodzin, ile tylko się da, to ubieram na bilet na Ibizę. Znajdę tam pracę w jakimś barze, a cały wolny czas będę spędzać, tańcząc na plaży. Nie mogłam dłużej tu tkwić.

– Przyjadę za dwie godziny.

W Zielonej Przystani zjawiłam się trzy wódki z red bullem później, z miętówką w ustach w celu zabicia zapachu. Marcus miał na sobie wyjściowy strój: dzinsy, modny fioletowy T-shirt i tę skórzaną motocyklową kurtkę, której zamkiem ciągle się bawił. Był mi niezmiernie wdzięczny. Siostra Gabriella znów ciągnęła podwójną zmianę. Powiedział mi, że ona pokaże mi, co i jak, a potem pojechał na koncert w Barrowlands.

Siostra Gabriella należała do tego rodzaju kobiet, jakie widuje się w banku lub piekarni, które albo są nieszczęśliwymi starymi pannami, albo mają za męża pijaka i brutala, a jedyną ulgę przynosi im znęcanie się nad podwładnymi w pracy. Chciała mnie upokorzyć.

– A więc nigdy nie pracowałaś jako opiekunka starszej osoby? Hmm. – Postanowiła obrzydzić mi życie. – Możesz wyszorować szafki w kuchni, a potem posprzątać biuro. – Chciała zaznaczyć swoją władzę nade mną w każdej sytuacji. – Mówisz, że już to wyczyściłaś? Zrób to porządnie.

Przyzwyczajona do wykonywania wszystkich zadań z listy, wypełniłam wszystkie jej polecenia z dużą skrupulatnością, ale też bardzo powoli, żeby nie dodawała mi nowych obowiązków. Gdy skończyłam, była już północ. Nie mogłam znaleźć Gabrielli, więc zamknęłam drzwi do biura, licząc na chwilę spokoju. Nigdzie jednak nie można było wygodnie usiąść. Domyślam się, że było to celowe, aby nie pozwolić pracownikom zasnąć. Przejrzałam się w obu lustrach. (Powinnam wyskubać sobie brwi i być może zastanowić się nad jakimiś ćwiczeniami wzmacniającymi nogi. Nie, chyba nie trzeba. Na pewno? Podciągnęłam spodnie do kolana i stanęłam na czubkach palców: na szczęście mięśnie łydek były na miejscu, dzięki moim butom na siedmiocentymetrowych koturnach nie musiałam podejmować radykalnych działań). Zadowolona ze swojego wyglądu usiadłam na

jednym z dwóch krzeseł i zaczęłam przeglądać dziennik dyżurów.

Zapamiętajcie sobie: jeśli będziecie cierpieć na bezsenność, zacznijcie czytać dziennik dyżurów Zielonej Przystani.

Wpisy miały formę głównie krótkich informacji w punktach: zmiany leków, problemy z utrzymaniem ośrodka, wiadomości od odwiedzających, przesunięcia w dyżurach pracowników. Nic interesującego w bieżącym dzienniku ani też w poprzednim. Nie wiem, dlaczego wciąż szukałam, ale cofnęłam się do dzienników sprzed wielu miesięcy. Osiemnaście miesięcy wstecz i wcześniej wpisy były o wiele bardziej zajmujące. Pomędzy informacjami o zmianach w dyżurach i nagłych wypadkach znajdowały się uwagi na temat zgonów.

Bill zmarł o 3.35 nad ranem. Chciał umrzeć w łóżku, słuchając V Symfonii Mozarta i trzymając za rękę swoją córkę Maisey. Zmarł w pokoju numer 4, siedząc w łóżku, słuchając Bacha i trzymając za rękę swoją córkę Maisey. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Niech to się już skończy”.

Jego ostatni oddech: bulgoczący wydech, bardzo głośny. Wyglądał na przerażonego. W jego oku nie widać było żadnego odbicia.

I jeszcze jedna, wcześniejsza notatka:

Brenda zmarła dzisiaj cztery minuty po piątej rano. Chciała umrzeć w domu przy otwartym oknie, słuchając szumu rzeki i trzymając za rękę swojego ukochanego męża Jacka. Umarła w pokoju numer 3, w łóżku, przy zamkniętym oknie. Była sama (Jack zmarł nagle w domu przed trzema dniami).

Usiadła prosto na łóżku i zaczerpnęła ostatni, cichy oddech. Sprawiała wrażenie podekscytowanej, jakby ujrzała kogoś w nogach łóżka. Jej ostatnie słowa: „Jesteś tam!”. W chwili śmierci w jej lewym oku pojawiło się odbicie małego prostokątnego kształtu (145.jpeg).

Jpeg? Dlaczego ktoś miałby robić umierającej zdjęcie? Może tak zażyczyli sobie krewni albo może było to potrzebne zakładowi pogrzebowemu? Albo też chodziło o zdjęcie czegoś zupełnie innego, co było zupełnie niezwiązane z umierającą kobietą?

Wszystkie nudne notatki były opatrzone podpisami Harriet Gavern, Molly Wallace i tak dalej. Ale pod tymi dziwacznymi o śmierci nie widniało żadne nazwisko. I wszystkie były starannie wykaligrafowane wiecznym piórem, sądząc po licznych i częstych kleksach. Przejrzałam wcześniejsze wpisy. Przez ponad dwanaście miesięcy śmierć każdego pensjonariusza była skrupulatnie opisywana przez jakiegoś zachowującego anonimowość świra aż do śmierci Carmel Tate

przed osiemnastoma miesiącami (zmarła o 5.12 rano we śnie, tak jak tego chciała). Ta notatka nie zawierała żadnej informacji o jpegu, tylko jakiś dziwny kod: zKgy48r9fP2_9b.

– Co ty tu robisz?

Cholera, przyłapała mnie sama sucz oddziałowa.

– Nic.

– Cóż, nie płacimy ci za to, żebyś nic nie robiła. Rose potrzebuje czegoś na zmianę. Zostań przy niej do końca dyżuru. I nie przesiaduj tu więcej.

Na zmianę? Matko święta, proszę, żeby to miało coś wspólnego ze zmianą lekarstw albo jedzenia, albo nawet ze zmianą muzyki.

Nie chodziło jednak o to, czego bałam się najbardziej, czyli wielką, wypełnioną numerem dwa pieluchę. Chodziło o kompletną zmianę ubrania, od stóp do głów. Rose wzięła prysznic w ubraniu.

Na szczęście znów miała dziesięć lat, ponieważ dziesięcioletnia Rose nie życzyła sobie, żeby ktoś ściągał za nią majtki.

– Sama to zrobię, Margie, ty siedź przy oknie. Świeże powietrze może ci pomóc!

Ściągając z siebie mokre śpiochy w zebnę, szeptała niczym w gorączce:

– Płynęłam w poprzek rzeki, tak jest szybciej. I nie mam pojęcia, co się nagle stało.

Udało jej się wcisnąć w kolejne śpiochy dla dorosłych, tym razem przypominające kształtem króliczka (skąd ta stara bierze te wszystkie odjechane stroje?). Zasnęła kilka minut po tym, jak się położyła, a ja wkrótce poszłam w jej ślady.

Gdy się obudziłam, Rose trzymała dłoń na moich ustach.

– Cśś! Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. Nic ci nie zrobię. Tylko... posłuchaj.

Siedziałam w fotelu przy biurku Rose. Drzwi do pokoju były zamknięte. Przybory do rysowania leżały rozrzucone po całym blacie – Rose musiała rysować. Jak powinnam zareagować w takiej sytuacji? Kopnąć ją? Zacząć wrzeszczeć? Na zewnątrz było ciemno, ale zobaczyłam zbliżające się światła. Podjazdem jechał samochód. Postanowiłam jej nie prowokować i delikatnie rozsunęłam dwa kościste palce, żeby zaczerpnąć tchu.

– Na pewno myślisz, że jestem szalona. W porządku, nie szkodzi. Ale jestem tylko zdezorientowana. Przez większość czasu. Nie, kiedy rysuję. W moich rysunkach zawarta jest prawda.

Wciąż trzymała rękę na moich ustach, więc mogłam jedynie skinąć głową. Rose westchnęła. Najwyraźniej moje skiniecie nie było dostatecznie przekonujące.

– Zrób coś dla mnie. Dam ci to. – W drugiej ręce miała otwartą kopertę z wetkniętym do środka zwitkiem dwudziestofuntowych banknotów. – Mogę już zabrać rękę? Nie będziesz krzyczeć?

Znów kiwnęłam głową.

– Na nic mi się nie przydasz. Co innego Natalie. Ona mnie zna i jest bystra, ona to dostrzeże.

W plastikowej teczce na jej kolanach leżał rysunek.

– Jej adres jest na kopercie. Powtórz jej to, co ci powiedziałam o moich rysunkach. Co powiedziałam o moich rysunkach?

– Że jest w nich zawarta prawda.

– Tak. Dobrze. Powtórz jej to. W środku jest pięćset funtów. Na grafiku widziałam, że masz jutro drugą zmianę. Jutro o drugiej dam ci tyle samo, jeśli zrobisz to, o co cię proszę. To bardzo ważne. Zrobisz to? Dobrze. Przekaż jej, żeby bardzo uważnie przyjrzała się rysunkowi. – Rose rzuciła wzrokiem na podjazd. Światła samochodu zgasły. Silnik umilkł. – Teraz wracaj do domu, Catherine. Już prawie druga. Tutaj nie jest bezpiecznie.

Z pewnością. Ta stara fretka najpierw usiłowała mnie udusić, a teraz próbowała mi jeszcze napędzić strachu.

– I dobrze sobie zapamiętaj: bez względu na wszystko nigdy nie wchodź do pokoju numer siedem.

W kopercie było pięćset funtów. Pięć stów! I tyle samo miałam dostać jutro.

Pożegnałam się z Harriet, która na resztę nocy zmieniła siostrę Gabriellę. Harriet była niska i gruba, miała siwoszare, sięgające ramion włosy, które w większości jednak wypadły. Na moje oko mogła mieć około sześćdziesiątki. Była wesoła i miła, ale do tego odznaczała się najbardziej godnymi pożałowania rysami twarzy, jakie kiedykolwiek widziałam. Bezbarwne świńskie oczka, brak rzęs oraz brwi, czerwony gruzłowaty, a może nawet rakowaty nos, do tego cienkie usta, które nie domykały się, odsłaniając pożółkłe zęby. Poza tym cuchnęło od niej serem. Ta woń uderzyła mnie, gdy Harriet odprowadzała mnie do drzwi, życząc na pożegnanie:

– Bezpiecznej drogi i niech Bóg cię prowadzi.

Przez całą trasę do domu uśmiechałam się do siebie w taksówce, wyobrażając sobie, jak tańczę już nie na plaży na Ibizie, lecz w Kostaryce. Takie życie mogłabym rozpocząć praktycznie już jutro wieczorem. Przez cały dzień chodziłabym w samym bikini, a wieczorami wkładałabym tylko kusą sukienkę. Skórę miałabym brązową od słońca, a nogi idealnie wyrzeźbione od nieustannego tańca.

Rano mama zachowywała się dziwnie. Przygotowała jak zwykle swoją część śniadania – jajka w koszulkach i tosty – ale nawet nie czepiała się mnie, gdy zeszłam późno do kuchni, żeby zaparzyć kawę i wycisnąć sok z pomarańczy.

– Wyglądasz na zmęczoną, mammo.

– Zmęczona to byłam, kiedy pojechałam do Paryża, pamiętasz? Ledwo dałam radę zjeść mój bilet.

– O czym ty mówisz? – Roześmiałam się.

– Naprawdę nie mam pojęcia – odparła i też się zaśmiała.

Gdy weszliśmy do kuchni, Natalie Holland zaoferowała mi bruschettę, którą przygotowywała na lunch. Natalie była mniej więcej w wieku mojej matki. Zdawałam już sobie sprawę, że to wcale nie jakoś bardzo dużo. Była niewielka, miała niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu, szczupłą sylwetkę i czarne błyszczące, pofalowane włosy z bardzo krótką grzywką. Obcisła czarna sukienka portfelowa natychmiast przyciągała wzrok do jej jędrnej figury i idealnych drobnych piersi (o rany), a buty na koturnach znakomicie podkreślały jej smukłe nogi (o rety). A może jestem po prostu zboczona. Tak czy owak ta kobieta była śliczna, należało ją podziwiać i pogratulować jej wyglądu. Natalie naprawdę wymiałała. Jej dom, parterowy bliźniak ze ścianami pokrytymi tynkiem z drobnymi kamyczkami, wydał mi się z zewnątrz dość przygnębiający, lecz po wejściu do środka całkowicie zmieniłam zdanie. Panował w nim rodzaj artystycznego nieładu, wszędzie piętrzyły się książki, gazety i czasopisma. W salonie, kuchni i ogrodzie widać było ślady rozmaitych pasji, jakimi żyli domownicy. Naliczyłam siedem: pianino, karate, szycie, rysowanie, piłka nożna, Xbox, pieczenie, gra na gitarze. Ta kobieta i jej dzieci – prawdopodobnie chłopcy – interesowali się niemal wszystkim. Wiedzieli, co to znaczy być szczęśliwym. Nic dziwnego, że Rose lubiła Natalie. Kobieta wciąż trzymała w ręce plastikową teczkę, którą wręczyłam jej w drzwiach.

– A więc, Catherine, od dawna tam pracujesz?

– Dopiero zaczęłam.

Natalie położyła teczkę na stole obok dzbanka z herbatą, podała mi ciabattę z pomidorem i naląła herbaty.

– Rose kazała przekazać, że w jej rysunkach zawarta jest prawda.

– No tak. – Smutne westchnienie.

– Czym się zajmujesz, Natalie?

– Obecnie? Karmię i wożę moich chłopców. Kiedyś pracowałam w opiece społecznej i zajmowałam się Rose.

– Zamierzasz obejrzeć rysunek?

Natalie chyba nie miała na to ochoty, ale wreszcie go obejrzała. Jej oczy

jakby się zaszklily i przez chwilę miałam wrażenie, że być może coś z niego zrozumiała, że może znajdowała się w nim jakaś ukryta wiadomość. Ale odłożyła kartkę na stół i ponownie westchnęła.

– To samo co zwykle.

– Wysyłała ci już wcześniej jakieś rysunki?

– Zaczęła rysować dokładnie to samo jakieś sześć miesięcy temu. Z początku próbowałam to zrozumieć, chciałam uwierzyć, że ma mi coś do przekazania. Myślałam, że może w ośrodku dzieje się coś złego. Gdy się tam przeniosła, odwiedzałam ją kilka razy w tygodniu, ale przed sześcioma miesiącami wpadła w przygnębienie, więc jeździłam do niej codziennie. Złożyłam skargę, gdy odebrano jej telefon. Traktowali ją jak więźnia. Zabrałam ją na posterunek policji, kiedy mnie o to poprosiła, ale oczywiście, gdy dotarliśmy na miejsce, nie pamiętała już, po co chciała tam pojechać. To było cztery miesiące temu. Dzień po naszej wizycie na policji wezwał mnie szef.

– Czemu?

– Ech, to skomplikowane. Ktoś się poskarżył. Najwyraźniej nie zachowywałam się jak profesjonalistka. Denerwowałam Rose, tylko pogarszałam jej stan.

– A więc cię wylali?

– Nie, sama odeszłam. Mogę chyba pracować jako pielęgniarka za pośrednictwem agencji, nie jestem jeszcze pewna. Pomyślałam, że odwiedzę Rose w charakterze przyjaciółki, ale nie pozwolili mi. Nie widziałam jej od czterech miesięcy. Teraz ma tylko Chrisa, to jej wnuk. Jej córki nawet się nią nie interesują. Jak ona się czuje?

Znałam Rose ledwie od dwudziestu czterech godzin, ale z wyrazu jej twarzy byłam już w stanie rozpoznać, w którym roku aktualnie przebywa. Teraz wydawała się zdeterminowana, ale nie szalona: to znaczy, że miała osiemdziesiąt dwa lata. Podniosła wzrok znad biurka, przy którym znów rysowała.

– Zaniósłś rysunek Natalie?

– Kazała cię uściskać.

Ruszyłam w jej kierunku z szeroko rozłożonymi ramionami, nie mając wcale ochoty na uściski ze staruszką, czułam jednak, że zachowałabym się nie w porządku, gdybym tego nie zrobiła. Rose na szczęście wybawiła mnie z tej niezręcznej sytuacji.

– Uściskać? Ożeż kurwa mać.

Ręce opadły mi wzdłuż tułowia. Uff. Rose wręczyła mi drugą kopertę wypchaną gotówką.

– Dziękuję, że próbowałaś, Catherine.

– Naprawdę nie powinnam brać od ciebie pieniędzy. Natalie nie zrozumiała twojego rysunku.

Moja ręka jednak sama wyciągnęła się po kopertę.

– Pewnie zdążyłaś się już zorientować, że jestem bogata jak diabli. Bierz. A jeśli jesteś zainteresowana, chcę, żebyś spróbowała raz jeszcze. Ja się nie poddam.

W myślach już zaczęłam kupować dodatkowy bilet na lot z Kostaryki na Tahiti.

– Pewnie, że jestem zainteresowana.

– Dzisiaj skończę nowy rysunek.

Zanosilo się na to, że w ciągu dwóch dni zarobię półtora tysiąca funtów. Ta praca zaczynała mi się podobać. Zgodziłam się zanieść rysunek Natalie zaraz po skończeniu zmiany i poczułam się bardzo sprytna oraz szczęśliwa. Było jednak we mnie coś wyjątkowego. Dostaję najbardziej zasraną robotę pod słońcem, której nie chciałby się podjąć nawet największy kretyn i która nie wymaga żadnych umiejętności, doświadczenia, kwalifikacji, zapału ani wyobraźni, a tu proszę... To wręcz domagało się, żeby wrzucić na fejsa, zresztą Rose nie miałaby nic przeciwko, pewnie nawet by tego nie zrozumiała. Skierowałam więc aparat w komórcę na swoją radosną, bogatą, inteligentną twarz i zaczęłam obmyślać, jakim opatrzeć ją podpisem: „Jestem szczęśliwa, mądra i bogata. Zarobiłam właśnie 1500 funtów! Walcie się, ówoki! Patrzcie na mnie, wszystkie gnojki, którzy myśleliście, że nic nie osiągnę...”.

– To Emma – przerwał mi nagle głos Rose.

Wyglądała na korytarz. Dwóch mężczyzn pchało w kierunku drzwi frontowych nosze na kółkach, na których leżało nakryte prześcieradłem ciało. Rose podążyła za nimi wzrokiem i powiedziała:

– Tak mi przykro, Emmo. Próbowałam.

Gdy mężczyźni z noszami zniknęli nam z pola widzenia, wytarła oczy chusteczką. Wydało mi się to dość gruboskórne, że wywożą zmarłych w tak ostentacyjny sposób.

– Czy nie mogą ich wynosić tylnymi drzwiami?

– Są za wąskie – odparła Rose. – Lubię się żegnać z tymi, którzy nas opuszczają. Pójdiesz ze mną?

Stałyśmy teraz na podjeździe dla wózków przy frontowych drzwiach. Nosze czekały już obok ambulansu. Starszy mężczyzna i dwie kobiety w średnim wieku z płaczem przyglądali się, jak sanitariusze podnoszą Emmę i wsuwają do środka pojazdu. Rose też ciągle płakała.

– Biedactwa. Spóźnili się kilka godzin.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

Nie chciałam, by zabrzmiało to bezdusznie, ale wydawało mi się dziwne, że

ludzie tak bardzo przejmują się tym, aby towarzyszyć bliskiej osobie w chwili śmierci. Przecież umierający przez większość czasu nie jest nawet świadomy ich obecności. Ludzie nie powinni się więc czuć winni, jeśli ich przy tym zabraknie. Ale mój komentarz rozzłościł Rose. Skarciła mnie tak mocno jak moja matka:

– To ma ogromne znaczenie.

– Niby czemu? – spytałam drwiąco.

Rose westchnęła.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Jak chcesz umrzeć?

– Wcale nie chcę.

– Wciąż jeszcze wydaje ci się, że jesteś nieśmiertelna, co?

– Nie.

Ale miała rację. Nie zamierzałam się nawet zestarzeć, a co dopiero mówić o umieraniu.

– Kiedy nadejdzie ten czas, będzie miało dla ciebie duże znaczenie to, gdzie się znajdujesz i kto jest przy tobie. Będziesz miała ostatnie życzenie i powinno ono zostać spełnione.

– A jakie jest twoje?

– Moje?

– Tak, jakie jest twoje ostatnie życzenie, Rose?

Martwa ręka Emmy zsunęła się z noszy, wywołując u jednej z opłakujących osób okrzyk rozpacz.

– Nie chcę umrzeć w pokoju numer siedem.

Rose prawdopodobnie nie miała zbyt dobrego głosu, gdy była młoda. Dodatkowo podeszły wiek sprawiał, że z jej piersi wydobywało się teraz tylko cienkie, drżące zawodzenie:

– *Ty pójdiesz górą, a ja dołem.*

Nie miałam ochoty przyłączać się do niej, nie należę do osób, które można zmusić do uczestniczenia w różnego rodzaju obrzędach, ale cieszę się, że też zaczęłam śpiewać, ponieważ dzięki temu ta pieśń nie brzmiała tak marnie. Zza naszych pleców wsparł nas również męski głos. Marcus. I zanim się zorientowałyśmy, mąż Emmy i dwie kobiety na podjeździe też zaczęli śpiewać *Nad pięknymi brzegami Loch Lomond* i śpiewaliśmy wszyscy, aż ambulans z Emmą i jej martwą ręką zniknął nam z oczu.

Gdy Rose wróciła bezpiecznie do swojego pokoju i zajęła się kończeniem rysunku, Marcus zasugerował, że to dobry moment na moją pierwszą rozmowę ewaluacyjną. Poszłam z nim na tył budynku, a potem schodami na górę do jego

mieszkania, które zajmowało całe pierwsze piętro. Wszędzie widać było znaki świadczące o tym, czym kiedyś było to miejsce: oryginalne dębowe podłogi, olbrzymi, usytuowany centralnie korytarz z otwartymi drzwiami prowadzącymi do kilku przestronnych pokoi, wąskie schody wiodące na górę na przyprawiający o gęsią skórkę – jak się domyślałam – a na pewno ozdobiony wieżyczkami strych, a także salon dwukrotnie większy od wielu domów. Ale Marcus w dużej mierze pozbawił to miejsce jego staroświeckiego piękna i zamienił w minimalistycznie urządzone, choć pełne gadżetów typowe mieszkanie kawalera. Zdjął ze ścian uchwyty na obrazy, na których bez dwóch zdań wisiały portrety wielu pokoleń rodu Bairdów, i w każdym pokoju umieścił na ścianach doki do iPodów oraz głośniki. W salonie w miejscu, w którym powinien się znajdować kominek, zamontował telewizor wielkości ekranu kinowego. Każdy pokój ozdobiło jedno wyjątkowo brzydkie dzieło sztuki, przy czym dwa z nich przedstawiały nagie ciała z wybałuszonymi oczami. Stara biblioteka została zamieniona na lśniącą czernią kuchnię z szafkami pozbawionymi uchwytów, które otwierało się „zaledwie lekkim muśnięciem małego palca”. Za tymi błyszczącymi czarnymi taflami ukryte były wszystkie sprzęty kuchenne: kostkarka do lodu, lodówka na wino oraz włoski ekspres do kawy, z którego Marcus teraz właśnie korzystał.

– Cukru? – Usiadł przy wypolerowanym kamiennym stole i zamieszał czarną kawę w maleńkiej filiżance. – Co obecnie czytasz?

– Nie przepadam za książkami.

Jedynie książki, które udało mi się zmęczyć do końca, to lektury szkolne. Nie miałam więc na ten temat za wiele do powiedzenia.

– Czytałaś *Buszującego w zbożu*?

Nie do wiary. Akurat to tak, do szkoły. I cholernie się wynudziłam. Cały ten pieprzony męski niepokój. Jeśli jesteś taki kurewsko wyalienowany, to zamknij się w domu i zatrzymaj swoje przemyślenia dla siebie.

– Niezbyt mi się podobał.

Marcus przeszedł przez korytarz do swego gabinetu, po czym wrócił z książką w ręce.

– Być może byłaś jeszcze na to za młoda. Ta książka odmieniła moje życie. Sposób, w jaki przedstawia skomplikowane kwestie tożsamości, przynależności, związków i alienacji... To jest po prostu genialne! Nalegam, żebyś przeczytała ją raz jeszcze.

Nie zamierzałam tego robić, za to postanowiłam sprawdzić w Wikipedii mało znane fakty na jej temat, żebym mogła udawać, że czytałam.

– Widziałaś kiedyś ludzkie zwłoki?

– Nie – odparłam.

Dziadek zmarł, gdy miałam pięć lat, a kiedy odeszła babcia, byłam na Wyspach Kanaryjskich.

Następnie spytał mnie, jak się czuję w związku z Emmą. Opłukał filiżanki po kawie i jakimś czarodziejskim gestem otworzył drzwiczki, za którymi – jak się okazało – kryła się zmywarka do naczyń.

Gdy sanitariusze podnosili nosze z Emmą, żeby włożyć je do ambulansu, spod prześcieradła wysunęło się tylko ramię. Nie widziałam więc jej w całości, tylko kawałek ciała oderwany od reszty. Odparłam więc, że czuję się w porządku. W końcu zobaczyłam tylko jej ramię i choć było ono bardziej szare od innych ramion, które widziałam w życiu, to wcale mnie to nie wystraszyło, ponieważ wiedziałam, że Emma była stara i chora, więc jej śmierć nie była raczej dla nikogo zaskoczeniem, prawda?

– Już piąta. Nie masz nic przeciwko, żebyśmy otworzył butelkę prosecco?

Nie pytając mnie nawet, czy mam ochotę, nalał mi kieliszek.

– Wciąż jestem w pracy. – Podniosłam rękę na znak protestu.

– Po tym, co się stało, chciałbym, żebyś wzięła sobie już do końca dnia wolne. Ważne, żeby o tym porozmawiać. Takie sytuacje mogą odcisnąć ślad na twojej psychice.

Nie zauważyłam tego wcześniej, ale Marcus nosił kolczyki. Małeńkie srebrne kółka.

– Pamiętam mój pierwszy raz.

Nalał nam obojgu po kolejnym kieliszku. Upił łyk, czekając, aż poproszę go, żeby o tym opowiedział, czego jednak nie zrobiłam.

– Miałem piętnaście lat. Ona nazywała się Nadine. Miała niesamowite rude gęste włosy. Faliste, nie kręcone. Do tego przezroczyście skórę. Wiesz, typ Irlandki.

Rozdął lekko nozdrza. Były teraz długie i szerokie. Gdy bardzo powoli wróciły do swego normalnego stanu, przypominały cienkie długie szczeliny. Dostrzegłam, że nie ma włosów w nosie, zapewne strzygł je trymerem, co znaczyło, że tam w dole też się pewnie golił.

– Spędziłem tutaj całe dzieciństwo. W weekendy rodzice kazali mi czytać pacjentom książki w zamian za kieszonkowe. Nienawidziłem tego. Kilka razy nawet uciekłem. To wszystko wydawało mi się przerażające: starzy umierający ludzie. Aż wreszcie zjawiła się Nadine. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, och, i te włosy! Moja pierwsza wielka miłość. Podczas swojej choroby nie odezwała się do mnie ani jednym słowem, ale czułem, że jestem w niej zakochany. Wiesz, jak to jest. W każdym razie mama uznała, że wyjdzie mi na dobre, gdy będę przy śmierci Nadine. Taki rodzaj zahartowania, próba oswojenia, żeby śmierć przestała budzić we mnie strach. Siedziałem przy jej łóżku, gdy to się stało. Pamiętam, jaki dźwięk wtedy wydała, jak zmienił się kolor jej skóry, zmianę wyrazu jej ust oraz spojrzenia, kiedy z żywej nagle stała się martwa. Pamiętam, że widziałem jej sutki prześwitujące przez koszulę nocną.

Upiłam łyk prosecco.

– To dość porąbane, Marcus.

– Hej, miałem w końcu tylko piętnaście lat. – Zaśmiał się i wyciągnął w moją stronę swój kieliszek.

Chinosy Marcusa miały ciemnopomarańczowy kolor. Zauważyłam przez nie, że miał bardzo zaokrąglone kolana. Wydaje mi się, że w zaokrąglonych kolanach jest coś naprawdę ohydneho, zwłaszcza u mężczyzny. Kolczyki, grube kolana, przerażające opowieści: coraz więcej przemawiało na jego niekorzyść. Postanowiłam, że na mnie już czas.

– Jeśli naprawdę nie potrzebujesz mnie dzisiaj w pracy, to mam coś ważnego do załatwienia.

Rose już skończyła rysunek, gdy wróciłam do jej pokoju. Trzęsącymi się dłońmi wręczyła mi kopertę.

– Powiedz to samo, co poprzednio. W nim jest zawarta prawda.

– Jaka prawda, Rose?

– To straszne miejsce. Bea i Emma umarli! Szybko, zanieś to.

– Gdzie? Do Natalie? Nie jestem pewna, czy tym razem też zrozumie.

Na twarzy Rose pojawiło się zmieszanie, jakby nagle straciła koncentrację.

– Nie jestem pewna, czy tym razem też zrozumie – powtórzyła moje słowa.

– Mam przekazać ten rysunek twojemu wnukowi?

– Chris to dobry chłopak.

– Jesteś pewna?

Położyła się na łóżku.

– Oczywiście, że tak.

Zamknęła oczy.

Odszukałam adres Chrisa w teczce Rose w biurze i zadzwoniłam po taksówkę do Gartmore.

Dojazd do bielonego wapnem domku Chrisa w miasteczku mającym jedną ulicę kosztował mnie czterdzieści funtów. Czułam zakłopotanie, czekając pod drzwiami, bo wiedziałam, że moja misja i tak jest bezcelowa, ale gdy tylko się przedstawiłam, Chris natychmiast sprawił, że się rozluźniłam.

– Ach, to ty jesteś ta nowa!

Chris wyglądał jak typowy przyjaciel gej, o jakim zawsze marzyłam, ale nigdy nie byłam na tyle wyluzowana, żeby sobie takiego znaleźć. Mojej przyjaciółce Rebecce to się udało, gdy miała szesnaście lat. Rebecca była totalnie luzacka. Nic nie mogło jej speszzyć. Chyba również niczym się nie interesowała, bo rozmawiała ze mną jedynie – wolnym, monotonnym głosem – o ciuchach innych

ludzi na imprezach, o ciuchach, jakie sama nosiła na imprezach, i o ciuchach, które planowała włożyć na imprezy w przyszłości. Miała jednak w sobie coś, co sprawiało, że otwarcie przyznający się do swojej orientacji, a wręcz obnoszący się nią z dumą Frankie czuł się w jej towarzystwie swobodnie, kumpłował się z nią od lat oraz rozmawiał – z pewnością – także na inne tematy niż tylko ciuchy i imprezy. Boże, nawet moja mama miała gejowskiego przyjaciela. Czemu więc ja nie?

Gdy tylko ujrzałam Chrisa, postanowiłam, że tym razem zrobię wszystko jak należy i postaram się roztoczyć ten nieodparty czar, jakim zawsze emanowała Rebecca. Rozluźniłam ramiona i tak jak ona zrobiłam minę w stylu „życie jest tak kurewsko nudne”.

– Twoja babcia prosiła, żebym przywiozła ci ten rysunek.

– Wejdz. Nastawiłem właśnie wodę na herbatę.

W środku dom wyglądał równie przyjemnie jak na zewnątrz. Wszędzie pełno było stylowych rzeczy, ale nic nie wydawało się pozbawione celu. Na przykład antyczny chlebak: miał uniesioną pokrywę, a w środku znajdował się chleb z ziarnem. Chris zamknął laptop stojący na drewnianej kuchennej ławie i nalał mi herbaty.

– Czuję się okropnie. Zazwyczaj odwiedzam ją codziennie, ale dzisiaj wypadł mi wyjazd do Aberdeen. Co u niej? Dobrze się czuje? Chyba nie stało się nic złego, prawda?

– Nie, skąd, wszystko w porządku. Wprawdzie znam ją ledwie od kilku dni, ale chyba nic się nie zmieniło. Chciała tylko, żebym przekazała ci ten rysunek. Powiedziała, żebyś dokładnie go obejrzał.

Chris otworzył kopertę. Podobnie jak na poprzednim rysunku Tilly leżała w łóżku w pokoju numer siedem, a tuż obok stała kobieta pozbawiona rysów, oczywiście z wyjątkiem mocno czerwonych ust. Chris przeczytał na głos tekst:

– *Mam już dość tej zabawy – powiedziała Tilly. – Jestem już tym zmęczona. Mówiłam ci już, że nie chcę, żeby to tak wyglądało.*

– *Och, jakaż ona pełna żalości – rzekła królowa. – Już dobrze, już dobrze, zróbmy sobie przerwę. Nastawię czajnik.*

– Twoja babcia, Chris, boi się pokoju numer siedem.

– W pokoju numer siedem jest wilgoć. Nie nadaje się do zamieszkania. – Chris złożył rysunek, odłożył na bok i zaczął sączyć herbatę. – Gdy któryś z pensjonariuszy umiera, umieszczają tam zwłoki do czasu, aż przybędzie przedsiębiorca pogrzebowy.

– Aha. – Cóż, to miało sens. – Dla twojej biednej babci wszystko jest takie przerażające i niezrozumiałe. Och, obiecałam jej jeszcze, że przekażę, że prawda

jest zawarta w rysunkach.

Wyraz twarzy Chrisa przypominał minę Natalie, gdy powiedziałam jej to samo. Oboje pewnie słyszeli to już setki raz.

– Czytałaś książki o Tilly?

Skinęłam głową. Historie o dziesięcioletniej Tilly rozgrywały się w latach czterdziestych. Jej pełne nazwisko brzmiało Mathilda Greenthorn. Została ewakuowana z Londynu i wraz z innymi dziećmi umieszczona w domu na wsi w Staffordshire. Ciągłe robiła rzeczy, których nie powinna, i pakowała się w kłopoty. Zawsze też próbowała pomagać innym dzieciakom.

– To były moje ulubione książki w dzieciństwie.

– Moje też. To strasznie smutne, co się jej przydarzało. – Komórka Chrisa zabręczała. – Wybacz, muszę odebrać. Praca.

Sądząc z tego, co słyszałam, rozmawiał z gliniarzem albo adwokatem. Wspomniał o sprawcy, coś o żelaznym kluczu, nieznannej męskiej ofierze oraz „bardzo wysokiej” liczbie notowanych.

– Jasne, zajmę się tym – oświadczył i rozłączył się.

– Jesteś policjantem? – Powstrzymałam się przed użyciem słowa „gliniarz” i byłam z tego dumna.

– Nie, prowadzę własny biznes w branży IT. Policja współpracuje ze mną jako konsultantem przy śledztwach związanych z internetem.

– Na przykład oszustwach?

– Chciałbym. Przestępstwa seksualne. Ktoś musi się tym zajmować. Dzisiaj każdy znajdzie w sieci coś dla siebie.

Chris planował odwiedzić Rose jak zwykle o siódmej, ale postanowił, że pojedzie do niej od razu. Po drodze podrzucił mnie na zakupy, a ja przez cały ten czas nie byłam w stanie wydusić z siebie zdania. Zdaję sobie sprawę, że to śmieszne czuć wobec niego taki respekt, skoro nie wiedziałam o nim niczego poza tym, że zdecydowanie był gejem. A skąd to wiedziałam? Po prostu mi zaufajcie. Nie wiem, czy mam jakiś radar na gejów, ale to zauważyłby nawet ktoś pozbawiony takiego zmysłu. Chris miał cudowny domek z najfajniej urządzonej wnętrzem, jakie widziałam w życiu. Był przystojny w intrygujący, niepokojący sposób – przypominał odrobinę ogoloną i bardziej radosną wersję Johnny’ego Deppa i miał soczyste usta, wprost stworzone do całowania, gdyby tylko chciał całować się z dziewczynami. Emanował pewnością siebie, życzliwością i urokiem osobistym. O rany, zabijałam się w pedale. I uwielbiałam to, z jakim podziwem wypowiadał się o swojej starej, szurniętej babci.

Nie jestem pewna, czy ja podziwiałam swoją babcię, ale na pewno ją kochałam. Była typową gospodynią domową z lat pięćdziesiątych. Nosiła obcisłe

kwieciste sukienki. Prasowała bieliznę, przyszywała guziki, wywabiała plamy, piekła ciasta i szyła zasłony. Nic więc chyba dziwnego w tym, że mama buntowała się przeciwko niej. Odmawiała robienia wszystkiego, co robiła jej matka. A z kolei to, czemu jej matka się sprzeciwiała, ona robiła z entuzjazmem. Na przykład nie akceptowała staników i spódnic, nosiła tylko dżinsy i męskie koszule. Na studiach medycznych brała udział w marszach przeciwko Margaret Thatcher, po czym rzuciła studia, zamieszkała z facetem z tatuażem i sama zrobiła sobie tatuaż, zamieszkała z facetem uzależnionym od narkotyków i sama też uzależniła się od narkotyków, studiowała stosunki międzynarodowe, zaszła w ciążę, poślubiła faceta, którego nie kochała, i po roku wyrzuciła go z domu. Wychowywała mnie tak, żebym w niczym nie przypominała jej matki, ponieważ kobiety takie jak jej matka były słabe i niesamodzielne, a ja – jak mi powiedziała – miałam być niezależna. „Ale, mamo, ja mam tylko pięć lat!” „I jesteś całkowicie samodzielną pięciolatką” – odparła.

Tamtego dnia w szkole przez cały czas zastanawiałam się, co to w ogóle znaczy być całkowicie samodzielną pięciolatką. I wciąż się zastanawiam.

Gdy wróciłam do domu, mama płakała. Jak tylko otworzyłam drzwi, usłyszałam straszliwe zawodzenie i oparłam się pokusie, by natychmiast wyjść.

– Mamo, co się dzieje?

Wytarła twarz w poduszkę.

– Och, nic takiego, menopauza! Przepraszam. Jak minął ci dzień?

Zdecydowałam, że informację o pieniądzach od Rose zachowam w sekrecie. Mama pewnie kazałaby mi je zwrócić, a ja nie mogłam tego zrobić, zwłaszcza po tym, jak po drodze do domu wydałam dwieście trzydzieści funtów na kostiumy kąpielowe i makijaż w Galerii Buchanan, a resztę zdążyłam już rozdysonować w głowie.

– Ktoś dziś umarł.

– Och.

Oczy mamy wezbrały łzami. W ciągu dwudziestu trzech lat nigdy nie widziałam, jak płacze (może dlatego że kiedy umarła babcia, byłam na Wyspach Kanaryjskich, ale nie zdziwiłabym się, gdyby wtedy też nie uroniła ani łzy), aż tu nagle stała się istną maszyną do płakania. Zabawne, że to menopauza rozbudziła w niej kobietę, a nie na odwrót.

– Kto? – spytała.

– Miała na imię Emma. Bez przerwy śpiewała tę pieśń o Loch Lomond. Wczoraj wydawało się, że wszystko jest z nią w porządku. Widziałam jej ramię. Było szare.

Mama po prostu nie była w stanie zapanować nad swoją dolną wargą.

Miałam ochotę złapać ją i przytrzymać, żeby tak się nie trzęsła.

– Czy Emma się bała?

– Nie byłam przy jej śmierci. Jestem pewna, że tak. Kto by się nie bał?

Mama wtuliła twarz głęboko w poduszkę z kaczego pierza, lecz nie na tyle głęboko, żeby stłumić szloch. „Menopauza!” – pomyślałam, idąc do swojego pokoju. Nałożyłam słuchawki, żeby nie słyszeć jej płaczu, po czym przymierzyłam pierwszy z trzech kostiumów bikini (w czerwone kropki, wiązany na karku). Wolę umrzeć, niż zestarzeć się na tyle, by doczekać menopauzy.

Rozdział 6

82 lata

Chris przyznał się jej pierwszej. Miał wtedy siedemnaście lat i był szczęśliwy jak skowronek. Nie cierpiał z tego powodu żadnych katuszy. Rose przytuliła go i oznajmiła, że wiedziała o tym, odkąd skończył siedem lat, i cieszy się, że w końcu zdołał powiedzieć to na głos. „Ale tylko tobie”, przyznał Chris. Na ujawnienie się przed rodzicami potrzebował kolejnych pięciu lat i dużej butelki whisky.

Od chwili narodzin Chris był jej oczkiem w głowie. Kochała go nawet bardziej od własnych córek, które w okresie dorastania były dla niej tylko źródłem niepokoju. W przeciwieństwie do nich Chris zawsze był samodzielny, pracowity i radosny. Piękny chłopiec. W tym momencie farbował jej włosy na czarno.

- Przecież już są czarne!
- Ale zrobiły ci się odrosty, babciu.

Gdy rozległ się alarm minutnika, Chris splukał je, po czym nałożył na nie szampon i zaczął masować jej głowę, tak że Rose całkowicie rozplynęła się w rozkoszy.

- O co chodzi z tymi rysunkami? Znowu coś się dzieje w twojej głowie?

Wysuszył jej włosy, nałożył piankę i zmierzwił je artystycznie. Następnie pomógł jej się ubrać w nowe śpiochy w kształcie koali, które kupił dziś rano. Tadam! Odwrócił ją do lustra.

- Wyglądasz wspaniale!
- Masz cholerną rację – musiała się z nim zgodzić.
- A teraz wskakuj do łóżka i opowiadaj, co jest grane z tymi rysunkami.

Było jej tak przyjemnie, czuła się taka senna. Chris często działał na nią uspokajająco. Przymknęła oczy.

– Babciu, powiedziałaś Catherine, żeby pokazała mi rysunek. Dlaczego? Wiesz, że nie wolno ci wysyłać listów ani żadnych rzeczy.

- Catherine?
- Ta nowa. Przysłałaś ją do mnie do domu, pamiętasz? Taka ładna blondynka.

- A, ta nieciekawa.
- Tak, właśnie ta.

Rose zupełnie nie miała ochoty o niej rozmawiać. Chciała dowiedzieć się czegoś o pracy Chrisa.

- Opowiedz mi o którejś ze swoich spraw. Nad czym teraz pracujesz?

- To poufne.
 - Przecież i tak zaraz wszystko zapomnę.
 - No dobra, monitorowałem stronę poświęconą BDSM, dla wielbicieli zabaw sadomasochistycznych, i dotarłem za jej pośrednictwem do pewnego koleśia z Aberdeen. Nie uwierzyłyabyś, jakie chore rzeczy kręci ten facet.
 - Opowiadaj.
 - Nie, to zbyt obrzydliwe, serio. A już na pewno nie nadaje się na opowieść na dobranoc. Powiem tylko, że występujący u niego aktorzy nie wyglądali na zbyt szczęśliwych. Facet jest zarówno producentem, jak i dystrybutorem swoich filmów.
 - Aktorzy, producenci, reżyserzy. Mówisz, jakby to było Hollywood.
 - No cóż, to biznes. Ludzie robią na tym pieniądze.
 - Ale „aktorzy” to chyba niewłaściwe słowo, co?
 - Słowa, słowa...
 - Jak coś takiego działa?
 - Co masz na myśli?
 - Na przykład gdy kupiłeś tę koszulę, poszedłeś do sklepu. Właściciel sklepu kupił ją od hurtownika, który z kolei kupił ją od szefa jakiegoś małego chińskiego chłopca, który ją uszył.
 - To funkcjonuje tak samo.
 - No co ty!
 - Tak. Aktor jest powiązany z producentem, który kontaktuje się z klientem, kiedy klient łączy się z internetem...
 - BDSM, muszę to zapamiętać. – Rose powoli zapadała w sen.
 - Nie, babciu, tego nie musisz zapamiętywać.
- Rose jednak nie słyszała już, co mówił Chris. Wiedziała jedynie, że ten głos ją uszczęśliwia. Poczula jeszcze, jak wnuk całuje ją w czoło.

10 lat

Nie mogła uwierzyć, że zasnęła. Jak mogła do tego dopuścić? Rose wyskoczyła z łóżka i wybiegła z domu w poszukiwaniu Margie. Nie było jej w środku, musiała więc być w oborze. Popędziła przez mokry trawnik i wreszcie ją znalazła: stała przy płocie i patrzyła w kierunku rzeki.

Rose pchnęła ją lekko w stronę wody, wiedząc, że Margie za bardzo się boi, by sama do niej wskoczyć, i wejdzie tylko za siostrą. Gdyby udało im się przedostać na drugą stronę we dwie, dotarcie do lekarza zajęłoby im o połowę czasu mniej. Trzymając za rękę młodszą siostrę, Rose ciągnęła ją i ciągnęła, aż w końcu znalazły się po pas w wodzie.

- Rose, powiedziałaś, zatrzymaj się! – zawołała Margie.

Nie miały czasu, ale Rose musiała przystanąć na moment, żeby ją przekonać.

Musiła być za nią odpowiedzialna, troszczyć się o nią.

– W porządku, spójrz na mnie, Margie. Jeśli się zatrzymamy, możesz umrzeć. Jak nie dasz rady iść, mogę cię ponieść. Wskocz mi na plecy.

– Nie, Rose. Po prostu wracajmy.

– NIE! – Rose puściła dłoń Margie i pociągnęła za swoje mysiobrązowe włosy, krzycząc: – Margaret Isabel Price, masz robić to, co ci każe!

O rety, woda robiła się coraz głębsza, teraz sięgała już schorowanej piersi Margie. Pokonały zaledwie jedną czwartą drogi, a w połowie rzeki na pewno będzie znacznie głębiej. Rose chwyciła siostrę pod pachy, odholowała ją z powrotem na brzeg i posadziła pod drzewem. Zebrała trochę suchej trawy i wszystkie gałązki, jakie udało jej się znaleźć, i ułożyła z nich ognisko.

– Zaczekaj tutaj, tylko pójdę po zapałki. Wracam za chwilę.

Rose pognęła z powrotem na farmę, wślizgnęła się przez tylne drzwi, przekradła przez korytarz do pustej kuchni i zaczęła szukać zapałek. Gdzie one mogą być? Nie nad kuchenką ani w szufladzie, ani pod zlewem. No tak, w chlebaku! Gdy wróciła pod drzewo, dreszcze Margie przeszły w gwałtowny dygot. Wargi powoli jej siniały. Rose zużyła trzy zapałki, zanim w końcu rozpałała ognisko.

– Siedź przy ogniu, a ja zaraz wracam. Margie, przestań, nie mów takich rzeczy. „Trzymaj mnie za rękę, gdy będę umierać!” Co za bzdura, nie pozwolę ci umrzeć! A to dlatego że zaraz sprowadzę tu lekarza! Rozumiesz więc, dlaczego nie mogę tu z tobą zostać. Przysięgam na życie naszego taty, że to nie potrwa długo. Już wiem, zaśpiewaj dwadzieścia razy *Imagination*, a nim skończysz, ja będę z powrotem. – Rose zaczęła nucić piosenkę.

Gdy tylko Margie otworzyła usta, żeby do niej dołączyć, Rose zbiegła do rzeki, a gdy woda zaczęła sięgać jej ud, rzuciła się przed siebie i zaczęła płynąć na drugą stronę.

82 lata

Mieli eleganckie określenie na to, co jej właśnie robili, ale w rzeczywistości była to napaść. Rose leżała przywiązana do łóżka. Wrzeszczała i usiłowała kopać, ale nie pozwalały jej na to pasy biegnące przez jej tułów oraz wokół nóg i ramion. Nieciekawa dziewczyna stała przy drzwiach, była mokra i wyglądała na przerażoną. Pospolita idiotka.

Wezwali Chrisa. Wparował do środka, minął nieciekawą dziewczynę i rozkazał im ją rozwiązać. I to JUŻ.

– Zdejmijcie to z niej! Na litość boską, to Rose Price, a nie jakaś kryminalistka! Jeśli zaraz jej nie uwolnicie, dzwonię na policję!

Siostra Gabriella odpięła pasy, a Chris pochylił się i przytulił ją. Kochany

chłopak, bez względu na wszystko zawsze był przy niej.

Siostra sucz wyszła po kilku minutach, zostawiając Chrisa i tę nudną blondynkę, Catherine, żeby ją uspokoił przeglądaniem rodzinnego albumu fotograficznego. Trzeba przyznać, że ta strategia była skuteczna, a ona to lubiła.

– Babciu, może dobrze byłoby porozmawiać o tym, co się wydarzyło, gdy miałaś dziesięć lat.

Chris przewrócił na stronę ze zdjęciem Rose i Margie stojących na dworcu kolejowym tuż przed wyjazdem na farmę. Margie trzymała małą lalkę ubraną w ładną sukienkę i małe sznurowane buciki. Rose spojrzała na półkę obok książeczek o Tilly. Siedziała tam dokładnie ta sama lalka, Violet. Była to jedyna pamiątka, jaka została jej po Margie. Natomiast po rodzicach nie zostało jej nic, nawet zdjęcia. Po śmierci Vernona przekazała Elenie dużą skrzynię wypełnioną różnego rodzaju rodzinnymi szpargałami. Przeprowadzała się wtedy do swojego małego domku i nie miała tam zbyt wiele miejsca. Powierzyła więc skrzynię Elenie, żeby się nią zaopiekowała. Niestety Elena przed wyjazdem do Kanady dokonała bezlitosnej czystki w swoim dobytku i skrzynię wraz z jej zawartością oddała do antykwariatu gdzieś w Yorku. Potem bardzo ją przeproszała. Nie zdawała sobie sprawy, że w skrzyni zostały fotografie. Rose wybaczyła jej i starała się na nią nie gniewać. Ale wiele by dała, by znów ujrzeć twarz swojego ojca. Dostrzegłaby w niej zapewne to samo pełne dobroci spojrzenie, z jakim opowiadał jej bajki na dobranoc, a nie ten zimny wzrok, z którym powiedział: „Jesteś samolubną dziewczyną, Rose Price”. Ta lalka była najcenniejszą rzeczą, jaką miała. Była śliczna, z błyszczącą małą twarzyczką i różowymi policzkami. Zdjęła ją z półki i posadziła na łóżku.

– Może rozmowa o tym pomoże ci, babciu? – powtórzył jej wnuk. Często to robił.

Rose przytuliła do siebie Violet, położyła się na boku i podciągnęła kolana do piersi.

– Chcę teraz zostać sama – oznajmiła.

Rozdział 7

Robiłam sobie właśnie selfie nad rzeką, gdy Rose podkraǳła się do mnie od tyłu i wepchnęła mnie do wody. Nie wiem, skąd wzięła się w niej taka siła, ale wydostanie się na brzeg zajęło mi całe wieki. Kiedy posadziła mnie pod drzewem i pobiegła do kuchni po zapaliki, byłam zbyt zziębnięta i zszokowana, żeby się w ogóle poruszyć. Siostra Gabriella i druga pielęgniarka o imieniu Molly przybiegły, gdy tylko zobaczyły dym z rozpalonego przez Rose ogniska, wyciągnęły ją z rzeki i obezwładniły – tak to przynajmniej nazwały. To znaczy przygniotły ją do ziemi, zaniósły do łóżka i przywiązały do niego aż do przybycia Chrisa. Choć w ciągu trzech dni zarobiłam więcej, niż większość moich znajomych wyciąga w miesiąc, przestałam mieć z tego powodu wyrzuty sumienia, ponieważ ta praca była naprawdę ciężka i zasłużyłam sobie na te pieniądze.

Gdy Rose zasnęła, Chris wyjaśnił mi, że co najmniej raz dziennie przeżywa na nowo pewne dwugodzinne zdarzenie ze swojego dzieciństwa. Uciekła wtedy razem z Margie z farmy, żeby sprowadzić lekarza. Próbowwała wraz z nią przepłynąć się przez rzekę, a kiedy jej się to nie udało, zostawiła siostrę pod drzewem, ukradła zapaliki z kuchni na farmie, rozpałiła ognisko, żeby Margie nie zmarzła, i sama przepłynęła na drugi brzeg. Gdy dotarła do miasteczka, rzuciła kamieniem w okno domu lekarza, ponieważ nie reagował na pukanie do drzwi. Kiedy wróciła z nim pod drzewo, Margie już nie żyła. Ucieczka, rzeka, zapaliki, kamień, śmierć. Nie zawsze odtwarzała to wspomnienie w całości, nie zawsze przeżywała je od początku czy też zachowywała chronologiczny porządek. Ucieczka, rzeka, zapaliki, kamień, śmierć. Zapaliki, rzeka. Śmierć, ucieczka. Kamień, rzeka, śmierć, ucieczka, zapaliki.

– Choroba sprawiła, że Rose sfiksowała na punkcie najgorszych rzeczy, jakie jej się przydarzyły – oznajmił Chris – czyli śmierci Margie i tego, jak ojciec powiedział jej, że jest samolubna. Szkoda, że nie odtwarza w pamięci pierwszych kroków swoich córek albo wydania pierwszej książki. Pewnie zaraz po tym, jak dostała telefon z wiadomością od agenta, od razu poszła się upić do pubu!

Resztę poranka spędziłam na podawaniu herbaty i pomaganiu pacjentom w przedostaniu się do sali zajęć, gdzie przez godzinę przysłuchiwali się marnym popisom jakiegoś miejscowego pianisty. Przez cały ten czas przysadzista Harriet wykonywała na środku sali okropny taniec, mający wzbudzić wśród pacjentów radość.

W ośrodku było w sumie siedem sypialni. Po obiedzie odbywało się sprzątanie. Postanowiłam wtedy wszystkie je sprawdzić.

Z samego przodu budynku znajdowały się dwa duże pomieszczenia z oknami wykuszowymi: kuchniojadalnia po prawej stronie z toaletą dla

niepełnosprawnych z tyłu oraz biuro po lewej. Za nimi było sześć sypialni, po trzy z obu stron. Różniły się wielkością, ale w każdej panował ten sam zapach i ten sam klimat: pośrodku stało szpitalne łóżko na kółkach, nad nim wisiał jeden landszaft, drugi – na ścianie naprzeciwko, wszędzie poręczce i przyciski alarmowe. Wszystkie pokoje miały przyległą łazienkę z siedziskiem pod prysznicem oraz sedesem z nakładką podwyższającą i uchwyty dla niepełnosprawnych. Pokój numer jeden, który należał do Rose, był pierwszy na lewo za biurem. Naprzeciwko niej mieszkali katatoniczka Nancy i jej cierpiący na depresję mąż Gavin. W pokoju numer trzy, zaraz za pokojem Rose, urzędował eksrockman Jim. Pokój numer cztery, naprzeciwko Jima, należał kiedyś do Emmy, ale teraz stał pusty. Za Jimem, w pokoju numer pięć, mieszkał dwudziestojednolatek chory na białaczkę, ale od kilku dni przebywał w swoim domu, więc jeszcze go nie widziałam. Pokoju numer sześć, który nie miał własnej łazienki, używano jako sali telewizyjnej. A sala zajęć mieściła się na samym końcu i przylegała do tylnych drzwi.

Najbardziej interesował mnie pokój numer siedem. Był ukryty z prawej strony, w głębi kiepsko oświetlonego korytarza, i znajdował się kompletnie na uboczu. Przy jego drzwiach stał dystrybutor z wodą. Aby wyglądać, jakbym była czymś zajęta, wyjęłam z kosza worek, w którym było kilkanaście pustych papierowych kubków, sprawdziłam, czy nikt mnie nie widzi, i bardzo powoli nacisnęłam kłamek. Był zamknięty.

– Szukasz czegoś? – Siostra Gabriella wystraszyła mnie jak diabli.

– Tak... nie. – Podniosłam worek z wyrzuconymi kubkami. – Zabierałam tylko śmieci.

– Próbowałaś tam wejść.

– No dobra, byłam ciekawa, co jest w środku.

– Nie jest przeznaczony do użytku.

– Dlaczego przenoszą tu zmarłych? Nie lepiej zostawić ich w pokojach, aż przyjedzie po nich ktoś z zakładu pogrzebowego?

– Co za makabryczny pomysł.

– Czy to nie dlatego Rose tak się go boi?

– Rose boi się wszystkiego. A ty, młoda damo, tylko marnujesz mój czas.

Z kieszonki na piersi Gabrielli wystawało czarno-złote wieczne pióro. Może więc to ona była tą świruską od anonimowych wpisów w dzienniku dyżurów. Pieprzona psychopatka.

– Sprawdź, jak się czuje Nancy. Dziś rano spadła z łóżka.

W drodze do pokoju Nancy zastanawiałam się, jakim cudem to miejsce w ogóle na siebie zarabia. Marcus najwyraźniej dysponował pokaźną fortuną, choć placówka miała zaledwie siedem pokoi, z czego cztery stały obecnie puste. Może po prostu zajmował się tym z zamiłowania? Nie! To niemożliwe, żeby ktoś aż tak bardzo kochał tę robotę.

Widziałam już kilka razy Nancy. Pierwszego dnia w sali zajęć patrzyła prosto przed siebie, nawet nie mrugając (upiorny widok). Usta miała lekko rozchylone, przez cały czas nawet nie drgnęła. Następnego dnia mąż pchał ją na wózku po ogrodowej ścieżce. Miała tę samą pozbawioną wyrazu twarz. A tego ranka mąż karmił ją bułeczką: rozwierał jej usta, żeby włożyć kawałek do środka, a potem sam żuł przed jej twarzą w nadziei, że zacznie go naśladować. I faktycznie, robiła to samo, ale i tak wyglądała, jakby była martwa. Serio, jeśli jej mąż ją kochał, to dlaczego nie wsadził do tej bułeczki dwudziestu tabletek paracetamolu? Ja bym tak zrobiła.

Czy powinnam zapukać do pokoju Nancy i Gavina? Tego chyba przecież wymaga podtrzymywanie w pacjentach poczucia godności. Ostatecznie jednak nie zapukałam i bardzo tego żałuję. Gavin wprawdzie miał na sobie koszulę, ale nie miał ani spodni, ani majtek. Jego kościsty tyłek podrygiwał w górę i w dół na nagim żółtym ciele Nancy. Jasna cholera, chyba nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy. Ten widok jeszcze długo będzie mnie prześladował po nocach. Leżała z szeroko otwartymi oczami, w ogóle nie mrugała. Dolna szczęka zwisała lekko przekrzywiona. Nancy była kompletnie nieruchoma. A jej mąż uprawiał z nią seks.

Zatrzasnęłam szybko drzwi i przerażona zakryłam dłonią usta. Co to było? Czy on ją właśnie gwałcił?

W moim kierunku zmierzała siostra Gabriella.

– Z Nancy wszystko w porządku?

– Tak. W porządku. Jest tu gdzieś Marcus? Muszę z nim porozmawiać.

Nie zająknęłam się ani słowem o tym, co zobaczyłam. Wiedziałam już, że rozmawianie z Gabriellą o czymkolwiek nie ma najmniejszego sensu.

– Píše coś na górze i nie chce, żeby mu przeszkadzano.

Odczekałam, aż Gabriella zniknęła w biurze, i popędziłam na tył budynku, otworzyłam drzwi do niego i zawołałam:

– Marcus! Marcus, jesteś tu?!

– Jestem w gabinecie, wejdź na górę.

Gdy z histerią w głosie wypaliłam, że właśnie nakryłam Gavina, jak uprawia seks z własną żoną, nie zabrzmiało to jak informacja, która powinna budzić jakkolwiek trwogę. Marcus pracował na komputerze przy ogromnym lśniącym orzechowym biurku. Ten pokój wyglądał identycznie jak całe jego mieszkanie: gładki, sterylny, pozbawiony wszelkich ozdób.

Zapisał to, nad czym właśnie pracował.

– No i?

– Przecież ona jest warzywem! Nie można uprawiać seksu z kimś, kto jest warzywem!

Marcus podrapał się po głowie.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Serio. Ale oni są małżeństwem, a Nancy

w swojej deklaracji opieki terminalnej oświadczyła, że jej pożycie seksualne z Gavinem ma dla niej duże znaczenie.

– W swoim czym?

– W deklaracji opieki terminalnej. To taki plan na umieranie. Nancy oświadczyła w nim, że bez względu na wszystko nie chce utracić swojej seksualności.

– Ale... – Nie potrafiłam zebrać myśli. Gdyby jednak mi się to udało, i tak nie byłabym w stanie w to uwierzyć. Przecież Nancy utraciła już swoją seksualność, prawda? Razem ze zdolnością mrugania.

– Była w tej sprawie bardzo stanowcza. Słuchaj, rozumiem, o co ci chodzi, ale to delikatna kwestia. Sprawdzę, jak czuje się Nancy. Porozmawiam o tym z Gavinem i przekażę mu twoje obawy.

Zrobiło mi się niedobrze, ale zaczęłam się zastanawiać, czy nie jestem po prostu głupia. Mdlilo mnie na myśl o każdej starszej parze małżeńskiej uprawiającej seks, a nudności nasilały się wraz z wiekiem pary, o której myślałam w tym kontekście. Może więc za wszystko winę ponosiło moje uprzedzenie do starych ludzi. Może tak po prostu wyglądali wszyscy starcy uprawiający seks. Fuj...

– Ale... – Nic więcej nie byłam w stanie z siebie wydusić.

– Zajmę się tym. Zostaw to mnie. Dobrze się czujesz?

– Tak, jestem tylko nieco wstrząśnięta.

– Co powiesz na drinka po pracy?

Dalsza część dnia przebiegała w ślimaczym tempie. Obserwowałam, jak Gavin wozi żonę po ogrodzie, i wypatrywałam w nim oznak zła. On jednak był wobec niej czuły i kochający. Usiadł na ławce i coś jej czytał. Odgarnął kosmyk włosów, który spadł jej na oczy. Odegnał z ramienia pszczołę. Wydawało się, że się o nią troszczył. Mimo to...

Siostra Gabriella zauważyła, że gapię się przez okno, i wysłała mnie, żebym załadowała do prania kilka koszy z brudną bielizną. Ohyda. Włożyłam rękawice, żeby wrzucić ubrania do pralki. Wielgachne gacie. Cuchnące skarpety. Przesikane spodnie. Gdy się z tym uporałam, Gabriella zaproponowała, żebym posłuchała, jak Jim gra na gitarze.

Nie znałam żadnej z piosenek śpiewanych przez Jima, ale słuchanie go nie było jakąś straszną udręką w przeciwieństwie do dwóch chłopaków, z którymi się kiedyś spotykałam. Tak się złożyło, że obaj mieli pod ręką gitarę i każdy z nich zrujnował całkiem niezłe zapowiadający się wieczór. Jeden bardzo cicho śpiewał mroczne piosenki, utrzymując ze mną cały czas niezwykle intensywny kontakt wzrokowy, w związku z czym nie mogłam śpiewać razem z nim i czułam się

zmuszona go słuchać. Drugi napisał dla mnie piosenkę pod tytułem *Poczuj to*, która w swej powtarzalności tytułowego wersu nie różniła się zbyt od *Nad pięknymi brzegami Loch Lomond* w interpretacji Emmy i była bardzo zła (po jej wysłuchaniu już nigdy „tego” nie poczułam). Ale Jim był świetny, był prawdziwym artystą. Śmiałam się i przyłączałam do śpiewania we właściwych miejscach. Polubiłam go. Uznałam, że był najnormalniejszy z nich wszystkich. Wypytywał o moje życie i wykazywał zainteresowanie moimi odpowiedziami.

– Kostaryka! O rany! Mają tam najlepszą trawkę pod słońcem. Skręć tam dla mnie jednego jointa, dobra? I wyślij mi razem z ogromnym półmiskiem owoców morza.

Poza tym Jim miał fascynujące życie. Jeździł w trasy koncertowe ze słynnymi kapelami, choć o żadnej z nich nie słyszałam, opowiadał historie o wokalistach, którzy przedawkowali narkotyki, o tym, jak wyrzucali ich z hoteli w Pradze, o tym, jak jednego roku zarobił tyle, żeby przejść na emeryturę, a w kolejnym wszystko przepuścił na imprezowaniu.

– Miałaś jakieś fanki, Jim?

– Nieźle się bawiłem! A w ogóle to mów mi Jimmy. A jeśli kupisz jakąś trawkę, przywieziesz mi trochę?

Postanowiłam zachować się profesjonalnie:

– To nielegalne. I niedobre dla twojego zdrowia.

– Och, daj spokój, tylko na małego skręta. Przecież i tak jedną nogą jestem już na tamtym świecie. Przynajmniej odejdę z uśmiechem na ustach.

Obiecałam, że mu przywożę i że nikomu o tym nie powiem.

Jimmy był zabawny – opowiedział mi trzy dowcipy i każdy z nich miał sens, a choć wszystkie trzy słyszałam już wieki temu, bez większego trudu zdołałam się roześmiać. Postanowiłam spędzać z nim jak najwięcej czasu. Był odpowiednio stary, ale nie w śmierzący, przyprawiający o ciarki sposób. Nie wywoływał we mnie przerażenia.

Miałam mnóstwo pytań do Marcusa i gdy dotarliśmy do baru Brunszwik, od razu go nimi zasypałam.

– Siostra Gabriella mówiła, że coś piszesz...

– No tak, ale nikomu nie mów. To trochę żałosne, ale chcę zostać pisarzem. Wierz mi, do historii, nad którą pracuję, wyszukuję w Google naprawdę chore rzeczy. I w razie czego taka będzie moja linia obrony.

Piliśmy jaskrawozielone koktajle w eleganckich szklankach. Nie wiem, co w nich było, ale najważniejsze, że dawały kopa, a Marcus stawiał.

– Gdzie są twoi rodzice?

– Dwa lata temu przeszli na emeryturę i wyjechali do Francji. Zostawili mi

dom i interes.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, czy mogę zapytać, jak ośrodek na siebie zarabia, skoro ma tak mało pensjonariuszy?

– Hipoteka domu jest spłacona, więc to pomaga. A opłaty za pobyt są wysokie. Dajemy sobie radę.

„Dajemy sobie radę” to za mało powiedziane. Marcus jeździł mercedesem klasy C.

– A nie wolałbyś zająć się czymś innym?

Gdy patrzyłam na niego, jak siedzi w barze, pijąc drinka niczym normalny młody facet, nie mieściło mi się w głowie, że chciał tutaj zostać. Nie zdradzał raczej nadmiernych opiekuńczo-społecznych odruchów.

– Dlatego właśnie zabrałem się do pisania! Ale dosyć już o mnie. Opowiedz mi o najbardziej krępującej rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobiłaś.

Może gdybym nie wypila tych dwóch zielonych drinków, nie nachyliłabym się nad nim, jakbym zamierzała go pocałować, a potem nie pstryknęłabym go w nos.

– Właśnie to.

Marcus się wzdrygnął.

– Auć, jestem pani szefem, panno Catherine.

– A ja jestem pańską niesforną pracownicą, panie Marcus.

Odwiózł mnie o szóstej, odprowadził pod same drzwi i pocałował jak prawdziwy dżentelmen.

– Dobranoc, Catherine.

Hmm. Facet jeździł mercem, był bogaty, zabawny, no i był moim szefem (tę ostatnią okoliczność uważałam za nieco nieprzyzwoitą, co odrobinę mnie podniecało), ale od jego pocałunku nie przeszły mnie żadne ciarki. No ale nie było to wcale takie niezwykle. Ciarki przeszły mnie tylko raz, zeszłego lata z Paulem. Oboje byliśmy pijani i siedzieliśmy sami u mnie w domu po powrocie z wieczoru komediowego w The Stand. Flirtowaliśmy i z nadzwyczajną szczodrością ocenialiśmy nawzajem różne części swoich ciał. „Dziewięć, zdecydowanie!” – Paul dotknął moich nóg. „Dziewięć” – położyłam rękę na jego klatce piersiowej. Ostatnie ocenialiśmy usta. „Dziesięć” – powiedział Paul i przysunął się do mnie. Wtedy właśnie przeszły mnie ciarki. „Ożeż ty!” Zeskoczyłam z kanapy wystraszona jak diabli tym, co przed chwilą się stało. Poczułam coś do Paula. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Był jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miałam, jedynym na tyle interesującym i zainteresowanym mną człowiekiem, z którym mogłam naprawdę się przyjaźnić. Kazałam mu wyjść i on wyszedł. Już nigdy więcej nie bawiliśmy się w tę grę. Muszę tu jednak poczynić pewne

wyznanie. Po tym, jak nieomal pocałowaliśmy się z Pauliem, usiadłam na łóżku i napisałam do niego mail:

Paul,

Myślę, że pewnego dnia wyjdę za Ciebie za mąż. Wiesz o tym, prawda? Proszę więc, nie próbuj mnie już więcej całować, dopóki nie skończę trzydziestu dziewięciu lat.

C

Muszę się też przyznać do tego, że od tamtego czasu co tydzień piszę do niego jeden mail. W sumie napisałam ich już trzydzieści sześć. Żadnego jednak nie wysłałam, wszystkie trzymam w folderze z wersjami roboczymi. Niektóre są dość ckiwe, inne zaś odrobinę niegrzeczne.

Gdy weszłam do środka, mama spała. Najwyraźniej sprzątała dziś dom. Wyglądał, jakby został ze wszystkiego ogołocony. Nigdzie nie widziałam ani skrawka papieru, w koszu na pranie nie było ani jednej sztuki brudnej bielizny. Prawdziwe wiosenne porządki.

Ping. Marcus zaprosił mnie do znajomych na Facebooku. Usunęłam wszystkie moje wpisy na temat pracy w ośrodku i wcisnęłam „Potwierdź”. Tak, Marcus i ja zostaliśmy znajomymi, a ja jestem już dostępna i gotowa do czatowania.

Ping!

Dzięki za wspaniały wieczór, M

I wzajemnie, C

Przepraszam, że gadam o robocie, ale czy mogłabyś przyjść jutro od 4 do 11, zamiast od 9 do 4? A kiedy przyjdiesz, nie wchodź od frontu, tylko najpierw zajrzyj do mnie na górę. Zanim zaczniesz, chcę o czymś z Tobą porozmawiać.

Dobra, nie zanosz się więc na sex chat. Całe szczęście – nie byłam w tym dobra. Kiedy już w to wejdziesz, nie ma odwrotu, więc co najmniej przez dwadzieścia minut trzeba zgrywać niezwykle napaloną (*Tak, właśnie zdjęłam stanik* i tak dalej, i tak dalej), a potem jeszcze udawać, że dochodzę w tym samym momencie co ta druga osoba, a ja nie jestem zbyt przekonująca (*O tak, ja też. Rany, niesamowite, to na razie*). Napisałam więc:

Okej. Wszystko u ciebie w porządku?

Zapadła długa cisza. Marcus coś pisał. I wciąż pisał. Może jednak miał ochotę trochę poświntuszyć. Z westchnieniem powlekłam się do łóżka gotowa na dwadzieścia minut oczekiwania na odpowiedź. A on ciągle pisał... Cholera, chyba nie zebrało mu się na jakieś ckiwe teksty. Ani też nie doszedł do wniosku, że powinien mnie jednak wywalić. Postanowiłam odrobinę go uspokoić:

Nie panikuj, Marcus. Jestem totalnie wyluzowana.

Gdy zobaczył moją odpowiedź, musiał wykasować wszystko, co wcześniej napisał, bo po całym tym oczekiwaniu przysłał zaledwie tyle:

Nie panikuj! Pamiętaj tylko, żeby najpierw przyjść na górę. Tylnymi drzwiami. Do zobaczenia o 4. :)

Gdy się obudziłam, mama już wyszła do pracy. Parząc sobie kawę, zauważyłam nową rozpiskę posiłków na lodówce. Zazwyczaj menu na cały tydzień wieszala w niedziele, ale dzisiaj był dopiero piątek, a ona zrobiła nową listę obiadów na całe dwa miesiące naprzód. Była starannie przypięta magnesem z logo Oxfam tuż obok numerów alarmowych. Na stole zostawiła karteczkę:

Kocham cię, Catherine. Do zobaczenia niebawem, moje słońce.

Tego typu listy zostawiała mi tylko wtedy, gdy czuła się winna. Usiadłam i postanowiłam obejrzeć jakiś wesoły film, w którym nie byłoby ani starych ludzi, ani obrzydliwego seksu, ani dręczonych wyrzutami sumienia matek. *Ostrza chwały* – doskonały wybór.

Po pięciu minutach filmu zaczęłam rozmyślać o Kostaryce. Mogłam tam wyjechać praktycznie w każdej chwili, a to znaczyło, że musiałam powiedzieć o tym mamie.

Plan A: zostawić jej po prostu list: „Cześć, mamo! Wyjechałam zwiedzić świat! Zadzwoń, gdy będę mogła”. W końcu ona ciągle zostawiała mi takie listy. Wzięłam ten, który znalazłam dzisiaj, i na jego wzór zaczęłam układać w głowie podobny: „Kocham cię, mamo. Do zobaczenia wkrótce”.

Plan B: spakować się i wychodząc do czekającej pod domem taksówki, zupełnie swobodnym tonem oznajmić, że wyjeżdżam odnaleźć siebie. Nie, na pewno odparłaby mi, że ona wie, gdzie dokładnie jestem, to znaczy: po pierwsze, w domu, po drugie, razem z ogromnym długiem na karcie kredytowej oraz, po trzecie, z zerowymi widokami na karierę. A zatem powinnam natychmiast się rozpakować i wziąć się za siebie.

Plan C: poprosić ją, żeby usiadła, podać jej kieliszek czerwonego wina i na poważnie z nią porozmawiać. Mogłabym jej powiedzieć, że ją kocham, ale za bardzo mnie kontroluje i czasami czuję się przy niej trochę bezużyteczna, jakbym była dla niej rozczarowaniem albo uważała mnie za pomyłkę. Mogłabym też wyjaśnić, że potrzebuję побыć trochę sama, żeby poznać samą siebie, żeby stać się samodzielna. Hmm. To mogło się udać. Może to wszystko było nawet prawdą. Bo czy wspominałam już o tym, że byłam pomyłką? Mój tata nie był tym mężczyzną, za którego mama wyszła za mąż. Tata był narkomanem, z którym mieszkała wcześniej. Zmarł z przedawkowania w ich jednopokojowym mieszkaniu w Partick. „Był wspaniałym człowiekiem – mawiała mama. – Pomysłowym, spontanicznym,

inteligentnym i zabawnym”. Poznali się, gdy studiował na uniwersytecie literaturę angielską, a ona medycynę. Mama oblała egzaminy końcowe i następnych kilka lat spędziła z nim jako bezrobotna hipiska, to znaczy paliła trawkę i brała udział w marszach przeciwko licznym wówczas przypadkom niesprawiedliwości. Kiedy tata zmarł, mama miała dwadzieścia pięć lat i studiowała stosunki międzynarodowe. Trzymała w domu mały album fotograficzny, nad którym rozrzewniała się w każdą rocznicę jego śmierci. Jedno zdjęcie przedstawiało ich, jak piją w barze w miasteczku uniwersyteckim. Tata miał rozczochrane ciemnoblonde włosy oraz szeroki uśmiech, w którym szczyrzył wszystkie zęby. Był z niego kawał przystojniaka, a ja odziedziczyłam po nim kilka cech, włącznie z bujnymi blond włosami. Bóg jeden wie dlaczego nie odziedziczyłam urody mojej mamy, pozbawionej wdzięku i nigdy nieuśmiechającej się szarej myszy. Na kolejnym zdjęciu rodzice siedzą w salonie. Mają przekrwione oczy. I nie był to, jak początkowo sądziłam, efekt działania lampy błyskowej. Towarzyszy im kilkoro przyjaciół. Wszyscy leżą wyciągnięci na podłodze pokoju wyglądającego na melinę narkotykową klasy średniej (wiktoriański kominek, wyfroterowane podłogi, butelki whisky, fajki wodne). Narkotykowe uzależnienie mamy nie trwało długo i ograniczało się do sporadycznego palenia marihuany. Z ojcem sprawa była poważniejsza. Zabiła go zanieczyszczona uliczna heroina. Mama znalazła go podobno w wannie. Jak mówiła mi babcia, leżał, szczyrzył wszystkie zęby w tym swoim szerokim uśmiechu. Brawo, tatulku. Nie mam żalu do jego rodziców, że nie chcieli mieć nic wspólnego z tą naroślą, która pojawiła się na brzuchu mojej matki. Właścicielka tego brzucha najpierw sprowadziła ich syna na manowce, a potem doprowadziła go do śmierci. Tak więc ona i jej brzuch mogli wypierdalać.

Rok później mama poślubiła Martina Watsona. Zajmował się budowaniem bloków na pustych parcelach w Glasgow, na których dawniej grzebano zmarłych. Znał mamę jeszcze z czasów, gdy występowała jako Maria w *Dźwiękach muzyki* w Eastfield Youth Theatre, a on grał najstarszego syna Friedricha. Chciał ją wtedy pocałować, ale po czterech miesiącach prób oraz pięciu przedstawieniach o wpół do siódmej wieczorem, podczas których wcielał się w rolę jej pasierba, zaczął czuć się z tym pragnieniem dość nieswojo. Pięć lat później, gdy mama przeprowadzała inspekcję jednego z jego penthouse'ów z widokiem na rzekę, Martin wreszcie zdobył się na odwagę. Babcia była zachwycona: mąż, i to jeszcze jaki znakomity. Wkrótce jej córka przywdzieje fartuch i stanie przy blacie kuchennym w dużym domu jednorodzinnym w Kelvindale, aby zabrać się do wypieków wraz z pierwszym dzieckiem u boku i drugim w drodze. Niestety po kolejnym roku mamę zmęczyły tradycyjalistyczne oczekiwania oraz kapitalistyczne poglądy Martina i wyprowadziła się od niego. Miałam wtedy dwa lata, więc jedyna komórka rodzinna, jaką pamiętam, składała się zawsze tylko ze mnie i mojej szalonej mamy, która następnie zaczęła wspinać się po szczeblach kariery

w organizacjach non profit, przejmować w nich władzę i zbawiać świat.

„Twoja matka cię uwielbia, jest tylko rozdarta, jak wiele kobiet, pomiędzy poczuciem, że powinna być wzorem do naśladowania, a rzeczywistością” – powiedziała mi babcia, gdy miałam dwanaście lat. Pewnego razu uciekłam do niej, gdy rozszalała się we mnie burza hormonów. Choć nie miałam daleko, ledwie siedem przecznic. Pokłóciłyśmy się z mamą. Ale nie była to typowa kłótnia matki z córką w rodzaju:

Matka: Nie zrobisz sobie tatuażu!

Córka: Pieprz się, zrobię, jeśli zechcę.

Matka: Nie przeklinaj.

Córka: Czemu nie? Sama przeklinasz!

Matka: I mówiłam ci, żebyś posprzątała swój pokój.

Córka: Mam to gdzieś.

Nie, nie, mama była zbyt zapracowana i zbyt poważna, żeby tracić czas na kłótnie o takie bzdury. Tego typu błahostki załatwiała migiem podczas spotkań przy stole w jadalni: „Nie zrobisz sobie tatuażu? Dobrze. Po drugie, nie zamierzam więcej przeklinać. Masz rację, daję ci zły przykład. Więc ty też nie będziesz przeklinać? – I nie czekając na odpowiedź: – Dobrze. Po trzecie, niedzielny wieczór to dobra pora na posprzątanie swojego pokoju. To, Catherine, jest coś, co chcę, żebyś zaczęła robić już od teraz”. Tatuaż sprawiłam sobie dopiero, gdy skończyłam dziewiętnaście lat – na wewnętrznej stronie lewego ramienia zrobiłam sobie postać Bachusa, boga wina, umieszczonego w czarnym kręgu. Gina i Rebecca strzeliły sobie po Pegazie, ale uznałam, że to dość kiczowate. Teraz na pewno mi zazdroszczą.

Nie kłóciłyśmy się z mamą o tatuaże, przeklinanie czy sprzątanie, ale zdarzało nam się kłócić, tak jak tego razu, gdy uciekłam do babci. Wrzeszczałyśmy na siebie o różne inne sprawy, do których mama przykładła wielką wagę, a o których ja niewiele wiedziałam, nie mówiąc już o tym, żeby mnie obchodziły. Na przykład o uchodźców, Bliski Wschód czy obrzezanie kobiet. Pewnego wieczoru mama urządziła przyjęcie z Antoniem oraz bandą znajomych i kazała mi z nimi usiąść. Wyłączyłam się podczas dyskusji, która pomimo burzliwego przebiegu okropnie mnie nudziła. Znajdowałam się akurat w trakcie błyskotliwej wymiany esemesowej z Giną na temat tego, jaka pulchna robi się Rebecca, gdy mama mnie zapytała:

– Co myślisz o sytuacji w Strefie Gazy, Catherine?

– W ogóle o tym nie myślę.

– Mam cię wprowadzić w temat?

Mama zrobiła się czerwona z gniewu. Zapewne domyśliła się, co

zamierzałam powiedzieć.

– Nie, wszyscy na pewno macie rację.

Gdy goście wyszli, mama nakrzyczała na mnie:

– Powinnas bardziej interesować się światem! Jak możesz być tak egocentryczna?

Na poczekaniu napisała dla mnie nową listę:

1. Co rano przeczytaj przynajmniej dwa artykuły w "Guardianie".

2. Każdego wieczoru masz oglądać ze mną wiadomości na Channel 4. To, Catherine, jest coś, co chcę, żebyś zaczęła robić już od teraz!

Rzuciła we mnie listą i zatrasnęła drzwi.

Ale to nie po tej kłótni uciekłam do babci. Ta kłótnia dotyczyła porno. Mama sprawdziła moją historię przeglądania i odkryła stronę internetową, na którą zaglądałam jako nowicjuszka w sztuce masturbacji. Gina i Rebecca męczyły mnie już od dawna, żebym tego spróbowała. „Jesteś taka świętoszkowata, Catherine!” „Na Boga, kobieto, zrób sobie wreszcie dobrze!” Poinstruowały mnie, żebym użyła w tym celu słuchawki prysznicza i myślała o Harrym Grovesie z trzeciej klasy. Bez powodzenia. Może dlatego że wąż od prysznicza był tak krótki, że słuchawka sięgała mi ledwie do brzucha, strumień wody nie był dostatecznie mocny, a jedyny obraz Harry’ego Grovesa, jaki utkwił mi w pamięci, przedstawiał go jedzącego brzoskwinę i w ogóle nie był podniecający, ale raczej dość obrzydliwy: kawałek różowego mięszu przyczepił mu się do brody i choć Harry na pewno go poczuł, to nie chciało mu się go zetrzeć. Po kilku próbach udoskonalenia metody z prysznicem i wyobrażeniem Harry’ego Grovesa dziewczyny pożyczyły mi dildo i kazały użyć mi go w łóżku oraz myśleć o Brendanie Xavierze z telewizji. Bez powodzenia (dildo wprawiało mnie w przerażenie, a grube brwi Brendana Xaviera urosły w mojej fantazji do takich rozmiarów, że zajęły całe pole widzenia – wyglądał jak diabeł). Potem dostałam od nich wibrator w kształcie pocisku i nazwę strony porno. Dziewczyny pouczyły mnie, żebym poszukała na niej czegoś, co mnie podnieci. Próbowałam kilka razy, ale wszystkie tego typu serwisy napawały mnie lekkim wstrętem. Nie jestem pewna, czy byłam zainteresowana całym tym wkładaniem i wyciąganiem – ani też gotowa na to. Nie wiem, czy dalej bym próbowała, ponieważ zanim zdążyłam podjąć decyzję, doszło do konfrontacji z mamą.

Gdy mnie przyłapała, zrobiło mi się wstyd, ale z kolei jej reakcja wprawiała mnie we wściekłość. Mama bowiem zmusiła mnie, żebym razem z nią obejrzała jeden z tych filmów.

– Wiesz, kim jest ta dziewczyna? – Zatrzymała wideo i wskazała na kobietę z wybałuszonymi oczami, którą jakiś pozbawiony twarzy facet ciągnął do góry za

włosy i wpychał jej w gardło swój interes.

– Co?

– Wiesz, ile ma lat?

– Skąd mam to wiedzieć?

Mama zrobiła zbliżenie na jej twarz. Dziewczyna była opalona i nie miała praktycznie żadnego makijażu.

– Spójrz na nią. Ile może mieć lat? Osiemnaście? Siedemnaście? Może szesnaście? Albo i mniej. Popatrz jej w oczy. Co widzisz? Kim twoim zdaniem jest jej mama? Myślisz, że jej mama to widziała? Jak myślisz, gdzie jest jej dom, Catherine?

Chciałam ją wtedy zabić. Myślałam, że w przyszłości będę pewnie musiała po tym doświadczeniu chodzić na terapię.

– Mogła zostać uprowadzona i sprzedana. Jej rodzina może nawet nie wie, gdzie ona teraz jest. Albo mogła zostać sprzedana przez własnego ojca. Albo sąsiad zapłacił jej, żeby to zrobiła, a potem zabrał ją do dziwnego domu w dziwnej okolicy i bił ją, gdy nie robiła tego, co jej kazali. Wiesz, jakie ta dziewczyna ma marzenia, Catherine? Co się znajduje na jej liście?

Zrobiła jeszcze większe zbliżenie, ale byłam tak wściekła, że nie mogłam patrzeć. Terror moralny, jaki uprawiała moja matka, sprawił, że miałam ochotę zapłacić komuś, żeby ją porwał i zabił. Poza tym w szafce nocnej przy łóżku mamy odkryłam jej własną kolekcję filmów oraz wibrator.

– Ale z ciebie hipokrytka, mamó! Widziałam twoją skrytkę z pornosami.

Zamilkła i oblała się rumieńcem.

– Ale ja zrobiłam research. Te filmy zostały nakręcone przez kobiety. A ty co wiesz o tym filmie? Co wiesz o tej dziewczynie?

– Czemu nie obejrzysz krótkiego wywiadu z nią na początku filmu? Ma na imię Rixie i pochodzi z Teksasu. W zeszłym roku na rozdaniu złotych kutasów w Los Angeles miała na sobie lśniąca złotą suknię i zdobyła nagrodę za najlepszą scenę obciążania! Mamó, to przemysł, biznes, a ona „totalnie uwielbia swoją pracę”! Boże, nie wszystko od razu musi być podejrzane!

– Czyżby? A czy w tym wywiadzie powiedziała, co znajduje się na jej liście?

– Nie każdy musi mieć pierdoloną listę.

– Może w tym tygodniu chciała trenować do biegu na pięć kilometrów. Może chciała zacząć naukę gry na gitarze. Może zamierzała przestać przeklinać. Nie rozumiesz, że oglądając to, pomagasz więzić ją w tym pokoju? Jesteś niemal tak samo zła jak handlarze żywym towarem, którzy ją porwali.

– Nikt jej nie porwał! Ona jest z Teksasu!

Uciekłam do babci. A onanizować zaczęłam się dopiero w wieku siedemnastu lat. (Tak na marginesie, zawsze wyobrażałam sobie wtedy Paula. Działo za każdym razem).

Uwielbiałam spędzać czas z babcią. Lgnęłam do niej, upajałam się otaczającą ją aurą tradycyjnej kobiecości. Krótkie, zafarbowane na jasny brąz włosy zawsze miała nienagannie ułożone. I aż do samej śmierci każdego dnia nosiła pełny makijaż, włącznie ze szminką i tuszem do rzęs. Mam wrażenie, że kładła się w nim nawet spać. Dziadek zmarł, gdy miałam pięć lat. W ogóle go nie pamiętam, ale babcia zawsze wspominała go z wielką czułością. Z tego, co wiem, uwielbiał żartować i uważał, że jądanie na mieście to strata pieniędzy oraz czasu (mawiał: „Do diabła, moja żona jest o wiele lepszą kucharką od każdego szefa restauracji!”). Babcia opowiadała, że byli szczęśliwym małżeństwem. Często odwiedzałam ją po szkole. Usuwała plamy z moich ubrań i przyrządzała mi trzydaniowy obiad, natomiast mama była w trakcie tygodnia tak zabiegana, że ledwo starczało jej czasu na jednodaniowe obiady kupowane w Marks & Spencer.

Teraz rozumiem, że choć bardzo potrzebowałam spędzać czas z babcią, zawsze wracałam od niej do domu, do matki, która tak naprawdę nie była dla mnie jak matka. Robiłam to dlatego, że tego chciałam. Mama i babcia stanowiły dwie połówki mnie samej, które nie do końca jeszcze zdołały się do siebie dopasować.

Miałam osiemnaście lat, gdy babcia umarła. Atak serca. W kuchni, miała na sobie fartuch.

Uważałam, że moja matka kochała mnie w taki sam sposób, w jaki kochała Martina Watsona. Stanowiłam dla niej próbę podjęcia konwencjonalnego życia, która się nie powiodła. Ostatecznie przyczepiłam się do niej na dłużej niż on i stanęłam jej na przeszkodzie w kilku awansach. Sama mi to powiedziała: „Zostałam w Glasgow dla ciebie, Catherine! Z punktu widzenia mojej kariery Londyn byłby znacznie lepszy”. Gdy dosłużyła się wreszcie kierowniczego stanowiska, i tak musiała tam jeździć przynajmniej raz w tygodniu. Babcia mieszkała w zasadzie tuż za rogiem, więc spałam u niej, gdy mama wyjeżdżała, a potem wracałam do domu z poczuciem, że stanowią dla mamy tylko utrapienie i kłopot.

Zdecydowałam się na plan C: wino, rozmowa, trudne wyznania. Postanowiłam zrobić to dziś po pracy. Sprawdziłam nawet, czy w kredensie jest butelka jej ulubionego sangiovese.

Na Skyscanner.net bilety do Kostaryki kosztowały około ośmiuset funtów. Po drodze do biura podróży z gotówką w kieszeni zastanawiałam się nad terminem wylotu. Wiem, że to okrutne, ale jednym z najważniejszych czynników było dla mnie to, ile czasu pozostało jeszcze Rose. W taksówce wygooglałam na moim telefonie hasło „demencja”, ale okazało się, że Marcus miał rację: istniało wiele

rodzajów demencji, a ja nie miałam pojęcia, w jak zaawansowanym stadium znajduje się Rose, choć może nie aż tak bardzo zaawansowanym, skoro dość często była świadoma. Gdyby przeżyła jeszcze jeden rok, mogłabym na niej zarobić taką kupę forsy, by przez długie miesiące móc podróżować po świecie. Była do mnie przywiązana i przez sporą część czasu myślała, że jestem Margie, więc równie dobrze mogła mi nadal płacić, żebym załatwiała dla niej jakieś bezsensowne sprawy. Uznałam, że powinnam pozostać w Zielonej Przystani jeszcze co najmniej przez miesiąc i postarać się, żeby Rose uważała mnie za niezastąpioną. Zarezerwowałam bilet w jedną stronę do Kostaryki za cztery tygodnie z możliwością przesunięcia na późniejszy termin, na wypadek gdybym nadal dostawała pieniądze od Rose i bardziej opłacało mi się zostać tu dłużej. Przez całą drogę do Zielonej Przystani pogwizdywałam wesoło. Dziewczyzna-pomyłka niedługo się stąd zmywa. Stanie się w końcu wolna od wszelkich list, planów, konieczności szukania pracy, tyrania za darmo w opiece społecznej, a także od matki.

Godzinę później stałam nad rzeką i krzyczałam. Pobiegałam tam tuż po tym, jak przywitałam się z Jimmym z pokoju numer trzy. Pędziłam jak najszybciej, a gdy dotarłam nad kamienisty brzeg, zaczęłam krzyczeć. I już nigdy nie zamierzałam przestać. Czułam taką ulgę, że po prostu nie chciałam przestać. Powinnam to była zrobić w wieku pięciu lat, gdy w pierwszy dzień szkoły mama kazała mi przygotować sobie samej drugie śniadanie, albo w wieku dwunastu lat, kiedy wysłała mnie do supermarketu, żebym sama kupiła sobie podpaski, albo w wieku piętnastu lat, gdy podwoziła mnie pod klinikę seksuologiczną, żebym poszła po receptę na pigułki, pomimo moich zapewnień, że zawsze używam kondomów, i wyznania, że nie chcę siedzieć tam sama w kolejce razem z prostytutkami i narkomanami z Govanhill. Powinnam spędzić całe życie, krzycząc na moją matkę. Teraz to sobie odbijałam.

Byłam taka podekscytowana, gdy przyjechałam do pracy. Schowany w portfelu bilet do Kostaryki symbolizował moje nowe życie, które będzie się toczyć w samolotach, w dżungli, na plażach i w kawiarniach. Obmyśliłam już, jak powiedzieć o tym mamie, i byłam bardzo pewna siebie. Byłam tak rozemocjonowana, że zapomniałam, że najpierw miałam pójść do Marcusa.

Przeszłam przez frontowe drzwi, wsunęłam głowę do pokoju Rose, żeby się z nią przywitać. Siedziała przy stole i rysowała. Przebywała w terażniejszości, ale wyglądała na zaniepokojoną i zamasyżycie coś kreśliła.

– Dobrze się czujesz, Rose?

Odłożyła pióro, a jej twarz się zmieniła. Nie sposób wyrazić tego, jak niezwykle były te transformacje. W jednej chwili zaczynała zachowywać się

i wyglądać jak dziesięciolatka. Oczy robiły jej się większe, bardziej zaciekawione, przejęte, pełne optymizmu. Plecy się prostowały. Wierciła się w miejscu, kręciła nogą, gryzła paznokieć. Mało tego, jej skóra zmieniała kolor z szarozółtej na jasnoróżową. Podniosła się więc teraz z łatwością, czego nigdy nie robiła, gdy była starą Rose, po czym podbiegła do mnie, chwyciła mnie za ramiona i pocałowała w czubek głowy.

– Słuchaj, Margie. Obiecuję, że wrócę. Za godzinę. Obiecuję. Obiecuję. Rozpalę ognisko.

Wzięła ze stołu kartki do rysowania, podała je, zwinęła w kulki, a potem położyła na podłodze przy nogach łóżka. Nad papierem ułożyła stos z ołówków i pędzli, jakby to było ognisko.

– Zapałki! Poczekaj, pobiegnę po zapałki. Nie ruszaj się stąd.

Jasna cholera, nawet krzyczała jak mała dziewczynka. Całą sobą, z głębi piersi.

– Nie pozwolę umrzeć ci tu samej. Przysięgam na życie taty, nie pozwolę ci umrzeć! Muszę tylko przynieść zapałki!

Jeszcze kilka dni temu uciekłabym wystraszona jej niecodziennym zachowaniem, ale chyba trochę się zmieniłam. Uśmiechnęłam się i objęłam ją ramionami.

– Spokojnie, mam zapałki. Wiem, że mnie nie opuścisz, Rose. Wiem to, wszystko w porządku.

Położyłam ją do łóżka, pogłaskałam po policzku.

– Wszystko już dobrze. Ja też czuję się dobrze. Wiem, że mnie nie zostawisz. Wszystko w porządku.

Gdy patrzyłam, jak się uspokaja i powoli przymyka oczy, nie widziałam w niej staruszki, która wpycha się przy wejściu do autobusu czy płaci w żółtym tempie za zakupy w sklepie lub też zajmuje innym przestrzeń do życia. Widziałam w niej Rose Price.

W końcu zasnęła. I nagle sobie przypomniałam: Marcus! Cholera!

Ruszyłam korytarzem do tylnych drzwi, wciąż jeszcze szczęśliwa i podekscytowana. Minęłam pokój numer cztery i jestem pewna, że pomachałam Jimmy'emu, który siedział w pokoju naprzeciwko i brzdąkał na gitarze. Jestem pewna, że powiedziałam:

– Siemasz, Jimmy.

A gdy to mówiłam, pomyślałam sobie, że musiało mi się coś przywidzieć. Jakiś przebłysk, złudzenie pochodzące gdzieś z głębin mojej psychiki, wywołane zapewne kupionym przed chwilą biletem oraz planowaną ucieczką. Nie wiem, dlaczego cofnęłam się, żeby sprawdzić, czy tak było faktycznie, ale nie kierowały mną żaden lęk ani niepokój, chciałam tylko szybko rzucić okiem. Wróciłam więc do pokoju numer cztery. Drzwi były lekko uchylone. Otworzyłam je szeroko,

spodziewając się, że zaraz pokręcę głową i mruknę pod nosem: „Ależ ze mnie idiotka”. Niestety, tego obrazu nie podszeptała mi wcale napędzana poczuciem winy wyobraźnia. W fotelu przy oknie siedziała moja matka.

– Mama?

– Catherine. – Wymówiła moje imię w nienaturalny sposób, jakby „Catherine” oznaczało „Pomocy”.

– Pozwolili ci tutaj siedzieć? Czego chcesz?

– Usiądź, proszę.

– Mamo, jestem w pracy. Mogłaś do mnie zadzwonić. Wstań! Przez ciebie będę mieć kłopoty.

– Catherine, chodź tu i usiądź obok mnie.

W dłoni trzymała kartkę, przy lewym brzegu ciągnął się rząd cyfr. Chciała tu urządzić spotkanie dotyczące planu zajęć.

– Mamo, nie mam teraz na to czasu. Ja tu pracuję. Porozmawiamy, jak wrócę do domu. Na miłość boską, idzie Gabriella. Jeszcze mnie wyleje.

Gabriella stanęła w drzwiach obok mnie. Posłała mamie życzliwy uśmiech i dotknęła mojego ramienia.

– Przed dyżurem miałaś iść zobaczyć się najpierw z Marcusem – oznajmiła zupełnie niepodobnym do siebie łagodnym głosem.

Strąciłam z ramienia jej rękę.

– Mam ci coś do powiedzenia. – Mama przygryzła wargę.

– To się pospiesz, muszę zabrać się do pracy. Zresztą ty też. Nie powinnaś być teraz w pracy?

– Kochanie, dziewięć tygodni temu zdiagnozowano u mnie złośliwego guza mózgu.

Na kilka sekund musiałam zapaść w stan podobny do Nancy. Kompletnie zamarłam. Może więc pomimo pustego wyrazu twarzy umysł Nancy pracował zawsze jak szalony, zupełnie jak mój w tej chwili. Trzy słowa z wypowiedzianego przez mamę zdania wciąż odbijały się echem w mojej głowie: zdiagnozowano, złośliwego, guza. Nie, pomyślałam. To nie ma sensu. Moja mama jest przewodniczącą i dyrektorką, chodzącą szlachetnością, która ciągle wszystkim rozkazuje i robi listy, i zbawia świat, i jeszcze wczoraj wieczorem czuła się całkiem dobrze.

– Możesz powtórzyć?

– Dziewięć tygodni temu zdiagnozowano u mnie złośliwego guza mózgu.

Powtórzyłam sobie to zdanie w myślach. Guzy mózgu są śmiertelne. A zwłaszcza te złośliwe. Przy nogach łóżka zauważyłam walizkę mamy, część jej ubrań wisiała już na wieszakach w otwartej szafie, na nocnym stoliku stało moje zdjęcie.

– Skarbie, usiądź. Proszę, usiądź przy mnie. Wiem, że na pewno chciałybyś

się mną opiekować, ale tu będzie mi znacznie lepiej. To miejsce cieszy się znakomitą reputacją. Sprawdziłam je dokładnie i wiem, że nie będziesz miała problemu, żeby się tu dostać. Od teraz to jest mój dom.

Ale to ja miałam wynieść się z domu pierwsza. Ale skoro to był teraz jej dom, to gdzie był mój? Ale...

I właśnie wtedy pobiegłam nad rzekę.

Trzy tygodnie przed śmiercią

Rozdział 8

82 lata

Rose od trzydziestu minut wpatrywała się w swój ostatni rysunek. Jak zwykle przedstawiał pokój numer siedem. W rogu narysowała kamerę. Czowała, że znów odpływa i musi to powstrzymać. To musiało mieć dla niej jakieś znaczenie, była tego pewna. Pokój numer siedem. Kamera. Na tym najnowszym rysunku wokół łóżka stały cztery postacie, zasłaniające leżącą osobę. Widać było tylko ich plecy. Rose powtarzała w myślach: „zostań Rose zostań Rose zostań Rose”. Przeczytała znajdujący się pod rysunkiem tekst:

Po przerwie widzowie wrócili do swojej zabawy. Tilly nie była z tego powodu zadowolona, ale czuła zbyt duże zmęczenie, żeby się skarżyć.

– Ach, księżniczka – powiedziała królowa. – Taka ładna, że boję się, iż umrę małą śmiercią.

To nie miało sensu. Nic nie znaczyło. I gdyby to była normalna książka, uznałaby ją za najgorszą brednię, jaką kiedykolwiek napisała. Skarciła się w myślach. W pisarstwie najbardziej kochała to, że nigdy nie trzeba było przechodzić na emeryturę. Znała pisarzy, którzy nadal tworzyli mimo dziewięćdziesięciu pięciu lat na karku. Stać ją było na coś lepszego niż to, co napisała.

Chyba że to wcale nie była książka. Może stworzyła te rysunki z jakiegoś innego powodu? Czy o to właśnie chodziło?

Zostań Rose zostań Rose zostań Rose zostań.

Ale ona nie zamierzała zostać. Poruszała się szybko. Musiała się spieszyć.

Włożyła nowe buty, które przyniósł jej Chris, i poszła na tył budynku. Nikt jej nie zauważył. Wszyscy zgromadzili się w pokoju numer cztery. Najwyraźniej wprowadził się tam ktoś nowy – szczęściarz, o krok bliżej do śmierci. Otworzyła tylne drzwi, wyszła na zewnątrz i spróbowała otworzyć okno pokoju numer siedem. Może było zamknięte albo sklezione farbą z futryną. Żaluzje były zaciągnięte. Zerknęła przez szczelinę między nimi. Pomieszczenie było puste. Żadnych kamer. Żadnych ludzi. Tylko łóżko na kółkach, szafka nocna, obraz, poręczki przy ścianach, dzwonki alarmowe, nic niezwykłego. Może gdyby udało jej się dostać do środka, natrafiłaby na coś, co pomogłoby jej zrozumieć własne rysunki.

10 lat

Rose znalazła duży kamień i rzuciła nim w okno.

82 lata

Gdy się obudziła, wszystko wokół niej wirowało.

– Jak się czujesz, Rose?

Na plakietce widniało: „Marcus Baird”. A więc to Marcus Baird musiał teraz nad nią stać.

– Co mi podaliście?

– Tylko coś na uspokojenie. Wyciszyłaś się?

– Wkurwiłam. Jestem wkurwiona. Właśnie tak się czuję. – Spróbowała usiąść. – Co to za lek mi daliście? Gdzie jest Natalie? Wezwijcie Natalie!

– Natalie odeszła z pracy, pamiętasz? Obejrzał cię lekarz i przepisał ci coś, żebyś poczuła się dobrze i miło.

– W takim razie to nie działa.

– Dobrze i miło, Rose.

Marcus Baird kiwnął głową do pielęgniarki z jaskrawoczerwoną szminką na ustach. To miejsce, ci ludzie – wszystko się zgadza! Królowa, jaskrawoczerwone usta.

Rose musiała coś powiedzieć albo zrobić, że Marcus kazał ją skępować. Musiała coś zmalować, ponieważ Marcus przytrzymał ją rękami, a siostra Gabriella siłą rozwarła jej usta i coś do nich włożyła.

– Połknij to, Rose, właśnie tak. Teraz popij grzecznie.

Rozdział 9

Gdy Marcus mnie znalazł, nie miałam już sił, żeby krzyczeć. Usiadł obok mnie na kamieniach i zaczął się wpatrywać w to samo miejsce, w które i ja się wpatrywałam: łąkę po drugiej stronie rzeki. Pasło się na niej kilka krów. Wyglądały na szczęśliwe. Durne krowy. Przecież nie hodują was na mleko, tylko na mięso. Ten kawałek łąki to wasze hospicjum.

– Zamierzasz mi w ogóle zapłacić?

Marcus westchnął krótko.

– Nie.

Nie mogłam oderwać wzroku od tych krów.

– Czy to nie wbrew regułom zatrudniać krewną jednej z pensjonariuszek?

– Nie.

– W McDonalddie mają więcej reguł niż tutaj.

– Twoja mama zgłosiła się do nas dziewięć tygodni temu. Chciała ci oszczędzić konieczności podjęcia decyzji. Nawet dla dużych rodzin jest to potwornie trudne, a ty przecież jesteś sama.

– Czemu wybrała to miejsce?

– Ponieważ ma znakomitą reputację i znajduje się blisko domu. – Marcus miał z sobą teczkę na dokumenty. – Pozwól, że przeczytam ci maila od niej. – Otworzył teczkę i przeczytał z kartki: – „Drogi Panie Baird, wczoraj pan Hilary z Centrum Onkologii Beatson zdiagnozował u mnie guza mózgu. Jak wynika z załączonych notatek, rodzaj oraz położenie guza uniemożliwiają przeprowadzenie operacji, a jego leczenie może mieć wyłącznie charakter paliatywny. Radioterapia może wydłużyć cały proces tylko o kilka tygodni, dlatego też postanowiłam z niej zrezygnować. Jestem samotną matką. Moja córka Catherine ma dwadzieścia trzy lata. Poza mną nie ma żadnej rodziny. Piszę z dwóch powodów. Po pierwsze...”

Parsknęłam. Nawet ten mail zawierał listę.

– „Po pierwsze – kontynuował Marcus – ośrodek Zielona Przystań ma świetne rekomendacje i po przeprowadzeniu gruntownego wywiadu stwierdzam, że chciałabym spędzić w nim ostatnie dni mojego życia. Jeśli zwolni się u was miejsce, czy mógłby pan natychmiast powiadomić mnie mailowo, żebym bezzwłocznie mogła złożyć wizytę? Chciałabym wprowadzić się, zanim moje obniżone zdolności umysłowe i ruchowe staną się widoczne dla Catherine. Po drugie, zauważyłam na stronie internetowej, że poszukujecie pomocy pielęgniarzkiej. Może to wydać się trochę niecodzienne, ale moja córka szuka właśnie pracy i jeśli spodobałoby się panu jej CV oraz przebieg rozmowy kwalifikacyjnej, czy mógłby pan rozważyć zatrudnienie jej na tym stanowisku? Wprawdzie sama nie zdaje sobie z tego sprawy, ale jest bardzo dobrą osobą.

Zawsze się mną opiekuje i wiem, że będzie w ośrodku wielce przydatna. Uważam, że znacznie łatwiej będzie jej troszczyć się o mnie w domu opieki przy wsparciu wykwalifikowanego personelu. Oczywiście zobowiązuje się pokryć koszty jej zatrudnienia”.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

Marcus przygryzł wargę.

– Myślisz? Byłem rozdarty, wierz mi. Ale rozumiem, dlaczego tak postąpiła. Nie uwierzyłybyś, jak trudno podjąć decyzję o oddaniu bliskiej osoby do hospicjum. Biłabyś się z myślami aż do upadłego. Zmarnowałybyś tylko mnóstwo czasu, który mogłabyś jej poświęcić. Byłabyś na wszystkich wściekła. Tak jest łatwiej, zgadzam się z nią. Twoja matka jest niezwykła, Catherine.

Chęć rozplakania się znów ustąpiła gniewowi.

– To apodyktyczna maniaczka.

– Masz, przeczytaj jej akta. Może to pomoże ci ją zrozumieć. – Marcus położył rękę na mojej dłoni. – Muszę wracać. Rose właśnie rozbiła kamieniem okno.

– Kamieniem?

– W pokoju numer siedem.

– Nic jej się nie stało?

– Dostała środki uspokajające. Teraz śpi.

Uśmiechnął się ze smutkiem i odszedł.

Nie wiem, jak długo się włóczyłam, zanim wreszcie znalazłam to drzewo w zakolu rzeki, pod które zawsze biegła Rose. Usiadłam i oparłam się plecami o jego pień, jakbym była małą Margie, i zalałam się łzami. W końcu otworzyłam teczkę, którą dał mi Marcus. Znajdowały się w niej wydruki maili. Tak, można odwiedzić ośrodek. Tak, mama jest pod wrażeniem. Tak, zwolnił się pokój. Tak, mama chce w nim zamieszkać. Tak, wypełniła wszystkie dokumenty i wszystko opłaciła. Tak, rozmowa kwalifikacyjna przebiegła dobrze i dostałam pracę. Tak, nic mi nie powiedzą i nie będą na mnie zanadto naciskać. Tak, tak, tak. Znajdował się tam również dokument zatytułowany „Deklaracja opieki terminalnej”. Był podpisany przez panią Adrienne Malloy oraz przez moją mamę. Przekazała mi w nim wszelkie pełnomocnictwa medyczne oraz finansowe. Przy większości pozostałych pytań w formularzu Adrienne Malloy zanotowała: „Proszę sprawdzić załączone oświadczenie pacjentki”. Oto, co napisała moja matka:

1. Nie życzę sobie pomocy psychologa, dokładnie wiem, jak się czuję i czego chcę.

2. Od tej chwili nie życzę sobie reanimacji, w razie gdybym przestała

oddychać.

3. Nie chcę być zmuszana do przyjmowania pokarmów lub płynów. Jeśli przestanę jeść i pić, niech tak zostanie.

4. Chcę umrzeć w Domu Opieki Zielona Przystań, nie we własnym domu.

5. Gdy się tutaj wprowadzę, w ogóle nie chcę już wracać do domu. Mój dom powinien pozostać szczęśliwym miejscem, wypełnionym radosnymi wspomnieniami.

6. Nie chcę, żeby moja córka towarzyszyła mi podczas ostatnich czterdziestu ośmiu godzin mojego życia, ponieważ mogą one mieć dość hałaśliwy i brzydki przebieg, a ona nie musi tego słuchać ani oglądać.

7. Nie chcę, żeby przewożono mnie do szpitala. Cokolwiek się ze mną stanie, stanie się to w moim pokoju w Zielonej Przystani.

8. Nie mam żadnych życzeń co do wyboru specjalnej muzyki, obecności konkretnych osób czy też innych sentymentalnych elementów, kiedy będę już bliska śmierci. Prawdopodobnie będę znajdować się wówczas w śpiączce i nie będzie to miało dla mnie żadnego znaczenia.

9. Nie jestem osobą religijną i nie życzę sobie ostatniego namaszczenia, ale jeśli moja córka poczuje nagłą potrzebę, to nie mam nic przeciwko.

10. Chcę otrzymać tyle środków znieczulających, abym mogła odejść jak najspokojniej.

11. Nie chcę, żeby moja córka widziała moje zwłoki. Sama widziałam zwłoki własnej matki i ten jej obraz wrył się w moją pamięć najmocniej. Żałuję, że się na to zdecydowałam. Moja córka jednak może chcieć mnie zobaczyć. Odmówcie jej tego.

12. Jeśli chodzi o kwestię pogrzebu, jest mi wszystko jedno, czy zostanę skremowana, pogrzebana w ziemi, czy wrzucona do morza. Zamówiłam dla siebie ekologiczną trumnę i zorganizowałam już pochówek, który wydaje mi się odpowiedni i łatwy do przeprowadzenia, ale jeśli moja córka będzie chciała coś zmienić w ceremonii, nie mam nic przeciwko. Chcę, żeby wszystko przebiegło tak, jak uzna to za stosowne.

W teczce było też kilka kopert. Hipoteka (ostatnio całkowicie spłacona). Dom (przepisany na mnie). Samochód (spłacony, przepisany na moje nazwisko). Oszczędności (trzydzieści dwa tysiące funtów przeniesione na nowe konto na moje nazwisko). Domowe rachunki (stałe zlecenia przelewów ustawione na moim nowym koncie). Testament i pełnomocnictwa (wszystko przepisane na mnie). Trumna (opłacona, należy ją odebrać od faceta o imieniu Eddie, który okazał się bardzo pomocny). Zakład pogrzebowy (dane kontaktowe). Były tam też nazwiska oraz adres rodziców mojego ojca (w razie gdyby Catherine postanowiła kiedykolwiek, że chce ich poznać).

Pamiętam, jak kiedyś zapytałam mamę o moje narodziny. Miałam wtedy około dziewiętnastu lat. Prawdę mówiąc, właśnie zaliczyłam małą wpadkę ze środkami antykoncepcyjnymi i wydawało mi się, że jestem w ciąży. Postanowiłam, że w razie gdyby tak było, nie zatrzymam dziecka, ale w mojej głowie i tak huczało od tysięcy pytań. Powinnam jednak była przewidzieć, że mama nie należy raczej do osób, które skłamałaby w tej kwestii: „Było cudownie! Jeden dzień i po wszystkim! Gdy tylko przyszedł na świat, natychmiast zapomniałam o bólu!”. Zamiast tego usłyszałam: „To było najstraszliwsze doświadczenie w moim życiu. Jakby ktoś dźgał mnie w brzuch bardzo ostrym nożem i przekręcał go przez minutę, a po dwóch minutach robił to ponownie. I tak przez dwadzieścia sześć godzin. Wyobrażasz sobie? Miałam przygotowany plan porodu. Chodziłam na wszystkie możliwe kursy rodzenia i postanowiłam, że chcę urodzić w wodzie bez znieczulenia. Siedziałam więc przez dwadzieścia sześć godzin w wannie i wrzeszczałam. Wydaje mi się, że czekałam, aż ktoś przejmie kontrolę i da mi jakiś zastrzyk. Straciłam zdolność racjonalnego myślenia i nie poprosiłam o niego, a nikt mi go też nie zaproponował. Okazało się, że to przez ten cholerny plan porodu”.

Mogę się tylko domyślać, jaki był szczegółowy. Lista tego, jak według niej wszystko powinno przebiegać. Mama jednak nie wzięła wtedy pod uwagę – podobnie jak teraz – że człowiek się zmienia, że człowiek może zmienić zdanie pod wpływem okoliczności, a zwłaszcza pod wpływem bólu i strachu.

Za każdym razem, gdy myślę o sobie samej z przeszłości – jak obściskiwałam się z jakimś kolesiem w barze albo zakuwałam w ostatniej chwili do egzaminu z matmy, albo złamałam rękę, spadając z drabinek w Maxwell Park – widzę zupełnie inną osobę. Ta osoba nie jest mną. Nawet jej nie rozpoznaję. Od dłuższego czasu jednak znajduję w tym pocieszenie, ponieważ wiem, że cokolwiek czeka mnie w przyszłości (jak chociażby poród), to będzie musiała stawić temu czoło zupełnie inna osoba. Jak więc mam teraz wiedzieć, co będzie najlepsze dla przyszłej Catherine?

Mama nie wzięła mnie pod uwagę w swoim planie porodu, a ja wcale nie chciałam wyjść. Trzeba było wreszcie zastosować cesarskie cięcie, żeby zakończyć

jej dwudziestosześciodzinne męczarnie w ohydnej plastikowej wannie z letnią wodą. Ostatecznie poród wymagał nagłej interwencji lekarskiej i najwyższej możliwej dawki środków znieczulających. Można by pomyśleć, że to doświadczenie nauczyło ją, iż niektóre rzeczy znajdują się poza naszą kontrolą. Że niektórych rzeczy nie da się zaplanować. Że osoba, którą jest dzisiaj, niekoniecznie jest tą samą osobą, którą będzie jutro.

Po rozmowie z mamą o moich narodzinach postanowiłam, że jeśli okaże się, że jednak jestem w ciąży, zatrzymam dziecko. Na drugi dzień rano zaczął mi się okres.

Jak przypuszczam, córka nie powinna zostawiać w takiej chwili matki, nie powinna wrzeszczeć z wściekłości nad rzeką, marząc o tym, żeby uciec od matki tak daleko, by już nigdy jej nie widzieć. Ale większość matek nie okłamałaby własnej córki. Mama powinna była pozwolić mi dostrzec symptomy choroby, a nie ukrywać je za zmyśloną menopauzę albo urojonym mrowieniem w nogach. Powinna mi była pozwolić pójść z nią do lekarza. Mogłabym się z nim kłócić, domagać się drugiej lub trzeciej opinii, sprawdzać w Google, dzwonić, mailować i pisać. Zmusiłabym ją do poddania się radioterapii, szukałabym homeopatycznych rozwiązań i pokarmów, i nie wiem, co jeszcze, ale przynajmniej bym próbowała. Ona jednak mi nie zaufała, nie dała mi nawet szansy. A teraz było już na to za późno – niedługo umrze i to zniszczy mi życie. Moje życie. Tylko o tym myślałam. O moim życiu, a nie jej. Cała się trzęsłam. Zastanawiałam się, jak się od tego uwolnić. Mogłabym pobiec. Potrafiłam szybko biegać, jeśli wymagała tego sytuacja, na przykład gdy goniłam ostatni autobus powrotny do domu. Może jeśli pobiegnę dostatecznie szybko, wypoczę z siebie to wszystko i zostawię za sobą daleko w tyle. I tak też zrobiłam – pobiegłam. Ruszyłam przez łąkę i biegłam około minuty. Nie czułam jednak żadnej ulgi, tylko świadomość, że strach napędza mnie nawet mocniej niż gniew i że powinnam się zatrzymać. Położyłam się na trawie. Dwie krowy stały tuż obok mnie, ale wcale ich się nie bałam. Bałam się tylko jej, spotkania z nią i rozmowy z nią. Nie była już tą samą osobą, którą zawsze znałam. Tą, która wszystko kontrolowała, denerwującą, apodyktyczną i bynajmniej nieumierającą. Teraz była kimś zupełnie innym.

Ale nie mogłam jeszcze spojrzeć jej w oczy. Nie chciałam wracać do tego przesiąkniętego śmiercią budynku. Musiałam z kimś porozmawiać. Rebecca była dostępna na czacie na Facebooku, usiadłam więc na ziemistym pagórku i napisałam do niej:

Masz chwilę? Muszę pogadać.

Robię sobie maseczkę. Za 15 minut?

Wszystkie moje przyjaźnie i kryzysy życiowe zawsze rozgrywały się na

Facebooku. Nie zastanawiając się więc wiele, napisałam:

Moja pieprzona matka umiera. Guz mózgu.

Odpowiedziała:

O jacie, tak mi przykro :(

Może jednak Facebook nie był najlepszym miejscem na takie rozmowy.

Zadzwoiłam na komórkę do Giny.

– Możesz rozmawiać?

– Tak. Tylko... Will, wyłącz to! WYŁĄCZ TO! Przepraszam, nic nie słyszę.

Wyłącz to, ty palancie!

– To idź do innego pokoju! – usłyszałam w tle.

– Niby czemu?

Odgłosy szamotaniny, trzaśnięcie drzwiami.

– Co za dupek. Wiesz, że wczoraj podszywał się pode mnie na Facebooku?

Napisał, że...

– Gina, właśnie dowiedziałam się, że moja mama ma guza mózgu.

Chwila ciszy.

– O mój Boże, nie.

– Wiem, też nie mogę w to uwierzyć.

– Boże, jestem w szoku... – Długie milczenie. Gina nie była w tym dobra.

Nie zamierzałam jej pomagać. – Wypadną jej włosy?

Rozłączyłam się, zadzwoniłam po taksówkę, wyszłam na główną drogę i poszłam do domu Paula. Oczywiście nie zastałam go.

– Do piątej ma być dziś w czytelnicy – powiedział jego dziadek. – Chcesz zagrać w karty do jego powrotu?

W połowie drogi do Zielonej Przystani rozmyślałam się i poprosiłam taksówkarza, żeby zawiózł mnie do Gartmore.

– Mama umiera – wypaliłam tak po prostu do kompletnego nieznajomego.

Chris jednak nie zachował się jak kompletny nieznajomy, ale przytulił mnie i pomógł mi wejść do środka.

– Wprowadziła się dziś do pokoju obok Rose, a ja nawet nie wiedziałam, że jest chora. Dlatego właśnie kazała mi znaleźć sobie pracę. Powinna mi była powiedzieć.

Nie mogłam wydobyć z siebie więcej słów, jedynie same łyzy. W głębi ducha zaś myślałam tylko: „Ona umrze. Moja mama umrze”.

Kilka zużytych chusteczek później odrobinę się uspokoiliłam.

– Przepraszam. Nie powinnam tak cię nachodzić. Przecież w ogóle cię nie znam.

Chris nastawił czajnik.

– Nie pleć bzdur. Ludzie, którzy przez to nie przeszli, nie rozumieją tego, będą mówić same niestosowne rzeczy. Wiesz, jak zareagował mój najlepszy przyjaciel, kiedy oddawaliśmy babcię do domu opieki? Kiedy zadzwoniłem do niego zapłakany?

Pokręciłam głową.

– „No cóż, przynajmniej miała dobre życie”. Chciałem go zabić. Ja też mam dobre życie, ale nie chcę trafić do hospicjum z zaawansowaną demencją, przeżywając w snach raz po raz koszmar z dzieciństwa i budząc się tylko po to, żeby znaleźć się w kolejnym koszmarze!

– Moi przyjaciele to sami idioci.

Chris się uśmiechnął. My też byliśmy już przyjaciółmi.

– A więc dowiedziałaś się i uciekłaś?

– No.

– Musisz wrócić i z nią porozmawiać.

Skinęłam. Tak zrobię. Ale nie, dopóki jestem wściekła. Muszę się uspokoić.

– Nie musisz tam dalej pracować, jeśli nie chcesz.

Nawet nie przeszło mi to przez myśl.

– Nie wiem, jak mam się czuć z tym wszystkim. Całe życie buntowałam się przeciwko jej próbom zorganizowania mi wszystkiego i teraz mam wrażenie, że nic innego nie umiem. Nie mogę uwierzyć, że ukryła to przede mną. Co za człowiek ukrywa taką informację przed własną córką, swoją jedyną krewną?!

Ale nie powinnam być wcale zaskoczona. Mama zawsze wszystko szczegółowo planowała i kontrolowała, a podstawą każdej jej decyzji było pragnienie mojego szczęścia. Zrobiła to więc dla mnie.

Chris usiadł na kanapie i poklepał miejsce obok, żebyśmy usiadła razem z nim.

– Śmierć Margie zmieniła życie babci. Nigdy nie mogła sobie tego wybaczyć. Myślę, że to wydarzenie ukształtowało ją jako osobę. Zawiodła Margie. Zostawiła ją samą. Złamała daną obietnicę. Poniosła klęskę.

Wiem, co usiłował mi w ten sposób powiedzieć: „Załatw z mamą wszystkie sprawy, zanim będzie na to za późno. Nie odkładaj niczego na później. Pożegnaj się z nią jak najlepiej, abyś potem mogła z tym żyć. Zrób to, czego Rose nie zdążyła zrobić z Margie”.

– To ważne, żeby wszystko odbyło się we właściwy sposób. Wspomnienie czasu, który teraz spędzisz ze swoją mamą, pozostanie z tobą na zawsze.

Gdy patrzę wstecz na to, co przeżyłam w Zielonej Przystani, mam wrażenie, że niemal każdy dzień stanowił dla mnie ważny punkt zwrotny. Ale najbardziej wdzięczna jestem za tę chwilę, kiedy zrozumiałam, że Chris ma rację. Nie było czasu na to, bym stała się dorosła, ani na to, bym próbowała przezwyciężyć moje urazy i mój egoizm, ani też na to, żebyśmy razem z mamą osiągnęły wzajemne zrozumienie i akceptację tego, co wydarzyło się w przeszłości. Jeśli nie

pogodziłybyśmy się teraz, jeśli nie wykorzystałabym jak najlepiej czasu, jaki nam pozostał, i nie odłożyłabym na bok złości o to, że działała za moimi plecami, mogłabym tego żałować do końca życia. Tamtego dnia w salonie Chrisa nagle dojrzałam. Miałam tylko mamę. Kochałam ją. A ona miała tylko mnie. I niebawem miała umrzeć. Nie będzie już miała okazji wkurzać mnie, bojkotując mój ślub albo zmuszając mnie do tego, żebym urządziła go w duchu humanistyczno-feministycznym. Już nigdy nie zobaczę, jak staje się babcią i wcieleniem tradycyjnej kobiecości: przywdziewa fartuch, przyszywa guziki, piecze babeczki i robi wszystkie te rzeczy, których ze mną nigdy nie robiła. Nie, nasza wspólna historia dobiegła końca.

Zadzwoił telefon Chrisa i od razu wiedziałam, że coś się stało. Rozłączył się i chwycił kluczyki do samochodu.

– Muszę lecieć. Babcia znowu uciekła.

– Gdzie jest teraz?

– Na posterunku policji w Maryhill. Mogę cię podrzucić.

Nie obawiałam się już Chrisa. Sprawił, że poczułam się spokojna i bezpieczna. Rose to szczęściara, że ma takiego wnuka. Gdy jechaliśmy w kierunku Glasgow, zastanawiałam się, czy będę potrafiła być taka troskliwa jak on. Co będę musiała robić? Czego będzie ode mnie oczekiwać mama? Czy bez przerwy będzie płakać albo też wściekać się na mnie, na guza, na zbliżającą się śmierć? Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Czekał mnie naprawdę okropny okres. Nawet gorzej niż okropny. Mógł trwać wiele dni, tygodni, miesięcy. A potem... Co będzie potem? Postanowiłam spróbować metody, której mama nauczyła mnie na początku liceum, kiedy przynajmniej raz na miesiąc zaczęłam wpadać w głęboką deprechę: „Jeśli coś cię martwi lub niepokoi, staraj się o tym po prostu nie myśleć. Powiedz sobie: «Nie zamierzam o tym myśleć»”. Spróbowałam tego w samochodzie Chrisa. Nie poskutkowało. Niemyślenie o tym było nie tylko niestosowne, ale też niemożliwe.

– Dobrze się czujesz? – Chris usłyszał, jak zgrzytam zębami.

– Niespecjalnie.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Chyba nie.

Zostałam w samochodzie, podczas gdy Chris poszedł odebrać babcię. Wczoraj wszystko wokół mnie wydawało się proste i piękne. Wiedziałam, z kim iść na drinka, gdzie wyjechać na wakacje, z kim chcę się pocałować i kto lubi moje wpisy na Facebooku. A dzisiaj tylko kłamstwa, choroby i śmierć. No i jeszcze Rose idąca pod rękę z Chrisem do samochodu. Była taka maleńka, mniejsza nawet ode mnie. Wyglądała na zdezorientowaną i wściekłą.

– Wsiadaj, babciu, o tak.

Chris zapiął ją pasem na tylnym siedzeniu. W drodze do Zielonej Przystani zrelacjonował mi, co się wydarzyło.

Rose zatrzymała taksówkę na głównej drodze przed garażem. Kierowca powiedział, że była bardzo zaniepokojona i chciała dostać się na posterunek policji, żeby przekazać jakąś informację, która ocali niejedno życie. W rzeczywistości powiedziała właściwie, że ma informację, która „ocali niejedną śmierć”, ale taksówkarz uznał, że coś jej się pomieszało. I miał rację. Gdy już przywiózł ją na komisariat, w ogóle nie pamiętała, po co tam przyjechała. W ręce trzymała rysunek. Spojrzała na niego i powiedziała: „To nie nadaje się do publikacji”. Potrząsnęła głową z przerażeniem. „Wszystko zapomniałam. Nie potrafię już pisać ani rysować. Jestem bezużyteczną idiotką”.

Chris znał dwóch policjantów z posterunku. Długo z nimi rozmawiał, co mnie jak najbardziej odpowiadało, ponieważ nie czułam się jeszcze gotowa na spotkanie z mamą. Ćwiczyłam w myślach, co jej powiem, jak się zachowam. Wyobrażałam sobie, w jaki sposób będę próbowała ją uspokoić, starając się jednocześnie zamaskować własną panikę. Układałam w głowie swoją listę, opracowywałam plan. Po tym, jak ją obejmę, przytulę i powiem, że ją kocham, wrócę do domu i spakuję jej ulubione płyty, laptop, filmy na DVD, których nigdy nie miała czasu obejrzeć. Kupię dla niej truskawki – mama uwielbia truskawki. I bitą śmietaną. Niech to szlag, teraz może jeść tyle bitej śmietany, ile tylko zechce. Kupię też jakieś przyjemne olejki i zrobię jej masaż. Przywiozę z sobą „Guardiana” i przeczytam go jej w całości! Będę teraz kupować jej „Guardiana” codziennie i codziennie będę jej go czytać! Och, i obejrzę z nią jeszcze wiadomości na Channel 4, skoncentruję się na tym, co będą mówić, a potem wszystko to z nią przedyskutuję. I będziemy chodzić razem na spacer po ogrodzie. A ja będę ją trzymać za rękę.

Rose okropnie wierciła się na tylnym siedzeniu i w drodze do Zielonej Przystani zdjęła jeden but.

– To najbrzydsza bransoletka na kostkę, jaką kiedykolwiek widziałam. Kto mi to założył?

Miała na łydce jakieś urządzenie, które wyraźnie ją irytowało. Próbowwała się go pozbyć, ale bez skutku.

– Zdejmijcie to ze mnie!

– Babciu, już ci tłumaczyłem. Masz to po to, żebym zawsze wiedział, gdzie jesteś.

– Ale ja nie chcę, żebyś zawsze wiedział, gdzie jestem.

– To elektroniczna obroża? – Chyba nie, pomyślałam.

– To poufne, dobra? Gliniarze mieli wobec mnie dług wdzięczności. Wiem, że może trudno ci to zrozumieć, ale jak inaczej mam jej pilnować? To jedyne sensowne rozwiązanie. Mogę ją śledzić za pomocą telefonu.

Rose próbowała zerwać obrozę.

– Nie chce zejść!

– Nie, babciu, ma tam zostać.

Gdy zatrzymaliśmy się przed ośrodkiem, wciąż za nią szarpała.

Zbliżając się do budynku, czułam się kompletnie otępiała. W środku znajdowała się moja umierająca mama. Gdy Chris odprowadził Rose do jej pokoju, stanęłam pod frontowymi drzwiami i zaczęłam w niepohamowany sposób szlochać. Usiadłam na schodach, próbując wziąć się w garść. Mama nie mogła widzieć, jak płaczę. Musiałam być silna.

Rozdział 10

82 lata

Czasami Rose nie lubiła Chrisa. Okropnie się rządził. Zrób to, zrób tamto, włóż to, a to ściągnij, podpisz tutaj, podpisz tam, nie wychodź. Czasami chciała, żeby sobie już poszedł. Jak teraz. Szarogęszący się chłopczyk. Chciała zdjąć tę bransoletkę na kostkę, a on jej nie pozwalał. Będzie musiała poczekać, aż wyjdzie, i przeciąć ją nożyczkami. Jego matka powinna ustalić jakieś granice, kiedy był mniejszy. Nie powinna mu pozwalać na wszystko.

– Gdzie jest twoja matka?

– Mieszka w Londynie, pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętała. Co on sobie myślał – że postradała rozum?

– Nie możesz ciągle uciekać, babciu. Nie będą cię bez przerwy łapać.

Och, tego typu gadka naprawdę ją wnerwiała. Była w końcu dorosłą kobietą, i to jeszcze jak dorosłą. Do cholery, może sobie uciec, kiedy tylko najdzie ją na to ochota. Nie miała już dzieci, którymi musiałaby się opiekować. Sama zarabiała na życie. Może więc uciec, kiedy tylko zechce, i to zresztą nie będzie żadna ucieczka, tylko po prostu wyjście. Może sobie wyjść, jeśli taki będzie mieć kaprys, nawet jeśli jeszcze nie wiedziała, gdzie ani w jakim celu.

Ucieszyła się na widok tej nieciekawej dziewczyny, która przechodziła akurat obok jej pokoju.

– Hej! Ty! Chodź tutaj. Powiedz mojemu wnukowi, żeby wracał do domu.

Dziewczyna wydawała się smutna. Weszła niechętnie do środka.

– Słyszałeś panią. Idź do domu, Chris!

– Dobrze, już się robi, babciu. Wpadnę do ciebie jutro.

Pocałował ją w czoło, a potem pocałował tę nieciekawą dziewczynę w policzek i wyszedł.

Czasami Rose naprawdę nie potrafiła go znieść. Przypominał jej świnkę morską. Jakby ciągle popiskiwał i jęczał, błagając ludzi o jedzenie: „Jeszcze, jeszcze”.

Otworzyła szafkę nocną i wyjęła z niej kosmetyczkę.

– Zabrali mi nożyczki do paznokci! Jezu Chryste, co się tu wyprawia? Nie mogą mi tak po prostu zabierać rzeczy. Masz może jakieś nożyczki? – Zaczęła szarpać za obrozę. – Nie mogę znaleźć zapięcia na tym ustrojstwie.

Dziewczyna nagle się rozpląkała.

– Nie wolno ci płakać. Ty tu pracujesz.

Dziewczyna z wyraźnym zdenerwowaniem zaczęła przeglądać jej rysunki.

– Jak wygląda twój ostatni rysunek? Ten, który zaniósł na policję.
– Och, sama nie wiem. To głupie. Wstydzę się go. – Rose podniosła rysunek i przeczytała kpiącym tonem: – „Po przerwie bla, bla, bla”. Co to ma być? Moja kariera jest skończona.

Dziewczyna spojrzała na kartkę i uśmiechnęła się.

– Wcale nie, musisz tylko jeszcze nad nim popracować.
– To prawda! Pisanie to ciągle przepisywanie na nowo. Może jednak wcale nie jesteś taka głupia.

– Myślałaś, że jestem głupia?

– Prawdę mówiąc, raczej nudna niż głupia. Wydawało mi się, że nie ma w tobie nic interesującego.

Dziewczyna wyglądała na zupełnie roztrzęsioną. Może jednak nie powinna jej była tego mówić. Bez przerwy mówiła rzeczy, których nie powinna. Ludzie nie musieli znać każdej myśli, jaka pojawiała się w jej głowie. Ale rola sławnej pisarki wymagała od niej spontanicznego i niekontrolowanego dzielenia się własnymi myślami. Przecież jej książki były najpierw myślami krążącymi w głowie. A we wszystkich wywiadach do gazet, czasopism i audycji radiowych ciągle pytano ją, co myśli na jakiś temat. Od lat nie robiła nic innego, tylko rozmawiała o sobie i o myślach w swojej głowie.

– Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować.

– Nie, masz rację. – Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersiach i podrapała się w ramię. – Moja mama wprowadza się do pokoju obok. Właśnie dowiedziałam się, że ma guza mózgu.

A więc czy jej się to podobało, czy nie, dziewczyna została rzucona na głęboką wodę. Rose czuła, że powinna ją przytulić. W tym momencie przypominała jej Margie. Była do niej taka podobna... Czy to przez te oczy?

– Muszę iść z nią porozmawiać. Wcześniej tak jakby uciekłam.

Ale nie ruszyła się z miejsca. Znów zaczęła szlochać. Rose wzięła ją w ramiona i trzymała dopóty, dopóki dziewczyna się nie uspokoiła.

– Posiedź tu przez kilka minut, zanim do niej pójdziesz. Usiądź i opowiedz mi o swojej mamie. Jaka ona jest?

– Nienawidzi mężczyzn i macierzyństwa. Jest feministką. A urodzenie mnie uważa za błąd.

– Ja kocham mężczyzn i macierzyństwo, a też jestem feministką.

– Ona ich nie kocha ani nie potrzebuje. Wychowywała mnie, żebym stała się taka sama.

– Cóż, mogę to zrozumieć. W pewnym sensie postąpiłam podobnie z moimi dziewczynkami. Ciężko zachować równowagę. Jedną z moich córek, Elena, w ogóle nie potrzebuje facetów. Jest lesbijką, co nie znaczy, że ich nienawidzi. Po prostu nie potrzeba jej do szczęścia fiuta.

Dziewczyna wpatrywała się w nią.

– O czym to ja mówiłam? Druga córka, matka Chrisa, nienawidzi swojego męża tak bardzo, że czasem ma ochotę go zamordować, i nie miałabym nic przeciwko, gdyby to zrobiła. Oboje zarabiają, przenosząc z miejsca na miejsce niewidzialne pieniądze. Nie ma to dla mnie żadnego sensu, ale dzięki temu mogą sobie pozwolić na kupowanie mnóstwa rzeczy. Mają wszystkie rzeczy na świecie, ale za to nic interesującego do powiedzenia.

Dziewczyna się roześmiała. Miała uroczy śmiech.

– Lepiej już pójdę. Jak mówiłam, mama mieszka obok.

– Dobrze. Hej, nie pozwól, żeby to tobą zawładnęło.

– Co?

– To, że ona umiera. Nie zapominaj, że wciąż jeszcze żyje.

– Dzięki, Rose. Zajrzę do ciebie później.

– Aha, i jeszcze jedno!

– Co takiego?

– Możesz mi przynieść jakieś nożyczki?

Rozdział 11

Przez kilka minut stałam pod drzwiami do pokoju mamy, ponieważ nie mogłam przestać płakać. Moja matka umierała. Raz po raz powtarzałam to sobie w myślach: *Moja matka umiera moja matka umiera...* Kiedy byłam mała, czasami fantazjowałam o tym, że otrzymuję jakąś okropnie złą wiadomość i wszyscy moi koledzy bardzo mi współczują, a ja staję się z tego powodu sławna. Zazwyczaj w moich fantazjach dyrektor szkoły wywoływał mnie z klasy albo dostawałam telefon podczas jazdy szkolnym autobusem. A wszyscy się wtedy na mnie gapili. Podobała mi się ta wizja. Przynosiła mi pocieszenie, pomagała zasnąć. *Moja mama umiera moja mama umiera moja mama umiera...* Za tym bezsensownym zdaniem nie kryły się ani sława, ani pocieszenie. Postanowiłam wypróbować znów radę mamy („Staraj się o tym po prostu nie myśleć”), ponieważ ciągle rozpamiętywanie tego sprawiało, że płakałam jeszcze bardziej. Trzy razy głęboko zaczerpnęłam powietrza, zapukałam w drzwi i weszłam do środka.

Mama spała, a przynajmniej miała zamknięte oczy. Stałam przy brzegu łóżka i przyjrzałam się jej. Jak mogłam się nie zorientować? Od tygodni kuśtykała po domu, ciągnąc za sobą lewą stopę. W ogóle nie wychodziła do pracy (praca z domu, dobre sobie). Z tego, co wiem, co najmniej raz się przewróciła („Ależ ze mnie niezdar!” – stwierdziła). Zapakowała dom jedzeniem dla mnie na minimum rok. Często płakała. No i był jeszcze ten „epizod” mniej więcej sprzed miesiąca. Wróciłam wtedy z pubu i znalazłam ją na podłodze łazienki. Nie mogła się podnieść. Powiedziała, że za dużo wypija, a ja jej uwierzyłam. (Ależ byłam głupia! Mama nigdy nie upija się do takiego stanu). Zawleczenie jej do łóżka zabrało mi około godziny. I nawet teraz, chociaż spała, widać było, że dramatycznie się zmieniła. Cała była złana potem. Miała napuchniętą twarz – wyraźnie przytyła.

Nagle otworzyła oczy.

– Cześć.

– Cześć, mamo. – Ucałowałam jej dłoń.

Wpatrywała się we mnie.

– Catherine.

– Tak?

– Jesteś na mnie zła.

– Byłam, ale już mi przeszło. Jestem tu dla ciebie, tak jak chciałaś. Czytałam twój plan i chcę, żebyś wiedziała, że ze wszystkim się zgadzam. Dopilnuję, żeby wszystko przebiegło dokładnie tak, jak tego chcesz.

Zadrzała jej warga.

– Wcale nie chcę, żeby to tak wyglądało.

Drżenie wargi jednak nie przerodziło się w płacz. Mama powstrzymywała

się siłą woli. Położyłam głowę na jej piersi.

– Ani ja.

Zawsze wolałam mamę, gdy chorowała. Leżała wtedy spokojnie. Pewnego razu, gdy miała gorączkę przy zapaleniu płuc, obejrzała nawet bez ruchu cały film. Teraz trzymałam głowę na jej piersi i czułam, jak powoli zapada w sen. Wkrótce też zasnęłam, aż nagle obudził mnie jej głos:

– Skąd wzięły się tu te wszystkie meble?

– Cześć. Jakie meble?

Próbowała usiąść, ale nie była w stanie. Chwyciłam ją za ramiona i podciągnęłam. Musiałam użyć całej swojej siły. Jak to możliwe, żeby tak szybko podupała na zdrowiu? Czy przeprowadziwszy się tutaj, zupełnie się poddała?

– Dziwnie być tu znowu.

– Byłaś już kiedyś w tym pokoju?

Oprócz napuchniętej twarzy mama miała też szkliste oczy, a jej usta wydawały się już niezdolne ani do uśmiechu, ani do przybierania groźnych min. Przyglądała mi się pustym, zdezorientowanym wzrokiem.

– Muszę iść do toalety – powiedziała.

I w ten oto sposób rozpoczęła się nasza codzienna rutyna, podporządkowana do tego stopnia zaspokajaniu potrzeb słabnącego ciała i umysłu, że nie było już czasu na płacz.

Gdy na drugi dzień po wprowadzeniu się mamy przedstawiłam je sobie z Rose, liczyłam na to, że nawiążą jakąś nić porozumienia, choćby nawet w ramach dwuosobowego towarzystwa wzajemnej pomocy dla silnych, niezależnych kobiet z gnijącymi mózgami. I tak też się stało, niemal od pierwszej chwili.

– Już nikt mnie nie słucha. – Ręka Rose się trzęsła. – Zabrali mi moją jedyną przyjaciółkę, Natalie. Ma przepiękną rodzinę, czterech chłopców. Próbowała tu przychodzić, a oni jej zabronili. Czy ty mnie słuchasz?

– Tak, oczywiście. – Cała kariera mamy polegała w końcu na słuchaniu osób pozbawionych praw.

Gdy zostałyśmy same, mama kazała mi obiecać, że nie będę lekceważyła wszystkiego, co mówi Rose.

– Od tej pory, Catherine, słuchaj ludzi, którym odmawia się prawa do własnego zdania, dobrze?

Obiecałam, że tak zrobię.

Następnego dnia Rose zajrzała do nas, gdy dawałam mamie obiad. Zamknęła za sobą drzwi i zapytała, czy może skorzystać z telefonu mamy.

– Natalie? Tu Rose, musisz mi pomóc. Och, przeklęta automatyczna sekretarka! – Rozłączyła się i zadzwoniła na policję. – Mówi Rose Price –

przedstawiła się. – Telefonuję z Domu Opieki Zielona Przystań w Clydebank. Proszę zanotować to, co zaraz powiem. Ludzie tu umierają, ale nie w taki sposób, jak wszyscy myślą. Chodzi o to, że... Próbuję to właśnie wyjaśnić! Czy pozwoli mi pani tylko powiedzieć... Tu dzieje się coś złego! Już nieraz was prosiłam, żebyście zbadali to miejsce. Czy sprawdzaliście ludzi, którzy tu pracują? Powiedziałam już, nazywam się Rose Price. Wiem, że już się z wami kontaktowałam. Ty głupia cipo, mówię ci, żebyście coś w końcu zrobili!

Nie wiedziałam, jak postąpić, nacisnęłam więc dzwonek przy łóżku mamy. Przyszła siostra Gabriella, wyrwała telefon z ręki rozhisteryzowanej Rose, zapewniła policję, że nikomu nic nie grozi, a Rose jest tylko nieco zdezorientowana i że dopilnują, aby już więcej nie marnowała ich czasu.

– Biedactwo – stwierdziła mama, gdy siostra Gabriella z Marcusem zanieśli wrzeszczącą i kapiącą Rose z powrotem do jej pokoju.

Chwilę później wrócił Marcus.

– Zamknęliśmy Rose z zewnątrz. Obawiam się, że nie ma innej rady. Ale spokojnie, usłyszymy ją, gdyby nas potrzebowała. Od teraz nie będzie pani przeszkadzać.

– Czy możesz sprawdzać co godzinę, co u niej słychać? – poprosiła mnie mama, gdy Marcus wyszedł. – To takie smutne.

Tydzień przed tym, jak mama przeniosła się do ośrodka, lekarz zwiększył jej dawkę sterydów. Dlatego właśnie jej zdolności ruchowe tak gwałtownie się pogorszyły, a jej łaknienie i waga wzrosły. To również spowodowało dużą potliwość. Musiałam co godzinę zmieniać jej koszulkę i pomagałam w chodzeniu tak daleko, jak tylko była w stanie, czyli niezbyt daleko. (Należało postawić przed nią balkonik, a potem krok po kroku wydawać jej instrukcje: „O tak, właśnie tak, jedna ręka na jeden uchwyt, druga na drugi uchwyt, a teraz się podciągnij! Super, świetna robota! A teraz prawa noga do przodu, tylko jeden krok, plecy proste, patrz przed siebie, dobrze!”)

Najtrudniejsza okazała się dla mnie kwestia toalety. Widziałam już mamę, jak sika, ale nigdy nie widziałam jej podczas tej drugiej czynności. I oswojenie się z tym widokiem zabrało mi chwilę. Z początku stałam przy drzwiach łazienki i zerkałam tylko na te części ciała, które były ubrane, powtarzając sobie, że w razie czego zawsze mogę rzucić się jej na pomoc. Wkrótce jednak przekonałam się, że nie zdołam rzucić się na pomoc dostatecznie szybko. Mama upadła, przesuając się od klozetu do umywalki, ze spodniami wciąż jeszcze opuszczonymi do kostek. Podniesienie jej z podłogi okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Leżałyśmy splecione przez całe wieki, zanim wykombinowałam, jak przeprowadzić całą operację (podnieść się do pozycji klęczącej, oprzeć rękę na desce sedesowej

i podciągnąć się do góry). Od tej przygody musiałam wchodzić razem z mamą do ubikacji, ściągałam jej majtki, pomagałam jej usiąść, a potem patrzyłam, jak się załatwia i podciera.

Nie wiedziałam, że mama zużywa tak dużo papieru toaletowego i że tak bardzo starannie go składa. Ale bez tej wiedzy czułam się o wiele szczęśliwsza.

Minęło pięć dni, odkąd mama wprowadziła się do Zielonej Przystani, a ja przez cały ten czas ani razu nie opuściłam ośrodka. Teraz mama spała. Siostra Gabriella poszła do domu, a Harriet siedziała w sali telewizyjnej. Jeśli mama miała w tym miejscu spędzić swoje ostatnie dni, zamierzałam jak najwięcej dowiedzieć się na jego temat i właśnie teraz nadarzyła mi się ku temu pierwsza okazja. Zamknęłam drzwi do biura i zaczęłam przeglądać segregatory z dokumentami, chcąc dowiedzieć się czegoś o przebywających tu ludziach, a zwłaszcza o siostrze Gabrielli i jej wiecznym piórze.

Teczka Gabrielli zawierała kopię jej dyplomu pielęgniarskiego, zaświadczenie o niekaralności, numer konta bankowego oraz CV. Gabriella miała pięćdziesiąt sześć lat, była rozwiedziona i nie była karana. W dołączonym do życiorysu liście motywacyjnym napisała, że śmierć syna zmieniła jej życie i zainspirowała ją do pracy z umierającymi. Na marginesie ktoś dopisał czerwonym długopisem: „Artykuł w »Herald«, Dignitas”. Wyguglałam „Gabriella Nelson”, „Dignitas” oraz „Herald” i kliknęłam w link do artykułu:

Nieudana próba przeprowadzenia przez matkę eutanazji

Gabriella Nelson, która przez osiemnaście miesięcy opiekowała się nieuleczalnie chorym synem, nie otrzymała zgody lekarzy na przewiezienie swego jedyne go dziecka do kliniki organizacji Dignitas w Szwajcarii. „Próbowałam, ponieważ syn mnie o to błagał – tłumaczyła Gabriella Nelson. – Nie mógł już dłużej znieść bólu”. U dwudziestotrzyletniego Davida Nelsona zdiagnozowano raka węzłów chłonnych głowy i szyi. Po przeprowadzeniu jednej operacji oraz dwóch nieudanych sesji chemioterapii lekarze z Centrum Onkologii Beatson dali Davidowi, trenerowi osobistemu i graczowi rugby, trzy miesiące życia. Przed trzema dniami został on przyjęty do Szpitala Southern General i zmarł w nim wczoraj o wpół do szóstej rano. „Nie odszedł tak, jak sobie tego życzył – powiedziała pani Nelson. – To nie była spokojna śmierć”.

Pograżona w żalu matka z artykułu ani trochę nie przypominała tej oschłej kobiety z plakietką pielęgniarki, którą znałam. Jakie to potwornie smutne. A zarazem dziwne i dość niepokojące, że Gabriella przyszła tu pracować po tym, co się stało z jej synem.

Zawartość teczek pozostałych członków personelu oraz pensjonariuszy nie

była już tak intrygująca. Harriet, przysadzista brzydka pomoc pielęgniarska, nigdy nie wyszła za mąż i zanim podjęła tutaj pracę przed dziesięcioma laty, zarabiała na życie sprzątaniami domów. Molly, pomoc pielęgniarska na pół etatu, miała dwadzieścia osiem lat i znajdowała się w długotrwałym związku z ojcem dwójki swoich dzieci, które nie miały jeszcze dziesięciu lat. Katatoniczka Nancy i jej mąż Gavin byli małżeństwem przez czterdzieści jeden lat. Mieli trójkę dzieci i siedmioro wnucząt. Ona pracowała jako recepcjonistka, on – jako księgowy. W teczce znajdowała się jej deklaracja opieki terminalnej i brzmiała dokładnie tak, jak mówił Marcus: „Seks ma bardzo duże znaczenie dla mnie i Gavina. Nikt ani nic nie może nam tego odebrać”. Już miałam przeczytać akta Jimmy’ego (nazywał się Thornton), gdy usłyszałam walenie w drzwi. To Rose znów próbowała wydostać się z pokoju.

– Na pomoc! Trzymają mnie tu jak więźnia! – wrzeszczała.

Hałas obudził Harriet, która podała Rose środek uspokajający i położyła ją do łóżka. Całe zamieszanie obudziło również mamę, która próbowała wstać, żeby pomóc Rose, i wylądowała twarzą na podłodze.

Od przybycia mamy do ośrodka jej stan zmieniał się niemal z godziny na godzinę, a ja nie miałam praktycznie czasu, by myśleć o czymkolwiek innym. Gdy udawało mi się ustalić jakiś tryb działania, który pozwalał mi zadbać o wszystkie jej podstawowe funkcje, nagle coś się waliło i wszystko musiałam wymyślać od nowa. W ciągu pięciu dni mama z osoby zdolnej do przejścia do jadalni i podtarcia sobie tyłka stała się osobą niezdolną zarówno do jednego, jak i drugiego; z osoby zdolnej do wstania z łóżka o własnych siłach stała się osobą, która upadała na podłogę z głośnym hukiem; z osoby zdolnej do podniesienia się z podłogi stała się osobą czekającą bezradnie na pomoc. Tak więc bez przerwy uaktualniałam mój system działania, usuwałam z pokoju te elementy, które już były zbędne, i znajdowałam nowe, które miały odpowiadać potrzebom coraz krótszego życia, jakie ją jeszcze czekało. Ciągłe byłam zajęta, wymyślałam dla niej kolejne udogodnienia, rozmawiałam z nią na wesołe tematy, unikałam natomiast tych, które przypominałyby jej, gdzie się znajduje i dlaczego tu trafiła.

Bieg dni urozmaicały nam też inne wydarzenia. Jednego wieczoru w ośrodku wystąpił z koncertem harfista o imieniu Pete, który w weekendy grywał dla umierających w hospicjach. Harfa to instrument wprost stworzony do wyciskania łez z człowieka. W pewnym momencie musiałam wyjść z sali, pobiegłam w moje ulubione miejsce nad rzeką i popłakałam się. Z wizytami przychodzili również masażyści, fizjoterapeuci, onkolodzy, terapeuci zajęciowi i aromaterapeuci. Gdy z mamą przebywał ktoś inny, uciekałam na górę do Marcusa, żeby się zdrzemnąć, ale nigdy nie udało mi się przespać ciągiem dłużej niż dwóch godzin. Potrzebowałam snu, ale wcale go nie pragnęłam. Gdy tylko traciłam mamę z oczu, wpadałam w panikę, czułam się zagubiona i przerażona. Tylko będąc z nią

i pomagając jej, potrafiłam zachować spokój.

„Złośliwy” to odpowiednie określenie dla jej guza. Czasami patrzyłam na jej głowę, usiłując wyobrazić sobie czającego się w środku zabójcę. Żałowałam, że nie mogę wyssać go z niej poprzez uszy, pozbyć się go za pomocą masażu czy też przegnać siłą mego wolnego od guzów umysłu. Innym razem przyglądałam się głowie mamy i w ogóle nie przyjmowałam do wiadomości, że dzieje się w niej coś niezwykłego.

Pewnego dnia pomagałam mamie wrócić do łóżka, gdy zjawiała się lekarka. Mama uznała, że ma już dość ciągłego pocenia się, trudności z poruszaniem oraz wrzodów ust wywołanych przez sterydy.

– Wolę już od tego opuchliznę – oświadczyła lekarce, która miała około czterdziestki i była typem kuguarzycy. – Żadnych więcej leków, tylko środki przeciwbólowe w razie potrzeby.

– To znaczy, że odstawiamy sterydy? – spytała lekarka z niedowierzaniem (jakby chciała dodać: „Czy pani wie, jak to się skończy? Jest pani tego pewna?”).

Wyraz twarzy mamy wystarczył w zasadzie za odpowiedź na oba te pytania. Skinęła głową.

– Odstawiamy.

Nie wiem, dlaczego w pierwszej chwili nie zrozumiałam prawdziwego znaczenia tego kroku. Utrata zdolności poruszania się wydawała mi się tak okropna, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, by mogło nastąpić coś jeszcze gorszego. Mama pewnie myślała tak samo. Żałuję, że nie wiedziałam jeszcze tego ranka, że będzie to ostatni moment, gdy będę z nią mogła zwyczajnie porozmawiać, tak naprawdę porozmawiać. Powinnam była pozwolić jej płakać ani nie wstydzić się przed nią własnych łez. Nie powinnam była przedkładać moich lęków nad jej lęki oraz zmarnować jedynej okazji, jaką miałam, żeby powiedzieć jej, jak bardzo ją podziwiam i kocham. Powinnam była pozwolić jej na strach. Powinnam była położyć się u jej boku i płakać z nią całymi godzinami, aż w końcu przyszlaby opuchlizna i zabrałaby mi ją na zawsze. Powinnam była kazać jej dalej przyjmować sterydy.

Po wyjściu lekarki pojawiła się dziewczyna o imieniu Zoe, żeby wymasować mamie stopy (choć mama nie czuła już stóp, jej stopy już umarły, śmierć zaczęła zagarniać jej ciało od dołu wzwyż). Poszłam na górę, żeby trochę się przespać, i Marcus zaproponował mi jointa (zgodnie z zaleceniami pielęgniarki środowiskowej). Może trawka stłumi we mnie przerażenie i smutek. Wypaliłam skręta ledwie do połowy, po czym spałam przez bite trzy godziny.

Od przybycia mamy unikałam wszystkich z wyjątkiem Rose. Teraz, wracając do pokoju mamy, postanowiłam zajrzeć do Jimmy’ego.

– Mam dla ciebie prezent – powiedziałam.

Jimmy siedział z gitarą na łóżku. Przekazałam mu połówkę jointa.

– O rany! Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że cię Kocham. Teraz Kocham cię do szaleństwa!

– Tylko wypal go na zewnątrz, dobra? Mam cię wyprowadzić?

– Nie, nie trzeba. Sam wyskoczę na chwilę, gdy wszyscy będą zajęci nowym chłopakiem.

– Nowym chłopakiem?

– No, nie do końca nowym. Był tu przez miesiąc, potem wrócił na kilka dni do domu. Choroba szybko postępuje. Rodzina miała nadzieję, że umrze u siebie, ale nie mogli sobie dać z nim rady. Właśnie teraz przyjechał.

Chłopaka siedzącego na wózku pchali przez korytarz jego rodzice. Wyglądali na wyczerpanych i załamanych, ale starali się zachowywać pozory normalności, gawędząc z synem o praktycznych sprawach.

– Ustawimy laptop na tacy obiadowej – powiedziała matka.

– Będziesz mógł mieć bez przerwy włączonego Skype’a – dodał ojciec. – Skierowałem kamerę na kuchnię, żebyś widział, co porabiamy.

Chłopak, ledwie dwudziestojednolatek, miał na głowie czarną czapkę marki Billabong, a jego chude nogi okrywał koc.

– Znakomity pomysł. – Jego głos wcale nie brzmiał bezbarwnie jak głos umierającego. On naprawdę uważał, że to znakomity pomysł.

Uderzyło mnie, że umierający ludzie troszczyli się o swoich opiekunów tak samo mocno jak opiekunowie o nich. Mama ciągle mówiła, że bym odpoczęła, dziękowała mi, starała się zachować ożywiony ton, okazywała mi wdzięczność. Nigdy natomiast nie opowiadała o tym, co się z nią działo, nie rozmawiała ze mną o grozie, jaką napędzały ją utrata własnej świadomości i to, co ma nadejść później. Gdy tylko wprowadziłam jakąś drobną zmianę w jej pokoju bądź też stroju, zawsze chwaliła mnie, że to wspaniała i fantastyczna myśl. Ależ ty jesteś mądra! Co za świetny pomysł!

Jimmy westchnął, gdy drzwi do pokoju chłopaka się zamknęły.

– Białaczka, biedaczysko.

Rozmowy o chorobach przychodziły mi z coraz bardziej niepokojącą łatwością.

– A tobie co dolega, Jimmy?

Zachichotał.

– To, że jestem stary i nikt mnie nie chce. Mogę tu spędzić długie lata.

– W takim razie – wskazałam na jointa w jego ręce – lepiej załatwię ci trochę więcej tego towaru!

Mama znów zasnęła. Zapukałam do drzwi Rose i weszłam do środka. Jak zwykle o tej porze siedziała przy biurku i rysowała.

– Catherine! Właśnie kończę rysunek. Mam dla ciebie zadanie.

Spojrzałam na kartkę. Pokój numer siedem, znowu. Ale tym razem był pełen pozbawionych twarzy postaci. Wydawało się wręcz, że cały się od nich kłębił. I po raz kolejny jedna z nich miała jaskrawoczerwone usta, ale poza tym żadnych innych rysów twarzy. Na łóżku leżała drobna, koścista osoba. Przeczytałam na głos widniejące pod rysunkiem słowa:

– „Tilly nie tylko była już zmęczona zabawą w królów i królowe, ale też naprawdę chora. I taka młoda. Tłum zgromadził się wokół jej łóżka, gdy nadszedł czas”.

– Tu masz pięć stów. Zanieś ten rysunek Natalie Holland. To jest jej adres. Ona jest bystra. Zrozumie. Powiedz jej, że...

– ...że prawda jest zawarta w twoich rysunkach.

– Tak! Skąd to wiedziałaś?

– Już raz prosiłaś mnie, żebym do niej poszła.

Rose, wyraźnie zdenerwowana, ukryła głowę w dłoniach, po czym otrząsnęła się i złożyła kartkę na pół.

– Może tym razem zrozumie. Powiedz jej...

– ...że prawda jest zawarta w twoich rysunkach. Powiem.

– Musisz już iść, ze względu na Jasona. Pospiesz się!

Domyśliłam się, że Jason to ten młody chłopak, który właśnie wprowadził się do pokoju numer pięć.

– Nie mogę znowu wziąć od ciebie pieniędzy, Rose.

– Zgadza się, nie możesz. – Ten głos należał do Chrisa. Stał za mną w drzwiach i najwyraźniej słyszał całą naszą rozmowę. – A ile dokładnie pieniędzy zdążyłaś już wziąć od mojej babci?

– O, cholera. – To, co zrobiłam, było okropne, prawda? Postanowiłam więc być z nim całkowicie szczerą: – Tysiąc pięćset funtów. Ale oddam je. Przepraszam.

Chris skinął głową, usta miał wściekle zaciśnięte.

– To prawda, oddasz je. Będę musiał to zgłosić, Catherine. Jestem zszokowany. Absolutnie wstrząśnięty. Gdzie ukrywasz pieniądze, babciu?

– Nie twój interes. Należą do mnie. – W razie potrzeby Rose potrafiła być twardą staruszką.

– Wiem, ale powinny być w banku. Tam będą bezpieczne. Masz tu jakąś skrytkę? Gdzie chowasz różne rzeczy?

– Jakie rzeczy?

– Pieniądze, zapalki... Nie wiem, co jeszcze.

Chris zaczął przeczesać pokój. Szukał pod łóżkiem, pod materacem, w szafce nocnej, w łazience. Bez rezultatu. Wreszcie podszedł do biurka i rozłożył ukończony właśnie przez Rose rysunek.

– Babciu, te rysunki nie wpływają dobrze na twoje samopoczucie. Może

powinnaś z nimi skończyć.

– Będę rysować dalej, jeśli zechcę.

Chris złożył rysunek z powrotem.

– Schowam go dla ciebie w jakieś bezpieczne miejsce.

– Dlaczego wszystko mi odbieracie? Jest mój. Ja go schowam w bezpieczne miejsce.

Chris zignorował ją i włożył rysunek wraz z kopertą z pieniędzmi do kieszeni marynarki.

– Byłaś wczoraj w nocy na tyłach budynku, prawda, babciu?

– Nie!

– Byłaś. Wiem dokładnie, gdzie jesteś, o każdej porze. Mogę cię śledzić na moim telefonie. Wczoraj o trzeciej w nocy byłaś na zewnątrz. Na tyłach budynku.

– Skąd to wiesz?

– Obroża, babciu, pamiętasz?

Chris podniósł nogawkę jej dżinsów. Obroża wciąż była na nodze, ale widniały na niej ślady czegoś ostrego. Rose ewidentnie próbowała ją przeciąć.

– Nie możesz jej zdjąć. Lepiej przestań próbować. – Odwrócił się do mnie. – Czego użyła do przecięcia obroży? Pozwalacie jej trzymać ostre narzędzia?

Ale ja nie dałam jej nożyczek, o które prosiła.

– Nie. Sama musiała coś znaleźć. Nie dajemy jej...

– Wyjdź z pokoju mojej babci i nie wracaj. Słyszysz? Nie chcę, żebyś miała z nią cokolwiek wspólnego. Ty też słyszysz, babciu? Nie rozmawiaj więcej z tą dziewczyną. Ona cię okrada. Masz oddać te pieniądze, słyszysz? Złożę skargę u właściciela ośrodka. Nie powinnaś tu pracować. Jeśli jeszcze raz cię na tym przyłapię, wezwę policję.

– Zostaw ją w spokoju. – Rose się podniosła. – Mogę dawać pieniądze, komu tylko chcę. Należą do mnie.

– Prawdę mówiąc, babciu...

Rose podeszła do niego.

– Nie masz nic do gadania, Christopher. Zatrzymaj te pieniądze, które ci dałam, słyszysz, Catherine? Zatrudniłam cię. A ty na nie zapracowałaś.

Zbliżyła się do mnie i złapała mnie za ramiona. Przyznaję, że trochę się jej wystraszyłam, ale nie aż tak bardzo jak Chrisa.

– Powinnaś iść do domu. Tu nie jest bezpiecznie.

– Babciu, tu jest całkowicie bezpiecznie. – Chris postawił przed Rose balkonik. – Chodź, zaczerpnijmy trochę świeżego powietrza.

Zamknęłam za sobą drzwi do pokoju mamy. Gdzie podziała się ta wolna od wszelkich traum dziewczyna z zeszłego tygodnia? Z trudem oddychałam. Przez

ostatnich kilka dni udało mi się przespać nie więcej niż dziesięć godzin. Było mi słabo. Jak dawno temu jadłam? Czy w ogóle jadłam cokolwiek, odkąd mama się tu wprowadziła? Chyba musiałam. Ale nie mogłam sobie tego przypomnieć i nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby jeszcze kiedyś chciało mi się jeść.

– Cath?

Mama nie spała.

O nie, zobaczyła, jak płaczę. Łzy jak na zawołanie przestały mi płynąć. Niesamowite, co?

– Cześć, mamó, już nie śpisz!

– Nie możesz tak dalej ciągnąć, kochanie.

– Ale czego ciągnąć?

– Opiekować się mną przez całą dobę. Nie możesz robić tego wiecznie.

– To nie będzie trwało wiecznie. – Cholera! Chyba nie powiedziałam tego na głos, prawda? A jednak powiedziałam. – To znaczy, nie będzie. Nie będę. – Próbowałam jakoś wybrnąć.

– W porządku. – Mama się roześmiała i wyciągnęła do mnie rękę. – Podejź tu. Nic nie szkodzi. Rozmawiałam z Marcusem i obydwójce zgodziliśmy się, że potrzebujesz wolnego. Musisz zadbać też o własne zdrowie, kochanie. Zrób sobie kilka wolnych nocy, dobrze? Dla mnie?

Chciałam porozmawiać z nią o tym, co właśnie zaszło u Rose. Zawsze, gdy popełniałam jakiś błąd albo czułam się winna z jakiegoś powodu, mama wysłuchiwała mnie i udzielała mi dobrych rad. Dlaczego kiedykolwiek więc uważałam, że była beznadziejną matką? Bo nie piekła ciasteczek? Ależ ze mnie kretynka.

– Ale ja nie chcę cię zostawiać.

Mama sięgnęła po leżącą przy łóżku kartkę.

– Zrobiłam dla ciebie kopię.

Dokument nosił tytuł: *Objawy występujące przy guzie mózgu – oś czasu*. Zaczęłam czytać:

Najczęściej zadawane pytanie brzmi: jak długo? Choć przebieg fazy końcowej zależy od osoby, to można wyodrębnić pewne cechy wspólne, które pomogą nam „zrozumieć to, co widzimy” oraz oszacować, jak dużo jeszcze czasu nam zostało.

Pod spodem znajdowało się kilka przedziałów czasowych.

3–6 tygodni przed śmiercią:

Tu następowała lista objawów:

coraz większy niedowład strony ciała dotkniętej chorobą, upadki spowodowane odmową przyjęcia pomocy, konieczność pomagania choremu przy chodzeniu, dezorientacja i utrata pamięci, coraz większe zmęczenie...

Na tej liście mama zaznaczyła wszystkie objawy.

2–3 tygodnie przed śmiercią: jeśli chory wciąż chodzi, może błąkać się po domu w wyniku wzrostu zaniepokojenia, większa częstotliwość oddawania moczu, mniejsze zainteresowanie otaczającą rzeczywistością, większe trudności przy podejmowaniu decyzji – najlepiej zadawać pytania wymagające odpowiedzi „tak” lub „nie”.

Mama zaznaczyła trzy czwarte z objawów wymienionych w tej części.

– Nie chcę tego czytać. – Odłożyłam kartkę.

– Mnie świadomość tych objawów pomogła. Myślę, że tobie też pomoże. Spójrz, nie znajduję się jeszcze w fazie pomiędzy dwoma tygodniami a jednym ani też w fazie siedem do pięciu dni, ani też w fazie pięć do dwóch dni, ani też w ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach. Zatrzymaj listę, żeby wiedzieć, na jakim etapie się znajdujemy. Możesz iść do domu i odpocząć. Kiedy wrócisz, wciąż tu będę.

Ale tak naprawdę już jej tu miało nie być.

Gdy wychodziłam, zza drzwi swojej sypialni wyskoczyła na mnie Rose.

– Narysowałam go raz jeszcze.

Podawała mi nowy rysunek i próbowała wcisnąć kolejny zwitek banknotów. Chris miał rację: musiała mieć w pokoju jakąś skrytkę. Tym lepiej dla niej. Ciekawe, ile miała w niej jeszcze pieniędzy.

– Proszę, zanieś go do Natalie. Nie wiem, czemu od razu o niej nie pomyślałam. Ona na pewno zrozumie, nawet jeśli ja sama tego teraz nie rozumiem.

– Zniosę to Natalie. – Włożyłam banknoty do ręki Rose i zacisnęłam na nich jej kościste palce. – Ale nie wezmę od ciebie pieniędzy.

Gdy stojąc na zewnątrz, dzwoniłam po taksówkę, Marcus podjechał swoim mercedesem, zatrąbił i opuścił szybę.

– Dobrze, że wracasz do domu. Podrzucić cię?

W firmie taksówkowej nikt nie odbierał, więc wskoczyłam do środka.

Mówią, że żałoba zwiększa libido, przynajmniej chwilowo. Ma to coś wspólnego z afirmacją życia zawartą w akcie prokreacji. I choć sama należałam na użycie wykluczającej prokreację prezerwatywy, to muszę się zgodzić z argumentem o afirmacyjnym charakterze seksu. Na chwilę udało mi się zapomnieć o żałobie (mówiąc dokładnie, na jakąś minutę), a przez następnych dziesięć minut marzyłam tylko o tym, żeby wziąć prysznic.

Zaprosiłam Marcusa na kawę, a w końcu podałam mu whisky, po której nastąpił długi pocałunek. Całując go, myślałam sobie: to niewłaściwe i egoistyczne, i, no cóż, przede wszystkim niewłaściwe. Od bomby, jaką była wiadomość mamy

o jej chorobie, nie oddawałam się żadnej z moich zwyczajowych przyjemności: alkohol, żarty, internet, kontakty z przyjaciółmi, jedzenie, a nawet porządny sen. Może z wyjątkiem wypalenia połowy jointa, ale to w zasadzie było lekarstwo, które miało mi pomóc odpocząć, żebym mogła na nowo wrócić do moich obowiązków. Tymczasem teraz szukałam cienkiego i całkiem sztywnego języka Marcusa, mając nadzieję, że nieco się rozluźni i stanie się mniej spiczasty, jeśli tylko podda się pełnym entuzjazmu ruchom mojego języka. Niestety, język Marcusa pozostał spiczasty jak u gwiazdora porno, wiercił się i szturchał, nie chcąc schować się do jego ust i ciągle cofając się przed wsunięciem się w moje: wkręt, wkręt, szturch, szturch, liz, liz. Powinnam to przerwać, ale ogarnęła mnie przemożna potrzeba zatracenia się w fizyczności. Za pomocą tego rytmicznego ruchu ciał i języków mogłabym wyrzucić z siebie śmierć. Mogłabym choć na chwilę się zapomnieć. Mogłabym poczuć coś innego niż strach.

Nie przerwałam więc tego, lecz zaprowadziłam Marcusa do sypialni i kazałam mu się położyć. Spytał mnie, czy jestem tego pewna, a ja powiedziałam, żeby się zamknął. Spytał mnie, czy to na pewno w porządku, w końcu jest moim szefem i tak dalej, a ja odparłam, że nie jest moim szefem, bo w ogóle mi nie płaci, płaci mi moja matka, więc niech się zamknie i zdejmie ubranie.

Nago Marcus nie wyglądał najlepiej. Pomimo szczupłej sylwetki miał miękkie ciało, obwisłe piersi, a jego okrągłe kolana były jeszcze bardziej puszyste, niż podejrzewałam. Usiadłam na nim, ale on nie był nawet jeszcze twardy, co doprowadziło mnie do płaczu.

Tym razem to on kazał mi się zamknąć, rzucił mnie na plecy i zabrał się do roboty.

Poruszał się tak wolno i tak delikatnie, jakby wiosłował łodzią przez jezioro wypełnione klejem. Wykonywał ten sam ruch, w kółko i w kółko. Był to najgorszy seks w moim życiu, gorszy nawet od mojego pierwszego razu z Derekiem Valienem z klasy. Zrobiliśmy to nad rzeką w ogrodzie botanicznym. Derek doszedł, gdy tylko go dotknęłam, ale i tak próbował mi go włożyć, ponieważ nie ogarniał jeszcze całej logistyki tej operacji. Podczas gdy Marcus sunął w swej ospałej łodzi, pojękując zgodnie z rytmem swego wiosła, ja zapragnęłam nagle chwili ciszy. Chciałam pomyśleć o mamie. Chciałam się przy niej znaleźć.

Wskoczyłam z powrotem na Marcusa i przejęłam kontrolę, chcąc dać upust swojemu gniewowi. Jak tylko zaczęłam go ujeżdżać, naszła mnie ochota, żeby przywalić mu w twarz. Chciałam szarpać go za włosy, aż z jego głowy popłynie krew. Chciałam rozplatać mu czaszkę siekierą, wyciągnąć z niej pozbawiony guzów, pulsujący mózg, pojechać z nim jak najszybciej do mamy i zakrwawionymi rękami włożyć go do jej głowy. Mając takie kolana, takie obwisłe piersi i wykonując takie ruchy, Marcus po prostu nie zasługiwał na zdrowy, wolny od guzów mózg.

– Nie ruszaj się!

Nie mogłam przestać płakać.

– Nie zamykaj oczu!

Łzy natychmiast przestały mi płynąć, gdy tylko wyobraziłam sobie, jak duszę go gołymi rękami, depczę nogami jego głupie cienkie nozdrza, aż nos pęka mu na pół.

Walczyliśmy o przejęcie kontroli. Znów leżałam na plecach i płakałam.

– Przestań się wiercić!

Aby mieć to wreszcie za sobą, całkiem przestałam się poruszać, podczas gdy Marcus kołysał się tak spokojnie, że praktycznie w ogóle go nie czułam. Wreszcie zadrżał i szczytując, wyrócił oczy białkami do góry. Całe szczęście, że nie widział wyrazu obrzydzenia na mojej twarzy. Ohyda!

Wysunęłam się spod niego i nakryłam kołdrą.

– Myślałam, że zaraz wykorkujesz.

– Ach, tak. – Marcus w triumfalnym geście założył ramiona za głowę. – *La petite mort!*

– Co?

– Mała śmierć. Tego właśnie potrzebowałam, dzięki.

Gdy wkładałam majtki, zapytał:

– Ty też miałaś?

Nienawidzę, gdy faceci mnie o to pytają. Jeśli muszą o to pytać, to chyba raczej sprawa jest jasna. Zresztą jak w ogóle przyszło mu to do głowy? Przez większość czasu płakałam, a poza tym musiał zauważyć żądzę mordy na mojej twarzy. Czułam się, jakbym go torturowała.

– Czy co miałam?

– Czy też zaliczyłaś małą śmierć?

– Obawiam się, że nie byłam nawet w stanie udawać.

Marcusowi groziło tymczasem, że jeśli zaraz nie wyniesie się z mojego domu, poniesie całkowicie prawdziwą i konkretną śmierć. Nie wiem, czy można powiedzieć, że wykopałam go za drzwi, ale pamiętam, że położyłam mu rękę na plecach i stanowczo zachęciłam, żeby skierował się do wyjścia. Nie powinnam była z nim tego robić. To wcale nie rozbudziło we mnie afirmacji życia. Sprawilo jedynie, że zebrało mi się na wymioty. Czemu, czemu to zrobiłam? Dlaczego nie poszłam do Paula i go nie przytuliłam? Pobiełam do komputera, by napisać do niego kolejny e-mail.

Temat: Życie jest zbyt krótkie i inne banały

Paul,

sama nie wiem, na co czekasz. Powinieneś wiedzieć, co czuję. Pragnę, żebyś mnie wziął w ramiona i już nigdy nie puścił. To znaczy, będziesz musiał mnie puścić, żeby pójść do toalety, żeby zjeść albo się ubrać... no cóż, nie unikniemy

tę, dość często będziesz musiał mnie puszczać, ale chyba rozumiesz, o co mi chodzi. Tym razem wysyłam.

Bez zastanowienia nacisnęłam „wyślij”. Po czym zaraz napisałam kolejny e-mail.

Temat: Proszę, zignoruj poprzedni mail

Paul,

proszę, zignoruj poprzedni mail. Proszę, zignoruj poprzedni mail. Proszę, zignoruj poprzedni mail.

Zamknęłam laptop i wskoczyłam pod prysznic, żeby wyszorować całe ciało z lepkich śladów Marcusa. Było w nim coś odrażającego. A może chodziło tylko o to, że nie powinnam mieszać żałoby z pożądaniem? Nie, Marcus Baird jednak był obleśny.

Włożyłam mój ulubiony domowy strój – pasiaste spodnie od piżamy i białą koszulkę na ramiączkach – i przeszłam się wzdłuż korytarza. Z lewej strony widziałam gabinet mamy z ogromnym biurkiem, pozbawionym teraz wszelkich śladów jej pracy i życia. Widziałam łazienkę i sypialnię mamy. Przez kuchnię połączoną z jadalnią widziałam drzwi prowadzące na wyłożone kamiennymi płytami podwórko, pełne krzewów oraz wygodnych mebli ogrodowych, na których mama mogła pracować, a ja się opalałam, jeśli zdarzały się jakieś gorące dni. To był dom, w którym dorastałam. Odkąd mama rzuciła Martina Watsona i kupiła ten dom, nigdy nie myślałam o nim za wiele. To po prostu był dom. A raczej mieszkanie na parterze czynszowej kamienicy. Czy teraz je sprzedam? Jeśli tak, dostanę za nie przyzwoitą cenę. Położone w samym sercu West Endu. Wysokie sufity z gzymsami, przestronne pokoje. Wygląda jak wyjęte z magazynu wnętrzarskiego. Mama pięknie je urządziła i co roku odnawiała. Jeden pokój rocznie, taką miała zasadę. „Jeśli raz w roku nie wyremontujesz choć jednego pokoju, wtedy nim się zorientujesz, cały dom będzie zaniedbany i nie będzie się nadawał ani do życia, ani do sprzedania”.

Wyobrażam sobie, że taki punkt znajdował się na jej liście, gdy wprowadziła się do swojego pierwszego domu: „To, Maureen, jest coś, co chcę, żebyś zaczęła robić już od teraz”.

Mama ma na imię Maureen. Zabawne, że jeszcze o tym nie wspomniałam. Maureen Mann. A ja nazywam się Catherine Mann, co zawsze było okazją do wielu żartów. „Ale z ciebie man, Catherine!” „Masz jaja, Mann?” Dzięki za nazwisko, dziadku. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego moja nienawidząca mężczyzn matka nie przyjęła nazwiska Martina i nie podarowała mi go na Gwiazdkę. Catherine Watson. To nazwisko dziewczyny, która nie pozwoliłaby sobie w kaszę dmuchać. Albo dlaczego nie dała mi nazwiska mojego ojca: Catherine Marks. To nazwisko godne rewolucjonistki. Albo dlaczego nie dała mi jakiegoś zupełnie nowego nazwiska, jak na feministkę przystało. Na przykład

Chalmers. Nazywam się Catherine Chalmers.

A więc ten dom należał teraz do mnie. Tylko do mnie. Dzięki, Maureen Mann.

Osunęłam się na odnowione niedawno deski podłogowe w korytarzu i zaczęłam płakać.

Najpierw zajęłam się jej ubraniami. Tak właśnie zachowują się ludzie, prawda? Sięgają po te części garderoby, które jeszcze niedawno okrywały ich ukochanych, w nadziei, że żadne płyny ani proszki do prania nie zabiły jeszcze do końca ich zapachu, że płaskie rękawy swetra czy wygniecione nogawki dżinsów znów się wypełnią członkami ich bliskich. Garderoba mamy zawsze była starannie uporządkowana. Miała wielką szafę wnękową, którą kazała sobie zbudować w deszczowym listopadzie, gdy po raz ostatni odnawiała swoją sypialnię. Nie powinnam być wcale zaskoczona tym, co ujrzałam, gdy włączyłam w niej światło. Wszystkie jej ubrania i buty zniknęły. Nie zostawiła mi nawet tych rzeczy, które jej zawsze podkradałam, gdy nadchodził „ten czas w miesiącu”: wiatrówki przywiezionej znaną Wielkiej Rify Koralowej, spodni do jogi z H&M i wyciągniętego niebieskiego T-shirtu, sama już nie wiem skąd. Założę się, że zastanawiała się, czy nie zostawić tych rzeczy, ale uznała, że to tylko utrudni mi sprawę. Wyobraziła sobie pewnie, jak zadreczam się, czy mam je wyrzucić, ale nie jestem w stanie tego zrobić, po czym zamykam jej sypialnię niczym prywatną świątynię i tym samym marnuję całkiem przestronne i jasne pomieszczenie, które mogłoby mi posłużyć za domową siłownię albo studio malarskie, albo pokój dla współlokatora lub też dla dziecka. W szafie pachniało wybielaczem i szamponem do dywanów.

Sprawdziłam przyległą do sypialni łazienkę, licząc, że znajdę tam pół buteleczki Chanel 19 albo tę kredkę do ust, którą tak lubiłam. Ale niczego tam nie było. Nawet szczoteczki do zębów. Przechodząc przez mieszkanie, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że mama wyczyściła dosłownie wszystko, jakby to było miejsce zbrodni. Zatarła pewnie nawet ślady swego DNA. W gabinecie zostawiła tylko trzy albumy fotograficzne, lecz wszystko inne usunęła. Pozostawiła też stertę kopert zawierających kopie dokumentów, które widziałam już w Zielonej Przystani.

Przed domem wciąż stał kontener na śmieci. Wskoczyłam do środka i zaczęłam rozdzierać czarne worki na śmieci, ale nie było tam żadnych ubrań, tylko same papiery, zepsute sprzęty kuchenne i tego typu rupiecie.

Chwyciłam kluczyki mamy, wsiadłam do jej samochodu i pojechałam do najbliższego sklepu Oxfam, przez całą drogę nie przestając płakać. Nie znałam ekspedientki, która podeszła do mnie ostrożnie, zbierając ubrania, które straciłam

na podłogę, ale była wobec mnie dość miła.

– Dobrze się pani czuje? – spytała.

– Zna pani Maureen Mann?

– Oczywiście.

– Jestem jej córką. Wydaje mi się, że przyniosła tu przez pomyłkę trochę swoich ubrań.

Nagle zorientowałam się, że jestem w samej piżamie. Musiałam wyglądać jak niezła wariatka.

Opisane pudła, które widziałam w zeszłym tygodniu w domu, znajdowały się z tyłu sklepu. Były puste, cała ich zawartość została wysypana na stoły wraz z pozostałymi darami. Sprzedawczyni – pięćdziesięciolatka, ale nie w typowym dla tej grupy wiekowej zestawie bluzka plus sweter – zapewniła mnie, że ubrania nie były jeszcze prane, i zamknęła drzwi, żebym mogła w spokoju je przejrzeć. Znalazłam szare spodnie mamy. Miała je na sobie, gdy po raz ostatni jechała do Londynu. Był tam też jej zielony T-shirt, w którym bez przerwy chodziła po domu. No i jej wiatrówka, i jeszcze rozciągnięta niebieska koszulka – uff, całe szczęście! Włożyłam ją na mój T-shirt. Jedno po drugim odnajdywałam jej ubrania, składałam je, wahałam i przywoływałam związane z nimi wspomnienia.

Wręczyłam sprzedawczyni całą gotówkę, jaką miałam w portfelu, i pojechałam do domu, żeby odłożyć ubrania mamy tam, gdzie było ich miejsce.

Gdy wróciłam z dwoma wielkimi workami ciuchów w każdej ręce, Paul już czekał na mnie na progu.

– Jaki jest niezawodny sposób, by zachęcić kogoś do przeczytania poprzedniego e-maila?

Uśmiechał się z lekkim poczuciem winy – nie powinien okazywać radości w takiej chwili.

– Proszę, zignoruj poprzedni e-mail.

Postawiłam worki pod drzwiami i usiadłam obok niego.

– Mama próbowała oddać wszystkie swoje ubrania.

Paul objął mnie i delikatnie przyciągnął do siebie moją głowę, aż oparłam mu ją na ramieniu.

– To mogłoby mieć dość romantyczne zakończenie, gdybym tylko nie powiedziała ci, że zanim wysłałam do ciebie ten e-mail, uprawiałam seks z absolutnie odrażającym typem.

Wyczułam, że jego ramię nieco zeszywniało. Uniosłam głowę, czekając na odpowiedź.

– Wzięłaś potem prysznic? – spytał wreszcie.

– Szorowałam się blisko godzinę.

Paul położył z powrotem moją głowę na swoim ramieniu.

Pomógł mi ułożyć ubrania mamy w szafie, a potem poszedł do kuchni rozmrozić dla mnie zupę. Zanim jednak mi ją przyniósł, zdążyłam zasnąć na kanapie. Obudziłam się już po południu i znalazłam na stoliku karteczkę („Odpocznij trochę. Zadzwoń później. Ściskam, Paul”). Zadzwoił telefon.

– Zastąłem Maureen?

– Nie.

– Mogę zostawić jej wiadomość? Mówi Davy, z wakacji. Chciałem tylko powiedzieć, że mogę naprawić tę płytkę w łazience. Proszę jej przekazać, żeby do mnie oddzwoniła.

Rozłączyłam się i poszłam do głównej łazienki. Jakie to musiało być irytujące dla mamy, że zostawiła jedno z pomieszczeń w nie do końca idealnym stanie. Jakies trzy tygodnie temu nad umywalką odpadła jedna płytka. Dotknęłam znajdującego się pod nią muru. Chyba po raz pierwszy w życiu mamie nie udało się zrealizować wszystkich zadań z listy. Cudownie! Już nigdy nie naprawię tej płytki.

Na telefonie stacjonarnym było mnóstwo nieodebranych połączeń. Zaczęłam przeglądać numery: było jasne, że ludzie już wiedzieli o guzie. Dzwonili znajomi mamy z pracy, jej ciotka z Nowej Zelandii, najbliższy kumpel Antonio i kilkoro moich przyjaciół ze szkoły, w tym Gina i Rebecca. Paul zostawił do wczoraj jakieś dziesięć wiadomości.

Ubrałam się, wzięłam torebkę i pojechałam do Natalie. Nie otwierała drzwi, więc zajrzałam przez boczną furtkę i zobaczyłam, że czyta książkę na tarasie z tyłu domu, podczas gdy jej sześciolatek synek skacze na trampolinie.

– Catherine! Wejdz! Co słychać?

Gdy opowiedziałam jej o mamie, znów się popłakałam.

– Och, biedactwo. To straszne.

W ogóle nie znałam Natalie, ale gdy mnie przytuliła, poczułam się, jakbyśmy znały się od lat.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Prawdę mówiąc, bardzo chce mi się pić.

Gdy nałala mi domowej lemoniady z lodem, wręczyłam jej ostatni rysunek Rose. Natalie obejrzała go z tym samym smutnym westchnieniem co poprzednio. Przedstawiał tłum pozbawionych twarzy postaci tłoczących się wokół łóżka w pokoju numer siedem.

– Byłaby znacznie szczęśliwsza w jakimś innym ośrodku w mieście. Możesz porozmawiać o tym z Chrisem? Ode mnie nawet nie odbiera telefonów. Na pewno mogłby znaleźć jej miejsce gdzie indziej.

Gdy Natalie spytała, jak miewa się Rose, sama byłam zaskoczona moją

odpowiedzią. Od naszej ostatniej rozmowy Rose uciekła na komisariat, następnie próbowała zadzwonić na policję, wnuk wbrew jej woli założył jej na nogę elektroniczną obrozę, a drzwi do jej sypialni były zamykane od zewnątrz, żeby nie mogła sama wyjść.

– Elektroniczna obroża? Jezu! Zamykają ją w pokoju? Chryste!

– Mamo, czy mogę obejrzeć *Doktora Who*? – Mówiąc to, mały Joe ani na chwilę nie przestał skakać. Był najśliczniejszym chłopcem, jakiego w życiu widziałam.

– Jasne, skarbie. Niech cię tylko stamtąd ściągnę.

Natalie rozsunęła zamek w siatce zabezpieczającej i pomogła mu zejść z trampoliny. We trójkę weszliśmy do domu. Natalie włączyła telewizor i pocałowała synka w puciołowaty policzek.

– Pozostali niedługo powinni wrócić. Nie masz nic przeciwko, że zacznę robić obiad? Nie uwierzyłybyś, ile te chłopaki potrafią zjeść.

Usiadłam na ławce, podczas gdy ona zabrała się do siekania cebuli.

– Rozumiem, jakie to przerażające dla rodziny, gdy ukochana osoba sama oddała się z ośrodka, ale co z jej zgodą? Nawet przestępcy muszą wyrazić zgodę na założenie obroży. Wniosłabym skargę, ale nikt mnie nie posłucha. Mogłabyś zrobić to za mnie? To nie w porządku.

– Dobrze, zajmę się tym. Masz rację, to niestosowne, prawda?

Na ścianie w kuchni zauważyłam kilka oprawionych ilustracji, wszystkie przedstawiały śliczną małą blondynkę, która jadła truskawki, bawiła się lub po prostu patrzyła z zadowoloną miną. Przyjrzałam się im bliżej i zorientowałam się, że coś je łączy.

– Czy to nie są rysunki Rose?

– Tak, narysowała je między dziesiątym a siedemnastym rokiem życia. Nigdy ich nie opublikowała.

– Podarowała ci je?

Natalie skinęła głową.

– To oryginały? Muszą być warte fortunę.

– Dała mi oryginały, ale już ich nie mam. To są tylko kopie. Długo by opowiadać. – Natalie otarła oko, pewnie z powodu cebuli.

– Słuchaj, a masz te poprzednie dwa rysunki, które przyniosłam od Rose?

Natalie wyjęła oba z segregatora na półce. Przystawiłam je do obrazków z Margie na ścianie.

– Dlaczego na wszystkich tych rysunkach umieszcza zielone kalosze? Nie robiła tego w książkach o Tilly, prawda?

Natalie przestała siekać cebulę i z wyrazem niedowierzania położyła rękę na ustach.

– O mój Boże, kompletnie zapomniałam. Opowiadała mi o kaloszach, gdy

podarowała mi rysunki z Margie.

– I co z nimi?

– Jeśli na rysunku pojawiają się zielone kalosze, to znaczy, że Rose była świadkiem tego, co on przedstawia, że to się faktycznie wydarzyło, że ten rysunek pokazuje prawdę. Stosowała taki sekretny kod, który miał jej pomóc zapamiętać Margie.

Spojrzałam na rysunek z Beatrice. Znajdował się na nim wiszący na ścianie pokoju oprawiony obrazek, a na nim z kolei widniała para zielonych kaloszy.

– A więc ten rysunek oznacza, że Rose widziała, jak ktoś malował usta Beatrice.

Spojrzałam na następny. Tym razem kalosze znajdowały się na nogach królowej, a na ścianie pokoju wisiała mapa Loch Lomond. „Nad pięknymi, pięknymi brzegami Loch Lomond...”

– Emma – powiedziałyśmy równocześnie.

– Czyli Emmę też widziała w pokoju numer siedem? Ale co znaczy, że jest „pełna żalości”?

– Środowe dziecko. Czy Emma urodziła się w środę?¹

– Nie wiem. Ale w środę umarła.

– A czego dotyczy ostatni rysunek?

Przyjrzałam się uważniej postaci na łóżku. Była drobna, chuda i – choć nie zauważyłam tego za pierwszym razem – miała na głowie czarną czapkę z nazwą „Billabong” zapisaną beżowymi literami.

– Och, to czapka Jasona. Wydaje mi się, że Rose narysowała chłopaka, który się właśnie wprowadził do ośrodka. Tylko dlaczego? Nie ma tu jednak kaloszy, więc tego pewnie sama nie widziała.

Położyłyśmy trzy rysunki na ławce, jeden obok drugiego. Łączył je wszystkie jeszcze jeden element: postać królowej z jaskrawoczerwonymi ustami.

– Czy to nie jest czasem ta pielęgniarka? Jakżeż ona ma na imię...?

– Gabriella.

– Wiem, że pacjenci z demencją cierpią również na paranoję, ale myślisz, że może tam się dzieć coś niedobrego?

Opowiedziałam o notatkach w dzienniku dyżurów na temat zmarłych osób i o tym, że zapisano je wiecznym piórem, dokładnie takim samym, jakiego używa Gabriella, a także o nieudanej próbie eutanazji jej syna.

– Spróbuję dowiedzieć się czegoś w tej sprawie. Brian może mi pomóc.

– Kto?

– Mój mąż. On też pracuje w opiece społecznej, tylko na wyższym szczeblu, nosi garnitury. I muszę zobaczyć się z Rose. Dałabyś radę zabrać ją na długi spacer nad rzekę na przykład jutro po południu? Powiedzmy, o drugiej? Nikt się nie dowie, będę ostrożna.

– Jasne. Jeśli zaparkujesz przy stacji benzynowej, możesz zejść nad brzeg ścieżką przy moście. Spotkajmy się przy wysokim drzewie w zakolu rzeki, około piętnastu metrów od drogi. Na pewno je zobaczysz.

Po powrocie do domu po raz pierwszy od wielu dni sprawdziłam moją komórkę. Dostałam wiadomość od Marcusa („Dzięki za wczoraj” i uśmiechnięta buźka). Natychmiast ją wykasowałam, żeby nie przypominała mi... fuj. Było tam też dwadzieścia osiem esemesów od różnych znajomych ze szkoły i studiów. Mnóstwo wiadomości i nieodebranych telefonów od Paula. Oraz wiadomość na poczcie głosowej od mamy:

– Cześć, Cath, czuję się dobrze! Mam nadzieję, że trochę odpoczęłaś. Dzwonię tylko, bo udało mi się wreszcie skontaktować z tym facetem od płytek i może przyjąć naprawić płytkę w łazience dziś, czyli w środę, o trzeciej. Bądź tylko w domu, żeby go wpuścić, dobrze? Ma na imię Davy. Już mu zapłaciłam.

Słyszając to, nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Rozdział 12

82 lata

Och, to właśnie było w tym najdziwniejsze. Nie uczucie, lecz wrażenie braku. Ostatnio Rose cieszyła się kilkoma dłuższymi okresami przytomności umysłu, ale ten był zdecydowanie najlepszy. Od godziny siedziała przy biurku i miała wrażenie, że naprawdę pisze coś nowego. Tego ranka błagała Gabriellę, żeby wypuściła ją z pokoju, ponieważ chciała skorzystać z komputera w sali zajęć. Pod absurdalnie czujnym spojrzeniem pielęgniarki Rose zaczęła przeglądać strony i fora internetowe, na których pisali tacy ludzie jak ona oraz opiekunowie osób takich jak ona. Gdy zamknięto ją z powrotem w pokoju, usiadła przy biurku i spróbowała coś o tym napisać. Jej ostatnie próby napisania książki dla dzieci były śmiechu warte. Może zacznie prowadzić blog? Opowieści zdemencjałej staruszki! Dobrze. Trzymała w dłoni długopis, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Po prostu nie potrafiła tego opisać. To było... Próbowała znaleźć w pamięci doświadczenie porównywalne z tym, co teraz przeżywała.

Na pewno nie śmierć Margie, to było wyraziste jak diabli. (Ani wiadomość o tym, że jej ojciec zaginął w akcji, która nadeszła dwa miesiące po tym, jak matka odebrała ją z farmy wraz z ciałem siostry). Ani też ta chwila, kiedy matka oskarżyła ją o zgubienie medalionu, który Margie dostała na piąte urodziny. Rodzice wydali na niego połowę swych miesięcznych zarobków, nie posiadając się z radości, że ich chora córeczka przeżyła niemal śmiertelny atak astmy. Wewnątrz medalionu znajdowało się zdjęcie taty i mamy. Zdjęcie było piękne, zrobione tuż przed wojną, kiedy obie dziewczynki były jeszcze maleńkie, a rodzina nie miała żadnych powodów do zmartwień. Tata wprost promieniał na nim, zupełnie jak wtedy, gdy czytał Rose bajki na dobranoc. Powiedzieli Margie, żeby zawsze nosiła medalion na szyi, a kiedy poczuje się nieszczęśliwa lub będzie mieć problemy z oddychaniem, niech go dotknie i pomyśli o rodzicach. Medalion miał sprawić, że poczuje się bezpieczna, spokojna, zdrowa i szczęśliwa. Gdy mama zjawiła się na farmie, jej mała córeczka leżała na stole w jadalni z lalką Violet wsuniętą pod złożone na piersi ramiona. Ale na jej szyi nie było medalionu. Rose za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie widziała go po raz ostatni. Czuła się winna jego zaginięcia. „Wiesz, gdzie on jest? – dopytywała matka. – Proszę, spróbuj sobie przypomnieć!”

Przed wyjazdem do domu Rose przeszukała całą farmę, obory dla krów i brzeg rzeki. Przecedzała nawet wodę w rzece za pomocą durszlaka. Przepytała wszystkie pozostałe dzieci, przekonana, że medalion ukradł jeden z tych pęćaków.

Margie bowiem żaliła się, że Bridget zabrała jej go pewnej nocy i żeby go odzyskać, musiała się z nią bić. Ale Rose nie znalazła medalionu ani też nie przypomniała sobie, kiedy po raz ostatni go widziała. Zapewne dlatego że przez cały czas była zbyt skupiona na sobie. Wstrętna, samolubna dziewczyna.

Z tamtym przeżyciem wiązało się mnóstwo rozmaitych uczuć, ale żadne z nich nie pomagało jej w opisanu choroby. Problem polegał na tym, że ta choroba nie była wcale doznaniem, ale brakiem. Brakiem wszystkiego. Próba opisanie jej przypominała więc pisanie o pozbawionym kształtów cieniu.

Rose spojrzała na zdjęcia na ścianie. Był tam Vernon przy stoliku w restauracji w dniu swoich czterdziestych urodzin. Vernon, co za staroświeckie imię. Jak bardzo przypadł jej do gustu ten wysoki, wytworny mężczyzna, kiedy poznali się na tańcach w londyńskim East Endzie. Jak niewiele mówił! Rose natychmiast wyszła z założenia, że zachowywał się tak, ponieważ jego głowę wypełniały myśli zbyt dziwne i skomplikowane, by dzielić się nimi z innymi. Postanowiła jednak, że podzieli się nimi z nią, a ona je zrozumie. Bez przerwy przyglądał się wszystkiemu z półuśmiechem, co według Rose świadczyło o jakichś dowcipnych komentarzach rodzących się w jego umyśle. Intrygował ją i fascynował, i wkrótce zaczęła snuć o nim opowieść. Nocą w łóżku pisała jego biografię, wyobrażając go sobie jako skrytego geniusza, który maluje w piwnicy wspaniałe obrazy albo wyjaśnia swoje filozoficzne koncepcje w czasopiśmie akademickich lub wygłasza serdeczne i przezabawne przemówienia podczas imprez dobroczynnych. Vernon był najlepszym bohaterem, jakiego zdołała opisać. Ale był całkowicie fikcyjny. Pobrali się, zanim zdała sobie sprawę, że jego delikatny uśmiech to tylko efekt osobliwego kształtu jego ust, a nie bogatego życia wewnętrznego, a jego milczenie było spowodowane tym, że w gruncie rzeczy nie miał nic do powiedzenia. Vernon ukończył prawo w Glasgow i został partnerem w firmie zajmującej się kwestią przeniesień tytułu własności, a Rose wkrótce cieszyła się, że nie lubił za wiele mówić, zwłaszcza o swojej pracy.

Nie ucieszyła się jednak, kiedy Vernon zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Był dobrym, ciężko pracującym mężem i ojcem. Utrzymywał rodzinę i spędzał dużo czasu z dziećmi. Tydzień po jego śmierci Rose sadziła w ogrodzie cebulki tulipanów. Słońce świeciło, a jej głowę zaczęły nagle wypełniać rozmaite historie. Być może dlatego podjęła się roli żony i matki, żeby zrekompensować sobie swoje niepowodzenie w roli córki i siostry. I dobrze się spisała. Ale teraz jej dzieci oraz mąż odeszli. Rose niemal pobiegła do biurka w kącie salonu. W ciągu miesiąca ukończyła swoją pierwszą książkę, dwa miesiące później miała już podpisaną umowę na trzy kolejne.

Poznała Vernona, gdy miała siedemnaście lat, i wtedy też przestała rysować Margie z zielonymi kaloszami. Małżeństwo, a potem macierzyństwo stłumiło w niej poczucie winy oraz żalu, a ostatnie słowa ojca nie wydawały jej się już takie

ważne. Nauczyła się żyć z tym, co się wydarzyło. Była dobrą żoną, dobrą matką i dobrym człowiekiem, a potem, po śmierci Vernona, okazała się też dobrą pisarką. Dopiero demencja znów przypominała jej o słowach ojca. Szeptala je do siebie raz po raz, błądząc po krętym labiryncie choroby.

Kartka przed nią wciąż była pusta. Jak to możliwe, że nie potrafiła wykorzystać tej drobnej przypadłości w twórczy sposób? Zwykle wykorzystywała przecież wszystko, co jej się przytrafiało, bez względu na to, jak było straszne. Ewakuacja na wieś, utrata siostry, niedzielny obiad, na który farmer podał im mięso z jej ulubionej krowy, i choć Rose wiedziała, że ta wołowina to Josie, czuła taki głód, że i tak ją zjadła. Wykorzystała też swój poród, wdowieństwo, a nawet *coming out* swego wnuka geja (akurat ten pomysł fabularny spotkał się z protestem wydawcy, co wcale jej nie zdziwiło). Ale doświadczenia choroby nie mogła wykorzystać, ponieważ jej nie czuła.

Rose często obawiała się, że dostanie artretyzmu, tak jak żona farmera, której ręce przypominały powykręcane, sękaty supły. A jeśli jej też się to przydarzy? Jeśli nie będzie w stanie dalej rysować? Ale artretyzm dałoby się jeszcze wytrzymać. Nie mogłaby wprawdzie rysować, ale mogłaby pisać, korzystać z pomocy asystentki – na przykład tej nowej dziewczyny – albo nagrywać tekst na dyktafon.

Wbiła wzrok w ścianę, szukając inspiracji. Było tam zdjęcie Jane, jej starszej córki. Tak samo ponurej i nieśmiałej jak jej ojciec. I równie poważnej. Teraz była milionerką. Wisiało tam też zdjęcie Eleny, która żyła szczęśliwa w Kanadzie z partnerką i dwiema małymi córeczkami. Rose z chęcią wsiadłaby do samolotu i znów je odwiedziła. No i jeszcze Chris – choć strasznie się rzędził, był na każde jej wezwanie. Spojrzała na kalendarz, który ci idioci powiesili na ścianie w ramach podtrzymywania jej kontaktu z rzeczywistością. Dziś był czwartek. Czwartek rano! No właśnie. Czwartek rano.

Rose odeszła od biurka i stanęła przy oknie, czekając na nieuniknione.

Wystarczyło zaledwie czterdzieści pięć minut. Kiedy pod jej oknem przejechały nosze na kółkach, nowa dziewczyna otworzyła drzwi, weszła do środka i wzięła ją za rękę.

– Chodź, pomachamy mu na pożegnanie, Rose.

Zaczynała lubić tę nową. Osobista tragedia wytrzebiła z niej całą nudę. Rose ścisnęła jej dłoń i obie przyglądały się, jak ciało Jasona zmierza do karetki. Zaledwie dwadzieścia jeden lat. Ona sama w tym wieku nic jeszcze nie osiągnęła poza zabiciem własnej siostry. Ciekawe, czy Jason zdążył coś osiągnąć?

Gdy karetka odjechała, a za nią w samochodzie rodzice i siostra zmarłego, Rose zwróciła się do Catherine:

– Teraz sobie przypominam. Właśnie to próbowałam ci powiedzieć.

– Co?

– Że Jason umrze.
– To dlatego narysowałaś go leżącego w łóżku?
– Tak, ponieważ niedługo miał umrzeć. Wiedziałam o tym i usiłowałam temu zapobiec.

– Ale przecież wszyscy wiedzieliśmy, że niedługo umrze, Rose, nawet on sam. Nikt nie mógł tego powstrzymać.

– Nie, nie to miałam na myśli.

– A co?

– Słucham?

– Co w takim razie miałaś na myśli?

Rose nachyliła się tak blisko, że niemal czuła oddech dziewczyny na policzku.

10 lat

– Coraz gorzej oddychasz, Margie.

Rozdział 13

Wystarczyły dwa dni bez sterydów i mama przestała być sobą. Siedziała w fotelu i wpatrywała się w lekarzkę z pełnym zdumienia zaciekawieniem niczym małe dziecko.

– Musisz być Catherine – stwierdziła lekarka. Nie czekając na potwierdzenie ani nie wdając się w żadne pogaduszki, kontynuowała badanie. – Właśnie pytałam twoją mamę, czy już się wcześniej spotkałyśmy.

Mama miała chyba zrozumieć tę podpowiedź, ale tak się nie stało.

– Spotkałaś mnie już kiedyś, Maureen?

– Hm, może i tak.

– A wiesz, kto właśnie do ciebie przyszedł?

Kilka sekund ciszy, jakie nastąpiło po tym pytaniu, ciągnęło się niczym godzina. Nie mieściło mi się w głowie, by mama mogła mnie nie rozpoznać. Wstrzymałam oddech, gdy wlepiła we mnie wzrok, a jej dziecinna mina zmieniała się stopniowo w zaniepokojony wyraz twarzy kobiety w średnim wieku. Tak samo jak ja była przerażona, że może udzielić złej odpowiedzi.

– Catherine – powiedziała wreszcie.

– Cześć, mamó. – Znów mogłam oddychać.

– Dobrze, dobrze. Jakies bóle w głowie?

Ręka mamy powędrowała na głowę, zacisnęła się na gęstych brązowych włosach, co stanowiło niechybny znak, że bardzo cierpiała.

– Chyba nie.

– W skali od jeden do dziesięciu jak bardzo boli cię głowa?

Mama przygryzła wargę, jakby przed całą klasą kazano jej rozwiązać na tablicy niesłychanie skomplikowane równanie matematyczne.

– Nie wiem.

– W porządku, Maureen, nie szkodzi. – Lekarka była bardzo elegancko ubrana. Obcisła spódnica, szpilki. – Nie zapomnij tylko zgłosić komuś, gdy cię będzie bolało, dobrze? Damy ci wtedy jakiś środek przeciwbólowy. Za kilka dni wrócę sprawdzić, jak się czujesz.

Poszłam za lekarzką do biura, żeby zapytać ją o to, o co powinnam była zapytać zaraz, gdy tylko się dowiedziałam: Czy mama zasięgnęła opinii drugiego lekarza? Tak, po pierwszej diagnozie odbyła trzy osobne konsultacje.

– I naprawdę nic nie da się zrobić?

– Nic.

– Dlaczego odmówiła poddania się radioterapii?

– Miałaby ona czysto paliatywny charakter. Pani mama uważała, że biorąc pod uwagę efekty uboczne, nie warto męczyć się dla dodatkowego miesiąca życia.

– Zrobiła sobie ós czasu występowania objawów. Czy wszystko przebiega zgodnie z jej przewidywaniami?

– Trudno powiedzieć. Ale zorientuje się pani, gdy nadejdzie na nią czas.

– Jak?

– Po prostu. Personel ośrodka też będzie wiedział. Nastąpi gwałtowne pogorszenie. Jeśli chodzi o mózg, wszystko może się wydarzyć. Funkcje organizmu mogą wyłączać się stopniowo, jedna po drugiej, albo też paść wszystkie naraz. Prawdopodobnie będzie coraz więcej spała. Czasami guz mózgu może przebiegać dość łagodnie. Utrata świadomości sprawia, że człowiek nie odczuwa też strachu. Pani mama nie wydaje się zaniepokojona. To dobry znak, bo zmiany osobowości potrafią być dla bliskich nie lada wyzwaniem.

Wzięłam od lekarki jej dane kontaktowe i wróciłam do mamy.

– Jak się czujesz?

– Jestem zmęczona – ziewnęła. – Te samochody nie dawały mi spać przez całą noc.

– Jakie samochody?

– Całe mnóstwo, w środku nocy, wjeżdżały na parking. Ciągłe tylko reflektory i huk silników. Muszę iść do toalety. Pomożesz mi?

Wyprawa do toalety nie poszła zbyt dobrze. Mama suwała z trudem balkonikiem po podłodze, jeden maleńki kroczek za drugim. Jednocześnie zaczęła nucić coś pod nosem: dam-di-dam-di-dam-di-dam. I nie było to bynajmniej urocze. Może to jakiś mechanizm przystosowawczy, sama nie wiem. Miałam nadzieję, że to nucenie jest tylko chwilowe, ponieważ miałam przez nie ochotę paść na podłogę, zwinąć się w kłębek i już się nie podnieść. Mama nigdy nie nuciła ani nie śpiewała, ani nawet nie gwizdała. Nie była wcale ponuraczką, ale po prostu w jej głowie działało się tyle rzeczy, że nie miała czasu na jakieś bezsensowne melodie. A teraz, gdy już się załatwiła, nie miała sił, żeby się podciągnąć i oprzeć o balkonik.

Było za piętnaście druga. Położyłam mamę do łóżka i poszłam do biura, gdzie do dziennika dyżurów włożyłam kopertę zaadresowaną „Dla Chrisa, wnuka Rose Price”. W środku znajdowało się półtora tysiąca funtów – to, co zostało z pieniędzy od Rose, uzupełnione o brakującą kwotę z oszczędności, które mama przelała na moje nowe konto – oraz list wyrażający moją skruchę. Nietrudno było go napisać. Czulałam się naprawdę podle z powodu pieniędzy, które wzięłam od Rose.

Przekręciłam klucz w drzwiach Rose. Zamykanie jej w pokoju z pewnością było złe, a nawet nielegalne. Rose miała rację – była tu więźniem. Po wczorajszej rozmowie z Natalie zdecydowałam, że przy najbliższej okazji muszę pogadać o tym z Marcusem i o elektronicznej obroży. Próbowałam otworzyć drzwi, ale były zablokowane. Pchnęłam mocniej, lecz nie chciały ustąpić.

– Jeśli mnie nie wolno wyjść na zewnątrz, to nikomu nie wolno wejść do

środka! – Rose pchała drzwi z drugiej strony.

Przestałam napierać.

– Całkiem słusznie. Tu Catherine. Nie wejdę, jeśli sobie tego nie życzysz. Zastanawiałam się tylko, czy nie chciałabyś wybrać się na spacer. Masz ochotę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza?

Nie powinnam była wybierać na miejsce spotkania drzewa w zakolu rzeki. Na jego widok Rose znów cofnęła się w czasie. Podczas gdy ja rozmawiałam z Natalie, ona biegała dookoła i szukała gałązek. Następnie ustawiła przy drzewie stos z trzech gałęzi, które udało jej się znaleźć.

– Usiądź, Margie! Pójdę po więcej drewna.

Zrobiłam to, o co mnie poprosiła, i oparłam się plecami o pień drzewa. Rose w ogóle zdawała się nie zauważać obecności Natalie ani tego, że usiadła obok mnie, ani że opowiadałam jej o chłopaku, który zmarł wczoraj.

– Czy Gabriella miała wtedy dyżur?

– Nie wiem.

– Mogę cię o coś prosić?

Nie wiem, dlaczego Natalie szeptała, nie było tu nikogo poza Rose, która przebywała teraz w innym miejscu i w innym czasie.

– Myślisz, że dasz radę zamknąć się na chwilę sama w biurze?

– Chyba tak. Ale to zależy od stanu mojej mamy.

– Jasne, jeśli ci się nie uda, to nie ma sprawy. Rozumiem to i w ogóle czuję się okropnie, że cię o to proszę, biorąc pod uwagę, przez co przechodzisz. Ale gdyby udało ci się zostać tam samej, czy możesz sfotografować albo zeskanować te dziwne wpisy, na które natrafiłaś? Tu masz numer mojej komórki i adres mailowy.

– Wręczyła mi wizytówkę.

– W porządku, teraz będzie ci miło i ciepło, Margie. Nic ci nie grozi do mojego powrotu. – Rose była zadowolona z większych kawałków drewna, które znalazła na brzegu rzeki.

– A jeśli to możliwe, czy możesz sprawdzić, kto zmarł w ośrodku w ciągu ostatnich sześciu miesięcy i dokładnie kiedy, to znaczy daty, dni tygodnia, godziny. Mniej więcej pół roku temu Rose zaczęła tworzyć te rysunki.

– Przerażasz mnie, Natalie. Uważasz, że powinnam zabrać stąd mamę? Co twoim zdaniem tu się dzieje?

– Mogę ci zaufać?

– Oczywiście.

– Brian straci pracę, jeśli komukolwiek o tym powiesz.

– Obiecuję, że nie pisnę słówkiem.

– Kiedy syn Gabrielli był chory, mieli przez pewien czas wsparcie opieki

społecznej: pomoc domowa, terapeuta, tego typu rzeczy. Gabriella w ogóle sobie nie radziła. Po tym, jak odrzucono jej wniosek o przyjęcie syna do kliniki Dignitas, kobieta pracująca u nich jako pomoc domowa wróciła po telefon, którego zapomniała, i sama otworzyła sobie drzwi. Zastała Gabriellę przy łóżku syna. Był ubrany w strój rugbysty, a z głośników leciała jego ulubiona muzyka. Gabriella przyrządziła mu też jego ulubione danie i miała zamiar wstrzyknąć mu insulinę.

– Ale on nie był chyba diabetykiem, prawda?

Natalie pokręciła głową.

– Gabriella temu zaprzeczała i zresztą nie można jej nic udowodnić, ale oboje z Brianem uważamy, że chciała go zabić.

– Cholera.

– Prześlij mi mailem te dziwne wpisy oraz dane na temat zgonów z ostatnich sześciu miesięcy, a nawet i wcześniejszych, jeśli możesz. I jeszcze jedno.

– Pójdę tylko do kuchni po zapalki. – Rose wchodziła w kolejną fazę swojej traumy.

– Możesz zdobyć dla mnie grafik dyżurów Gabrielli Nelson za ten sam okres?

– Ożeż w mordę! Myślisz, że ona zabija ludzi?!

Zanim Natalie zdążyła mi odpowiedzieć, Rose wróciła do rzeczywistości.

– Natalie?

– Witaj, Rose. Jak się miewasz?

– Nie wolno ci tu przebywać. Jesteś złodziejką! Okradłaś mnie.

– Rose, wiesz, że...

– Zaufałam ci, a ty mnie okradłaś! Wynocha z mojego ogrodu! Wynocha z mojej posesji! Przestań mnie nachodzić! Co z ciebie za przyjaciółka?! – Rose wrzeszczała tak głośno, że jej krzyki zwabiły siostrę Gabriellę.

– Co ty tutaj robisz? Masz zakaz zbliżania się do ośrodka na dwieście metrów. Odejdź albo wezwij policję.

Spojrzałam na Natalie, która kręciła ze smutkiem głową.

– To prawda? Okradłaś ją? To dlatego musiałaś odejść z pracy?

– Wiesz, jak czasami wszystko jej się miesza i jak łatwo nią manipulować. – Westchnęła. – Ale szczerze mówiąc... Dobrze, dobrze, już idę. Rose nie czuje się teraz najlepiej.

Natalie odwróciła się i odeszła, pozostawiając mnie przy drzewie samą z Rose i Gabriellą.

Na popołudniowe zajęcia zaproszono regularnego gościa ośrodka, miejscową pisarkę H. R. Jakałtam. Jedynym obecnym na sali pensjonariuszem był Jimmy, który jak zwykle stukał coś na swoim samsungu galaxy. Siostra Gabriella i Marcus

śluchali z uwagą, jak autorka czyta fragment o mężczyźnie wiążącym i torturującym w piwnicy kobietę. Osobliwy wybór! Ostatnią godzinę spędziłam z mamą, nie byłam więc pewna, czy ktoś spytał Rose, czy ma ochotę przyjść. Zapukałam do niej i otworzyłam drzwi.

– Tu Catherine, czy mogę wejść?

– Jasne, jasne. Siadaj.

– Czy Natalie cię okradła?

– Słucham?

– Na spacerze powiedziałaś, że Natalie cię okradła.

– Serio?

– Tak, przy drzewie, godzinę temu.

– Byłam przy drzewie?

Uznałam, że nie ma sensu dłużej jej męczyć.

– Masz może ochotę pójść do sali zajęć? Występuje tam teraz jedna pisarka.

Rozbłyśły jej oczy.

– Och, a która?

– H. R. Nie mogę sobie przypomnieć...

– Boże, Henrietta Ruth. Ciągle tu przychodzi. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że próbuje wykorzystać nas jako materiał do swojej książki. Nie, dzięki, ale z chęcią przeczytałabym coś dobrego. Masz może jakąś dobrą książkę?

– Tutaj nie, ale postaram się przywieźć przy okazji. Teraz mogę wydrukować ci coś do czytania, co ty na to?

Skoczyłam do biura, wygooglałam „jak otworzyć zamek bez klucza”, wydrukowałam trzy pierwsze artykuły i zaniósłam je Rose. Pokręciła z konsternacją głową, po czym usiadła, żeby je przeczytać z takim samym intensywnym skupieniem na twarzy, jakie zawsze widziałam podczas lektury u mamy.

Zamknęłam drzwi do pokoju Rose, ale nie na klucz.

Wszyscy byli czymś zajęci, więc znów zakradłam się do biura, zamknęłam za sobą drzwi i wyjęłam stare dzienniki dyżurów z wpisami dotyczącymi zgonów. Szybko sfotografowałam je komórką i odłożyłam z powrotem na półkę. Nawet jeśli Natalie była złodziejką i wykorzystała bezbronną, chorą staruszkę, to musiałam się dowiedzieć, czy Gabriella nie jest zabójczynią lub – Boże uchowaj – seryjną morderczynią.

Przejrzałam segregatory w poszukiwaniu grafików dyżurów, które były drukowane co tydzień, ale nic nie znalazłam. Sprawdziłam więc dokumenty tekstowe i arkusze kalkulacyjne na komputerze, także bez powodzenia. Do tablicy przypięty był harmonogram za ostatnie osiem tygodni, więc pstryknęłam mu zdjęcie. Nagle dobiegł mnie jakiś chrobot. Czyżby ktoś szedł? Nie, najwyraźniej to Rose majstrowała przy zamku w swoich drzwiach. Znieruchomiałam na moment,

bojąc się, czy ktoś tego nie usłyszał. Ale nawet jeśli, to nikt nie zareagował.

Przekartkowałam dzienniki dyżurów z ostatnich sześciu miesięcy i sfotografowałam wszystkie wpisy dotyczące zgonów. Jason zmarł wczoraj, w czwartek rano. Emma w ubiegłą środę. Dwie poprzednie osoby zmarły w czwartek. Beatrice – sześć miesięcy temu, w środę. Osoba przed nią – także w środę. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy, począwszy od śmierci Carmel Tate, pięćdziesiąt procent pacjentów zmarło w środę późno w nocy. Wszyscy pozostali zaś – bardzo wcześnie w czwartek rano.

Przejrzałam zdjęcia, które zrobiłam dziwnym wpisom o zgonach. W przypadku pacjentów, którzy zmarli wcześniej, nie występował żaden powtarzający się schemat. Ich zgony następowały w różne dni.

Ktoś zaczął przekręcać gałkę w drzwiach. Rzuciłam się do nich i odsunęłam rygiel.

– Proszę więcej nie zamykać tych drzwi, Catherine.

To była siostra Gabriella. Napełniała mnie teraz przerażeniem. Cała ta historia z jej synem i to wieczne pióro, i jeszcze te krwistoczerwone usta.

– Dobrze, przepraszam.

– Zostawiłaś otwarte drzwi do pokoju Rose?

– A co? Wyszła na zewnątrz?

– Nie. Jest zajęta czytaniem. Zapomniałaś zamknąć je na klucz, Catherine?

– Chyba tak. Przepraszam.

Gabriella zamknęła za sobą drzwi do biura, ruszyła w moim kierunku i zatrzymała się tak blisko, że z łatwością mogła dostrzec, jak drżą mi wargi.

– Wpuściłaś na teren ośrodka Natalie. Ona nie jest taka, jak ci się wydaje, Catherine. Nie wolno jej tu przychodzić.

– Nie wiedziałam o tym. Ale uważam, że to nie w porządku, jak traktowana jest Rose.

– Jesteś jeszcze młoda, arogancka i z pewnością wiesz wszystko o tym, co jest dobre, a co złe. Co chciała Natalie?

– Nic, tylko odwiedzić Rose. Ale ona znów podróżowała w czasie.

– Czy Rose nadal daje jej te swoje obrazki?

– Nie wiem.

– Och, wydaje mi się, że wiesz.

– A mnie się wydaje, że stoisz trochę za blisko. – Wybiegłam z biura, przy okazji uderzając ją dość mocno w ramię.

Zanim mama się obudziła, wysłałam Natalie zdjęcia z mojego telefonu. Błyskawicznie odpisała:

Dzięki, Catherine. Wpadniesz do mnie jutro?

Jasne, jeśli tylko z mamą będzie wszystko w porządku. Ale jesteś mi winna wyjaśnienia.

Wiem. Wszystko wyjaśnię.

Przez całe popołudnie byłam zajęta: czytałam mamie artykuły z „Guardiana”, którymi wydawałam się bardziej zainteresowana niż ona, przejrzałam z nią trzy albumy fotograficzne, które zostawiła w domu, puszczałam jej muzykę, zaprowadzałam ją do toalety i z powrotem, zachęcałam do jedzenia, a gdy złapała się za włosy, spytałam, czy ją boli.

– Nie wiem – odparła.

Zrobiłam też kilka rzeczy, które siostra Gabriella uważała od pewnego czasu wyłącznie za moje obowiązki: wyszorowałam kuchnię, posprzątałam biuro, opróżniłam kosz przy dystrybutorze z wodą w głębi korytarza. Od zeszłego piątku opróżniałam ten kosz każdego dnia. Zazwyczaj było w nim około dziesięciu papierowych kubków. Dzisiaj naliczyłam ich dwadzieścia pięć. Komuś wczoraj w nocy bardzo chciało się pić. Może krewnym Jasona – biedactwa.

Przez większość dnia mama to drzemała, to się przebudzała. O dziesiątej wieczorem, gdy w końcu zasnęła na dobre, pobiegłam na górę. Martwiłam się, że po wczorajszym wieczorze Marcus może dojść do wniosku, że jesteśmy parą. Tymczasem ja na samą myśl o nim dostawałam gęsiej skórki, dlatego też musiałam wyjaśnić sobie z nim to i owo.

Jak już wspomniałam, moje związki nigdy nie trwały dłużej niż trzy miesiące. Być może dlatego że w głębi serca wiedziałam, kogo tak naprawdę pragnę, i nigdy nie czułam potrzeby, by spróbować z kimś innym. Zawsze uciekałam, gdy zaczynało robić się poważnie. Opracowałam więc wiele strategii na pozbycie się chłopaków, którzy zdradzali objawy narastającego przywiązania. Czasami wystarczyło cyfrowe zerwanie, czyli usunięcie ze znajomych na Facebooku, któremu w razie potrzeby towarzyszyło blokowanie nieszczęśnika na Twitterze oraz ignorowanie jego esemesów. Jeśli chłopak znał moich przyjaciół lub też wiedział, gdzie mieszkam, konieczne było zerwanie osobiste. Umawiałam się z nim wtedy w publicznym miejscu, żeby nie mógł na mnie nakrzyczeć ani też się rozplakać, i oznajmiałam: „Po prostu mi się nie podobasz. Próbowałam, ale nic z tego. Strasznie mi przykro”. To świetnie się sprawdzało, ponieważ oni w żaden sposób nie byli w stanie na to zareagować. Gdybym powiedziała na przykład, że zakończyłam właśnie poważny związek albo wybieram się w daleką podróż, albo nie potrafię się emocjonalnie zaangażować, albo że to nie ich wina, tylko moja, wówczas pojawiałoby się pole do negocjacji. Usłyszałabym, że nie musimy się przecież śpieszyć ani nazywać tego związkiem, żadnego ciśnienia, to tylko zabawa (bo chyba przecież dobrze się razem bawimy, czyż nie?), a zresztą mogą pojechać

w tę podróż razem ze mną! Moja metoda działa za każdym razem i zazwyczaj to, co mówiłam, było zgodne z prawdą.

Marcus zamknął laptop, a ja wystartowałam z moim zwykłym tekstem:

– Posłuchaj, wczorajszy wieczór był uroczy, ale po prostu mi się nie podobasz.

Po czymś takim faceci przeważnie wychodzili naburmuszeni. Ale tym razem popełniłam błąd. To nie było miejsce publiczne, lecz mieszkanie Marcusa. Mogło więc zrobić się nieprzyjemnie, płaczliwie, a nawet niebezpiecznie. Marcus westchnął. Zaraz wpadnie we wściekłość. Może zabroni mi nawet wstępu do ośrodka. Albo uwięzi mnie w swoim gabinecie. Sprawdziłam, czy drzwi są otwarte, i zaczęłam obmyślać plan ucieczki.

– Dzięki Bogu! – Wybuchnął śmiechem. – Nie chciałem zranić twoich uczuć, ale to była kompletna porażka, prawda? Przez cały czas płakałaś.

Zaśmiałam się nienaturalnie. Jak on miał czelność? Jeszcze nikt nigdy nie zakwestionował mojej sprawności seksualnej. A już zwłaszcza taki odpychający oblech jak on!

– Byłeś jak dla mnie zbyt delikatny. – Powstrzymałam się, by nie powiedzieć nic więcej.

– A ty byłaś za bardzo rozgorączkowana. – Zaczął wymachiwać ramionami. – Ciągłe się miotałaś! W tę stronę, w tamtą! O co chodzi z tą całą agresją? Zawsze tak się zachowujesz?

Teraz oboje się zaśmialiśmy, ale mój śmiech był jeszcze bardziej sztuczny niż poprzednio. No dobra, byłam wkurzona i chciałam pokazać mu, gdzie jest jego miejsce.

– Możesz się zdrzemnąć na moim łóżku. – Marcus podniósł pokrywę laptopa. – Ja mam akurat przyplływ weny.

– Co Natalie ukradła Rose?

– Ech, co za kobieta. Zachowuje się niczym jakaś Matka Teresa, a okazuje się, że przez cały czas dybie na forszę. Znalaziono u niej w domu oryginalne prace Rose warte ponad dziewięć tysięcy funtów. Powinni ją aresztować.

Zgadza się, Natalie miała w swojej kuchni rysunki Rose. Mówiła, że kiedyś miała oryginały, ale zostały jej tylko kopie.

– Powiedziała mi, że dostała je od Rose w prezencie.

– To sama Rose zgłosiła ich kradzież na policji!

Rety, a więc Marcus miał dobry powód, żeby zakazać Natalie wstępu do ośrodka. Może te wszystkie ograniczenia, jakie nakładali na Rose, miały tylko służyć jej ochronie. Ale Gabriella wciąż budziła mój niepokój.

– Muszę ci się do czegoś przyznać. Nie lubię siostry Gabrielli. Nie ufam jej. Gdy ją o coś pytam, nigdy nie udziela mi właściwej odpowiedzi, jakby coś starała się ukryć.

– Och, jest po prostu nieszczęśliwa. Biedaczka. Zmarł jej syn.
– Tak, wiem, ale czy nie wydaje ci się, że może być szalona, niebezpieczna?
– Większość ludzi może taka być. Wiesz, Rose też wcale nie jest taka słodziutka, jak ci się wydaje. Te dziwne rzeczy, które ciągle wymyśla, nie są według mnie efektem choroby. Moim zdaniem ona po prostu lubi drażnić się z ludźmi.

– W jakim sensie?
– Nie traktowałbym zbyt poważnie tego, co wygaduje. Jest bardzo chora, a poza tym już wcześniej była kompletnie skoncentrowana na sobie i potrafiła niezłe narozrabiać.

– Kto tak mówi?
– Chris. A on ją kocha.
Nie chciałam obgadywać Rose. Wydawało mi się to niestosowne. Zmieniłam więc temat:

– Opowiedz mi o swojej książce.
– Jak skończę, pozwolę ci ją przeczytać.
– A nie mogę przeczytać tego, co napisałeś do tej pory? Może rozmowa ze mną pomoże ci w dalszej pracy?

– Nie muszę o niej rozmawiać.
– A o czym opowiada?
Marcus zaczął stukać w klawiaturę, wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę. Za to ja drażyłam dalej:

– Jaki będzie mieć tytuł?
– Jeszcze nie wiem.
– Daj spokój, pozwól mi przeczytać kawałek. Albo streść mi ją z grubsza.
Marcus westchnął i znów zamknął laptop.

– Ciężko ją streścić.
– Spróbuj.
– Trudno tak w skrócie powiedzieć, o czym opowiada. Jej bohater czegoś poszukuje. – Tak samo jak Marcus próbujący znaleźć słowa na opisanie swoich wypocin.

– Mówiłeś, że musiałeś przy pisaniu szukać w internecie jakichś chorych rzeczy. To kryminał?

– Cóż, i tak, i nie, trudno tak jednoznacznie stwierdzić i właśnie o to mi chodziło. Nie wydaje mi się, żeby powstało już coś podobnego. Gdyby ktoś przystawił mi pistolet do głowy i kazał określić gatunek, to rzekłbym, że to chyba literacki dreszczowiec. Ale książka nie traktuje o zbrodni, choć jedna zbrodnia zostaje w niej popełniona, tylko o... o sprawach, o których muszę opowiedzieć.

Ziewnęłam, żałując, że nie trzymam pistoletu przystawionego do jego głowy, i wtedy zauważyłam na biurku niebieskie pilśniowe etui. Było otwarte, a w środku

znajdowało się wieczne pióro. W tym miejscu roilo się od wiecznych piór!

– Szczerze mówiąc, wcale nie muszę jej czytać. Wydaje się zupełnie nie w moim guście. Na pewno by mi się nie spodobała.

Padłam na gigantyczne łóżko Marcusa z satynową pościelą, miękką puchową kołdrą i przespałam trzy godziny. Gdy się obudziłam, Marcus spał w swoim gabinecie na skórzanej kanapie. Jego laptop stał wciąż włączony. Książka, którą pisał, miała jednak tytuł: *Mała śmierć*. Wystarczyła mi jedna strona, by przekonać się, że powieść Marcusa jest równie głęboka jak przydrożny rów. Prawdę mówiąc, miałam wrażenie, jakbym czytała fragmenty książki tej samej autorki kryminałów, która przychodziła do ośrodka w ramach zajęć grupowych. Gliniarz z trudną przeszłością odkrywa całą masę popieprzonych chorych rzeczy.

Nie potrafiłam jednak na tym poprzestać. Sprawdziłam też profil Marcusa na Facebooku: miał trzystu siedemdziesięciu ośmiu znajomych, w większości fanów muzyki w swoim wieku. W wiadomościach nie znalazłam nic pikantnego.

Cholera, nie udało mi się jednak wejść na jego konto e-mailowe. Postanowiłam za to przejrzeć jego zdjęcia. Te na Facebooku pochodziły przeważnie z imprez i przedstawiały grupę dobrze ubranych młodych ludzi trzymających w wypielęgowanych dłoniach szklanki z modnymi gatunkami piwa. Nie wiem, co sprawiło, że przypomniałam sobie numer pliku jpeg, który widziałam w dzienniku dyżurów, ale gdy tylko zobaczyłam, że Marcus ma setki pozbawionych nazw fotek w „Moich obrazach”, od razu o nim pomyślałam. Numer sto czterdzieści pięć. Kliknęłam na niego.

Niech to szlag. Było to zbliżenie twarzy starszej kobiety. Jak ona miała na imię? Bridget czy jakoś tak.

Umarła w pokoju numer 3, w łóżku, przy zamkniętym oknie. Była sama... Usiadła prosto na łóżku i zaczerpnęła ostatni, cichy oddech. Sprawiała wrażenie podekscytowanej, jakby ujrzała kogoś w nogach łóżka. Jej ostatnie słowa: „Jesteś tam!”. W chwili śmierci w jej lewym oku pojawiło się odbicie małego prostokątnego kształtu (145.jpeg).

Zrobiłam powiększenie lewego oka. Prostokątny kształt jasnego światła. Prawdopodobnie odbicie świetlówki wiszącej nad łóżkiem. Zamknęłam zdjęcie oraz wszystkie foldery, jakie otworzyłam.

Leżący na biurku notatnik formatu A4 wypełniały streszczenia rozdziałów powieści Marcusa. Miał staranny charakter pisma, ale nie posługiwał się drukowanymi literami, jakie widziałam w dzienniku dyżurów. Wszystko było zapisane piórem z czarnym atramentem. Biorąc pod uwagę zdjęcie, które przed chwilą znalazłam na jego laptopie, prawdopodobnie to Marcus, a nie Gabriella, był autorem tych tajemniczych wpisów o zgonach pacjentów. Boże, wszyscy tutaj byli tak zdrowo pojebani. Zresztą nic w tym dziwnego. Przebywanie całymi dniami

wśród umierających mnie samą wpędzało w paranoję.

– Co robisz?

Nie miałam czasu, żeby odsunąć się od biurka ani wymyślić jakieś kłamstwo.

– Och, przepraszam, nie mogłam spać. Zaczęłam czytać twoją książkę i nie mogłam się oderwać. Jest fascynująca!

Marcus chwycił szybkim ruchem laptop.

– Najpierw bierzesz pieniądze od Rose...

– Chris ci o tym powiedział?

– Rose mi powiedziała. A teraz myszkujesz w moich rzeczach. Twoje zachowanie jest absolutnie nieprofesjonalne.

– Wybacz, Marcus. Potrzebowałam choć na chwilę zająć czymś umysł i nie myśleć o mamie.

Jak na zawołanie zaczęłam płakać i choć czułam z tego powodu wyrzuty sumienia, był to jedyny sposób, jaki mi przyszedł do głowy, żeby go udobruchać. Nie chciałam zostać teraz wyrzucona z ośrodka, zwłaszcza że mama była jeszcze na tyle świadoma, że z pewnością by się zorientowała. Szlochając, przysunęłam się do Marcusa.

– Wiem. – Objął mnie z ociąganiem.

– Nie zabronisz mi tu przychodzić, prawda? – Zawiesiłam głos. Chlip, chlip.

– Jesteś bardzo dobrym pisarzem, Marcus. Pewnego dnia będziesz sławny.

Zacisnął nieco mocniej ramiona.

– Naprawdę tak uważasz?

Gdy zeszłam na dół, moja matka, Maureen Mann, dyrektorka Oxfam, jak również zarządzająca moją osobą, twórczyni niezliczonych list oraz kobieta czynu, leżała na brzuchu na podłodze i szarpiąc dywan, próbowała dostać się do toalety. Spojrzała na mnie skonsternowana.

– Chyba nie jestem w stanie się podnieść.

Pomyślałam, że sama dam radę ją podźwignąć, jak ostatnim razem w łazience, ale ostatecznie ugrzęzłam pod jej tułowiem i obydwie nie mogłyśmy się ruszyć. Nie obchodziłam się z nią zbyt delikatnie i jutro pewnie będzie mieć siniaki pod pachami. Krzyknęłam i natychmiast zjawiła się siostra Gabriella, która przy użyciu swych dobrze wyćwiczonych metod pomogła mamie klęknąć, a potem zaprowadziła ją do łóżka.

Tak więc odstawienie sterydów wcale nie poprawiło jej zdolności ruchowych, lecz jeszcze je pogorszyło.

Tego dnia na łóżku mamy pojawiły się poręcze, balkonik zamieniono na wózek inwalidzki, sedes pokojowy i gąbki zastąpiły łazienkę, a dzwonek

alarmowy, którego działania mama chyba nie mogła zrozumieć – i którego nigdy nie używała – został jej powieszony na wstążce na szyi. Przy łóżku, które zamieniło się teraz w więzienie, zamontowano podnośnik zagłówek. Terapeuta zademonstrował nam, jak należy go używać. Wystarczyło jedynie piętnaście minut, by zagłówek podniósł się do pozycji siedzącej i już mama mogła coś zjeść. Obserwowałam u niej kolejne ataki, które wcale nie były takie gwałtowne, jak sobie wyobrażałam. Objawiały się na przykład nieco mocniejszym drżeniem ramion, po którym mama długimi minutami wpatrywała się przed siebie pustym, wystraszonego wzrokiem. Patrzyłam, jak moją matkę zabija seryjny morderca, którego żaden rozwiedziony detektyw alkoholik nigdy nie będzie w stanie schwytać.

Wieczorem, kiedy mama zapadła w końcu w niespokojny sen, kopiąc co chwila nogami, które w dzień za nic nie chciały się ruszać, poszłam do biura, zamknęłam drzwi i zaniiosłam się płaczem. Rose musiała mnie usłyszeć przez ścianę. Zapukała cicho, po czym weszła.

– Rose, jak wy dostałaś się z pokoju? Nauczyłaś się otwierać zamek wytrychem?

Podniosła wsuwkę, po czym wpięła ją z powrotem we włosy.

– Moja kochana, to bułka z masłem. Gdy dorosnę, zostanę włamywaczką.

– Wiesz, że cię nie okradłam, prawda?

– Oczywiście.

– I Natalie też cię nie okradła, mam rację?

Przez twarz Rose niczym cień przemknął wyraz konsternacji. Na to pytanie już nie udzieliła mi odpowiedzi.

Rozdział 14

10 lat

Margie płakała. Biedny kwiatusek. Nieustannie próbowała złapać oddech. Rose czuła, że siostra powoli się poddaje.

– Pójdę po pomoc. Przestań płakać i oddychaj. Nigdzie się stąd nie ruszaj.

– Wróć do mnie, Rose, wróć do mnie. To ja, Catherine.

– Óóóó. Wróć do ciebie! Wróć, ani się obejrzysz, a potem zakradniemy się do spiżarni i weźmiemy sobie trochę ciasta!

Margie westchnęła.

– Spójrz tylko na moją plaketkę. Widzisz? Jest na niej napisane „Catherine”.

– Dlaczego to nosisz?

– Byłaś tu ze mną jeszcze przed chwilą. Proszę, potrzebuję cię.

– Obiecuję, przysięgam, że wrócę. Zostań tylko tutaj i zachowaj spokój, staraj się oddychać. Pójdę po zapalki do kuchni farmera.

Farmer miał swoje imię, ale Rose nie lubiła go używać, był na to według niej zbyt podłym człowiekiem. Rose, Margie i pozostałe dzieci pracowały po dziesięć godzin dziennie. Posiłki były skąpe, pozbawione smaku i najczęściej chłodne. Łóżka były twarde i niewygodne, a pokój przypominał wielkością komórkę. Farmer rzadko się odzywał i nigdy nie słuchał. Pewnego razu Rose poszła do pokoju jego żony błagać o litość w imieniu wszystkich dzieci. Kobieta była drobna, zasuszone, leżała zwinięta na łóżku znacznie wygodniejszym od ich prycz. Rose jednak nie miała serca, by zadręczać ją dodatkowo własnymi problemami.

– Przepraszam – powiedziała jedynie – pomyliłam pokoje.

– Poczekaj! Coś ci tylko pokażę! – zawołała Margie i wybiegła.

Jeśli potrafiła tak szybko się poruszać, może faktycznie czuła się lepiej.

Po chwili była z powrotem. Jak szybko!

– Popatrz na nie. Jesteś pisarką, prawda, Rose? Spójrz na te książki. To ty je wszystkie napisałaś.

Rose przyglądała się dziewczynie stojącej w drzwiach biura: zaczerwienione oczy, blond włosy, książki w rękach. Bluzka w morelowym kolorze, plaketka z imieniem. Młoda dziewczyna, ale nie siedmiolatka.

82 lata

– Pisanie pierwszej wersji książki zajmowało mi zwykle trzy miesiące. To dość mało czasu, jak sądzę. Ludzie zawsze wypytują mnie o dyscyplinę, jaką

narzucam sobie podczas pracy. A ja za każdym razem odpowiadam: muszę narzucać sobie dyscyplinę, żeby nie pisać.

Dziewczyna położyła Rose do łóżka i zaczęła czytać jej książkę o Tilly, tę o pieczeni wołowej na obiad. Jak zawsze w opowieści znajdowały się wątki zaczerpnięte z rzeczywistości. W prawdziwej wersji tej historii farmer podał pieczeń wraz ze wszystkimi dodatkami, aby uczcić wiadomość, że jego najstarszy syn, który zaginął w akcji, został odnaleziony. Był ranny, ale żył. Po raz pierwszy od wielu miesięcy wszystkie dzieci mogły się najeść do syta. Lecz Rose wiedziała, że mięso na talerzu pochodzi z jej ukochanej krowy Josie. Z jakiego innego powodu zniknęłaby wczoraj tak nagle z południowego pastwiska? Rose starała się nie jeść, ale była tak głodna, że nie mogła się powstrzymać, więc jadła i szlochała z ustami pełnymi mięsa. W wersji książkowej Tilly, poznawszy plany farmera na niedzielny obiad, wymyka się w środku nocy z domu i prowadzi Josie sześć kilometrów, zostawiając ją bezpieczną na pastwisku dobrego sąsiada, gdzie krowa będzie wieść długie i szczęśliwe życie.

Dziewczyna skończyła czytać.

– Lubię, kiedy masz osiemdziesiąt dwa lata, Rose.

– Słucham?

– Kiedy jesteś sobą. Wiesz, że dość często zdarza ci się cofać do czasu, gdy miałaś dziesięć lat i próbowałaś uratować Margie? Raz po raz przeżywasz na nowo tę samą sekwencję zdarzeń. Wiedziałaś o tym?

– Tak, ktoś mi o tym wspominał.

– Biegiesz nad rzekę, wracasz do budynku, kradniesz zapałki, rozpalasz ognisko. Te ciągłe powroty do tego, co się stało z Margie, nie mają na ciebie zbyt dobrego wpływu.

Demencja wydobyla to wspomnienie na wierzch i rozděła je do takich rozmiarów, że przyćmiło ono wszystkie inne przeżycia.

– Powinam z nią była zostać. Powinam z nią była zostać i śpiewać jej tę piosenkę, gdy ona umierała. Wiem, że właśnie tego chciała.

– Jaką piosenkę?

– *Imagination*. Kiedyś śpiewałam ją Margie co wieczór. Uwielbiała ją. Gdybym tylko przy niej została.

– Mów dalej. Może jeśli o tym porozmawiamy, przestaniesz ciągle do tego wracać.

– Ciekawe, czy ktoś próbował ze mną tej metody. Nie mam pojęcia. Możesz przynieść mi to stojące w kącie pudełko?

Catherine otworzyła wskazane przez Rose pudełko. W środku znajdowały się czarno-białe zdjęcia farmy. Był to niewielki rozpadający się dom, mieszczący na oko nie więcej niż trzy sypialnie. Jedna z fotografii przedstawiała poddasze, które wyglądało jak sala sypialna z sześcioma obszarpanymi materacami leżącymi

na gołej podłodze. Przy oknie stało sześćoro dzieci z nieszczęśliwymi, zabiedzonymi twarzami niczym postacie z *Olivera Twista*.

– Czy to ty?

Rose wyglądała na tym zdjęciu na strasznie wściekłą. Nie chciała, żeby farmer wchodził do pokoju dzieci. Nie chciała, by robił jej zdjęcie. Jej umiejętność strojenia gniewnych min już wtedy była owiana legendą.

– Tak. A to Margie, ze swoją lalką... Och, Margie. Możesz podać mi tę lalkę z półki?

Dziewczyna przyniosła jej lalkę Margie, prezent gwiazdkowy od rodziców. Rose też taką dostała, ale zgubiła ją, gdy bawiła się we wróżki nad kanałem, kilka przecznic od ich domu w Londynie. Margie tymczasem nie spuszczała swojej lalki z oczu.

– Chciała ją nazwać Ro-Ro, na moją cześć, ale powiedziałam jej, że ta lalka jest na to zbyt ładna. Ma na imię Violet.

– Założę się, że Margie po prostu zasnęła pod tym drzewem. Jestem pewna, że zrozumiała, dlaczego musiałaś pójść po lekarza, i zasnęła pełna nadziei i pozytywnych myśli. Byłaś dobrą siostrą. Margie cię kochała.

– Też tak sądzę. Ale nie powinna była. Nie powinna! Nie powinna była mnie kochać!

Nagle Rose przybrała taki wyraz twarzy, jakby wszystko wokół chciała porozbijać.

10 lat

Och, jaką miała ochotę wszystko porozbijać. I tak też zrobi! Najpierw zaczęła walić o ścianę tym, co trzymała w dłoni.

– Jesteś samolubną dziewczyną, Rose Price! Jesteś samolubną, nieznośną dziewczyną, Rose Price!

Ktoś na nią krzyczał. Czy to była Margie?

– Rose, przestań! Proszę, Rose, nie rób tego. Zniszczysz Violet.

Ten ktoś chwycił to, co trzymała w ręce. Ten ktoś był smutny.

– O nie, o nie, Rose. Ale nie martw się, naprawię ją, naprawię. Dość tego, do łóżka. Zamknij oczy, wszystko jest dobrze, Rose, wszystko jest w najlepszym porządku. Połóż się teraz, moja piękna niesamolubna Rose Price.

Rozdział 15

Lalka nie była tak bardzo uszkodzona, jak myślałam. Odpadła jej głowa, ale jak się zorientowałam, nie po raz pierwszy. Wewnątrz głowy ktoś przykleił plaster. Plaster był żółty, stary i z łatwością odszedł. Poczułam, że coś wpadło do środka lalki. Odwróciłam Violet do góry nogami i potrząsnęłam nią. Z wnętrza wyleciał srebrny medalion na cienkim łańcuszku. W medalionie znajdowała się fotografia pięknie wyglądającej pary. Młody mężczyzna miał pełne dobroci spojrzenie i zaraźliwy uśmiech. Mocno wepchnęłam głowę lalki z powrotem na miejsce. Violet znów wyglądała idealnie. Rose będzie zachwycona.

Mama miała przymknięte oczy i skubała swoje ubranie, jakby było pokryte małymi muszkami. Gdy otworzyła oczy, wpatrywała się we mnie co najmniej przez minutę, zanim dotarło do niej, gdzie się znajduje i kim jestem.

– Czy przyszedł facet od płytek?

– Tak, wszystko załatwione.

Westchnęła z ulgą, po czym zajęła się na nowo skubaniem ubrania.

Mama zadała właśnie zupełnie przytomne, konkretne i ważne dla niej pytanie. W dodatku bardzo w swoim stylu. „Czy przyszedł facet od płytek?” Pytanie, na które mogłam udzielić jej odpowiedzi, a ta odpowiedź wyraźnie ją uspokoiła. Chwilę później jednak powiedziała:

– Nie mogę uwierzyć, że znów jestem w tym domu. Wygląda niesamowicie. I jeszcze te wszystkie meble! Skąd one się tu wzięły?

O co jej chodziło z tymi meblami?

– Byłaś już tutaj kiedyś?

Mama nie odpowiedziała. Patrzyła z zachwytem na stolik przy łóżku, dotykała go, kręcąc głową.

– Po tych wszystkich latach! To wydaje się niewiarygodne!

– Co w tym takiego niewiarygodnego?

Mama zastanawiała się intensywnie nad moim pytaniem.

– Nie wiem.

Aż do dzisiaj nie mam pojęcia, gdzie jej zdaniem się znajdowała. Może w domu swoich rodziców? Bardzo chciałabym się tego dowiedzieć. Na pewno jednak chodziło jej o miejsce, w którym była szczęśliwa. Było ono dla niej równie realne jak fachowiec naprawiający płytkę w łazience naszego domu.

Gdy otworzyłam drzwi do pokoju, Rose pisała coś przy biurku. Uff, czyli przebywała w terażniejszości.

– Odpoczęłaś trochę?

Podniosła wzrok znad kartki. Na razie widniały na niej same słowa. Nie dostrzegłam żadnych rysunków.

– Czy odpoczęłam? Nie mam pojęcia. Nie potrafię opisać tej choroby, Catherine. Nie umiem znaleźć do niej żadnego klucza.

– Więc nie rób tego. – Na kartce, która wywoływała w niej taką frustrację, położyłam lalkę. – Naprawiłam Violet.

Rose dotknęła jej i uśmiechnęła się.

– Aha. Czy chcesz, żeby to nadal było ukryte w środku? To nie problem odczepić jej znów głowę. – Wyciągnęłam medalion.

Rose wstała i ledwo oddychając, wzięła go delikatnie z mojej dłoni, otworzyła i opadła z powrotem na krzesło.

– Gdzie go znalazłaś?

– Był przyklejony starym plastrem we wnętrzu głowy Violet.

Rose zaczęła szlochać.

– Co? Co takiego, Rose?

– Margie musiała go tam schować... Przed tą małą suką... Jakżeż ona miała na imię? Spójrz na niego, na mojego tatę. Czyż on nie jest piękny? Czy nie wygląda jak najbardziej kochany i kochający człowiek pod słońcem?

Przytaknęłam i wcale nie po to, by zrobić jej przyjemność.

– O czym twoim zdaniem myślał, gdy robiono to zdjęcie?

– O radosnych rzeczach. Myślał o radosnych rzeczach, Rose. Przecież on się uśmiecha nawet oczami. Czegoś takiego nie można udawać, chyba że nazywasz się Tyra Banks.

– Czyli nie myśli, że jestem samolubna?

– Skąd! Myśli, że cię kocha.

Rose stanęła przed lustrem i założyła łańcuszek z medalionem na szyję.

– Zapniesz mi, proszę? – Wprost promieniała ze szczęścia, patrząc na swoje odbicie. – Możesz mi coś obiecać?

– No jasne.

– Obiecaj, że już nikt nigdy go ze mnie nie zdejmie.

Wyciągnęłam do niej mały palec. Tym razem Rose zrozumiała i zaczęła o niego swój mały palec.

– Obiecuję.

Przerażające i niepokojące hałasy nie były niczym niezwykłym w ośrodku. Pełne bólu krzyki, wrzaski gniewu lub frustracji, jęki rozpacz. Ktoś właśnie płakał. Zostawiłam Rose napawającą się widokiem odzyskanego medalionu i wyjrzałam na korytarz, żeby sprawdzić, skąd dobiega płacz. Rodzice Jasona przyszli po jego rzeczy.

– Są przybici, bo nie zdążyli się z nim pożegnać – wyjaśniła mi później Gabriella.

– Nie zdążyli na czas?

– Nie. Obawiam się, że zjawili się dopiero rano.

Wydawało się, że ta wiedźma zaczyna powoli mięknąć. Może te czerwone usta na rysunku Rose nie należały do niej?

– Kto wobec tego wypił wczoraj w nocy całą tę wodę?

– Jaką wodę?

– Kosz przy dystrybutorze z wodą był rano pełen kubków. A opróżniałam go wczoraj.

– Skąd niby mam wiedzieć? – Znow zrobiła się opryskliwa. – Nigdy nie pracuję w środy.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Wprawdzie to nie jest twój interes, ale od śmierci syna w każdą środę odwiedzam moją mamę w Rothesay.

– Jesteś z nią blisko związana?

– Jest dla mnie oparciem.

Oczy zaszyły jej łzami. Nigdy nie widziałam jej takiej.

– Płyniesz do niej promem?

– Nie, wpław.

Na powrót stała się dobrze mi znaną suką. Suką, która nie zabijała jednak pacjentów Zielonej Przystani.

O północy jedynym obecnym w ośrodku pracownikiem była stara Harriet, która uciwała sobie drzemkę w dawnym pokoju Jasona. Zastanawiałam się nad kubkami w koszu koło dystrybutora z wodą. Wczoraj w nocy musieli tu być także inni ludzie. Przypomniałam sobie również to, co powiedziała mama: że przez całą noc ciągle budziły ją samochody. Ciekawe, czy trzymają tu nagrania z monitoringu. Zauważyłam wprawdzie kamery z przodu i z tyłu budynku, ale nigdzie w biurze nie znalazłam żadnych kaset. Gdy Harriet się obudziła, zapytałam ją o to.

– Och, Marcus uważa, że to miejsce nie powinno przypominać państwa policyjnego. Nie używaliśmy kamer od ponad roku.

Dziwne, wydawać by się mogło, że bezpieczeństwo to kwestia podstawowa w tego typu instytucji.

– Jak długo tu pracujesz?

Poszłam za Harriet do kuchni, gdzie włożyła do tosterka kromkę chleba.

– Od początku wszechświata! – Roześmiała się i wyciągnęła z gigantycznej lodówki masło oraz dżem. – Dziesięć... nie, jednaście lat.

Tost zaczął się przypalać. Harriet wyłączyła w panice toster, otworzyła okno i zaczęła machać ręcznikiem przy czujniku dymu na suficie.

– Uważaj na ten toster. Bez przerwy uruchamia czujnik, a jeśli włączy się alarm, w ciągu dziesięciu minut przyjeżdża straż pożarna.

– W porządku. A kiedy Marcus przejął kierowanie ośrodkiem?

– Dwa lata temu.

– A jak długo pracuje tu Gabriella?

– Pięć lat. Tylko my dwie jesteśmy tutaj tak długo.

Około dwudziestu metrów od wjazdu na teren hospicjum znajdowała się stacja benzynowa. Zaproponowałam Harriet, że przyniosę jej gorącą czekoladę, i wyszłam na świeże powietrze. Naprzeciwko podjazdu stał wysoki słup z lustrem, żeby wyjeżdżający kierowcy widzieli, czy zza zakrętu głównej drogi nie nadjeżdża jakiś samochód. Gdy kupowałam na stacji czekoladę, zauważyłam na ścianie monitor pokazujący obrazy dystrybutora z paliwem oraz kasy. Na jednym z ujęć można było zobaczyć lustro ustawione przy wjeździe do Zielonej Przystani.

– Pracujesz w tym domu opieki? – Młody sprzedawca wyglądał na zmęczonego, znudzonego i spragnionego rozmowy.

– Tak jakby. Musiałam zrobić sobie przerwę. Przyjemnie zobaczyć jakąś młodą twarz. – Ścisnęłam ramiona i pochyliłam się do przodu, pozwalając mu zerknąć w mój dekolt.

Kilka minut później Greg pokazywał mi już nagrania z monitoringu z poprzedniej nocy. Przewijał je na podglądzie, poczynawszy od dziesiątej wieczorem. O jedenastej przyjechał do ośrodka jeden samochód, inny wyjechał dziesięć minut później – pewnie koniec dziennego i początek nocnego dyżuru, siostra Gabriella odjechała, Harriet przyjechała. Potem przez trzy godziny nic się nie działo, aż nagle samochody zaczęły przyjeżdżać jeden po drugim. W sumie jednaście. Wszystkie przybyły pomiędzy drugą dwadzieścia a trzecią nad ranem. Nie mogłam dostrzec żadnych pasażerów ani tablic rejestracyjnych, tylko światła reflektorów odbijające się w lustrze, gdy auta skręcały na podjazd. Następnie wszelki ruch zamarł aż do wpół do szóstej, kiedy to wszystkie jednaście samochodów wyjechało w jednym konwoju.

Obiecałam Gregowi, że wkrótce wybiorę się z nim na drinka, i wróciłam do Zielonej Przystani, rozmyślając o tajemniczych samochodach. Gdzie był wczoraj w nocy Marcus? Wieczorem wyskoczyliśmy razem na drinka, potem poszliśmy do mnie i uprawialiśmy koszmarny seks. Zgadza się. Po północy mógł wrócić do siebie do domu. Albo też urządził imprezę. No jasne.

Od razu poszłam do niego na górę. Siedział przy biurku i stukał na laptopie, pracując nad tą swoją gównianą książką.

– Hej, Marcus, tak się zastanawiałam... Mama mówiła, że wczoraj późno w nocy przyjeżdżało i wyjeżdżało mnóstwo samochodów.

– Tak mówiła? – Bojąc się, że ukradnę mu jakieś pomysły, zamknął laptop i z naburmuszoną miną skupił na mnie całą swoją uwagę. – Zaczyna jej się mieszać w głowie. To bardzo trudne dla ciebie, prawda?

Nie chciałam grać z nim w otwarte karty i przyznać się, że sprawdziłam nagranie z monitoringu. Takie szpiegowanie mogłoby się wydać dziwne, zwłaszcza po skardze, jaką złożyła na mnie Rose, i po tym, jak on sam przyłapał mnie na szperaniu w jego laptopie.

– To znaczy, nie było żadnych samochodów? – spytałam więc tylko.

– Nic mi o tym nie wiadomo. O jedenastej była zmiana dyżurów. Rodzina Jasona przyjechała chyba około siódmej rano.

– A ty co porabiałeś wczoraj w nocy?

– Po powrocie od ciebie? Poszedłem spać! Czy twoja mama jeszcze cię rozpoznaje? Myślisz, że potrzebuję lekarza?

– Nie. Znaczy się, tak i nie. Lepiej zresztą już do niej pójść.

Tak więc albo Marcus był kłamcą, albo ktoś inny z pracowników ściągnął tutaj tych wszystkich ludzi, a on nie słyszał samochodów. Nie mogłam się zdecydować, która opcja jest bardziej prawdopodobna.

Gdy weszłam do pokoju mamy i zobaczyłam, jak źle wygląda, natychmiast przestałam myśleć o papierowych kubkach, tajemniczych autach, o tym, czy Marcus kłamie (czy nie), o rzekomej kradzieży Natalie i o śledztwie w sprawie dziwnych wpisów oraz grafiku dyżurów. Nie wróciłam do domu, nie odwiedziłam Natalie, nie sprawdziłam, jak się czuje Rose, nie poszłam do jadalni ani do sali zajęć, ani do biura, ani na górę do mieszkania Marcusa, ani na stację benzynową. Siedziałam w fotelu i trzymałam mamę za rękę. Umyłam ją gąbką, opowiadałam jej różne historie, puszczałam muzykę, mówiłam o jej rodzicach i dzieciństwie, oglądałam z nią zdjęcia.

W trzech albumach, które zatrzymała, znajdowały się wyłącznie nasze zdjęcia: moje i mamy. Tylko kilka pochodziło jeszcze sprzed moich narodzin: na jednym była ze swoim tatą na rybach gdzieś na północy, inne przedstawiało ją z obojgiem rodziców na jarmarku w Glasgow. Potem było moje zdjęcie jako noworodka w szpitalu. Mama, mimo przerażających opowieści o moich narodzinach, wyglądała na nim na szczęśliwszą, niż kiedykolwiek ją widziałam. Patrzyła w moje oczy w taki sposób, w jaki patrzę świeżo upieczone matki: z miłością. Na kolejnym zdjęciu mama huśtała mnie na placu zabaw w Dowanhill. Dalej – ja i mama w płaszczach przeciwdeszczowych na promie, ja i mama roześmiane podczas zabawy.

W pewnym momencie wpadł z wizytą Paul. Przyniósł płytę CD ze składanką, która jego zdaniem spodoba się mamie, oraz koszyk z jedzeniem dla mnie. Chwilę płakałam w jego samochodzie.

– Przepraszam. Jesteś w środku sesji egzaminacyjnej. To ostatnia rzecz, jakiej teraz ci potrzeba.

Wziął mnie za rękę i przybrał minę, która dawniej sprawiała, że mogłam zerwać się z kanapy i biec całymi kilometrami.

– Wiesz, że czuję dokładnie to samo co ty, prawda?

Istnieje tylko jedno słowo, za którego pomocą można opisać jego pocałunek. Chociaż nie. Żadne słowo nie jest w stanie tego opisać.

– Dzwon, jeśli będziesz mnie potrzebować – powiedział na pożegnanie. – A teraz zmykaj z mojego wozu!

Antonio przyszedł dwa razy. Słyszałam, jak mówił mamie, że ją kocha.

– I słusznie – odparła.

Antonio się roześmiał.

Wszystkich wokół wypełniała miłość. Gina i Rebecca zadzwoniły zapytać, co u mnie słychać, po czym przez większość czasu opowiadały, co słychać u każdej z nich. Terapeuci pojawiali się i znikali. Pojawił się też cewnik, ale już nie zniknął. Kilka razy zabrałam mamę na spacer na wózku inwalidzkim, ale cały proces dźwigania jej z łóżka na wózek i z powrotem okazał się tak wyczerpujący, że do poniedziałku przestałam uważać te wspólne spacerunki za taki świetny pomysł. Przestałyśmy też rozmawiać. Mama czasami mnie rozumiała, odpowiadała „tak” lub „nie” na pytania, czy chce jej się jeść lub pić, ale niewiele ponadto. Przeżyłam więc szok, gdy pewnego razu przerwała mi opowiadanie, które jej czytałam, i oznajmiła:

– Nigdy nie uważałam cię za moją pomyłkę.

– Słucham?

Nie patrzyła na mnie w ten sposób, odkąd odstawiła sterydy. Naprawdę mnie widziała.

– Zawsze myślałaś, że byłaś pomyłką, podczas gdy w rzeczywistości jesteś moim największym osiągnięciem.

Wybuchłam łzami, podbiegłam do niej i przytuliłam ją.

– Och, mamó. Kocham cię. Tak bardzo cię kocham.

Odepchnęła mnie.

– Co to za hałas?

Słyszałam jedynie płytę od Paula, która grała cicho w kącie. Tracy Chapman. Ulubiona piosenkarka mamy.

– Chodzi ci o muzykę?

– To chyba nie muzyka, prawda?

Od tego momentu przestałam jej puszczać jakąkolwiek muzykę. Każdy

dźwięk odbierała jako hałas i sprawiało jej to ból.

Na stoliku przy łóżku leżała kartka z osią czasu choroby. Mama odhaczyła wszystkie objawy występujące w fazie od trzech do dwóch tygodni, ale potem przestała cokolwiek zaznaczać, podobnie zresztą jak chodzić, mówić z sensem i podnosić widelec do ust.

Spojrzałam na opis fazy od dwóch do jednego tygodnia przed śmiercią:

Chory często całkowicie przykuty do łóżka

Głośne lub wielokrotnie powtarzające się dźwięki mogą wydawać mu się irytujące

Po przebudzeniu przez kilka minut wydaje się dezorientowany

Wpatruje się nieobecnym wzrokiem przed siebie, w sufit lub „poprzez” rozmówcę

Może patrzeć w telewizor, ale tak naprawdę wcale go nie ogląda

Podarłam kartkę na strzępy.

Rozdział 16

Było środowe popołudnie. Mama spała od osiemnastu godzin. Kilka razy udało nam się ją przebudzić na chwilę i dać jej jedną lub dwie łyżki zupy. O piątej, gdy przykładałam jej do ust czystą gąbkę nasączoną wodą, siostra Gabriella wezwała mnie do biura.

– Twoja mama zostawiła mi instrukcje, Catherine. Poprosiła, żebyś zatrzymała się na kilka dni u Antonia. Przyjedzie po ciebie za godzinę. Rozumiesz to?

Rozumiałam. Choć wolałabym nie.

– Nie wiem, co bym zrobiła na twoim miejscu. Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie powinnaś być dzisiaj w Rothesay?

– Właśnie się tam wybieram. Chciałam tylko pożegnać się z twoją mamą. To niezwykła kobieta, Catherine. Strasznie mi przykro.

Och, mamó, obudź się i daj mi nową listę! Wycisnę pastę do zębów z samego końca tubki, zroluję pustą część i zakręcę, żeby nie wyschła. Wyniosę śmieci z kosza na odpady segregowane, zgaszę światło, gdy będę wychodzić z pokoju, przeczytam jakąś książkę literatury faktu, a dwie z każdych trzech rzeczy, jakie ci powiem, będą pozytywne i to, mamó, jest coś, co chcę zacząć robić od teraz. Tylko obudź się i daj mi tę listę. Zrobię wszystko, co się na niej znajdzie. W niedzielę będziesz mogła sprawdzić, jak mi poszło, i dać mi jakąś beznadziejną nagrodę.

Ale w niedzielę już jej tu nie będzie. A listę już zdążyła mi wręczyć. Lub też raczej plan umierania.

Marcus wpuścił mnie do swojego gabinetu. Rozmawiał przez telefon:

– Dobra, w porządku, będę musiał do ciebie oddzwonić. – Rozłączył się.

– Przyszłam tylko powiedzieć, że dziś odchodzę.

– Och, Catherine, tak mi przykro.

– Obiecasz mi, że nie będzie cierpieć?

– Obiecuję.

– I zadzwonisz do mnie, kiedy to się stanie?

– Tak. Dasz sobie radę?

Zadzwonił jego telefon. Jako sygnał miał ustawiony głośny i niesamowicie irytujący gwizd pociągu.

– Gdzie pójdziesz?

Pociąg wciąż gwizdał, a Marcus nie nacisnął „odrzuc”.

– Odbierz telefon, Marcus. Ja lecę. Poradzę sobie.

Gdy podeszłam do tylnych drzwi, zabręczał mój telefon. Natalie nawet się nie przywitała. Mówiła bardzo rozgorączkowanym głosem:

– Widziałaś ten długi numer pod wpisem sprzed osiemnastu miesięcy? Pacjentka nazywała się Carmel Tate, zmarła w środę.

– Nie. Posłuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. To naprawdę nie najlepsza pora.

– Prześlę ci esemesem. To wygląda na jakiś szyfr. Jeśli znajdziesz chwilę, żeby na niego zerknąć, może będziesz wiedzieć, czy to coś niewinnego, jak kod do systemu alarmowego albo numer konta...

– Natalie, proszę, nie mogę rozmawiać.

– Ale muszę ci o tym powiedzieć. Myślę, że Rose coś odkryła. Wszystkie rysunki, które mi przekazała, są dokładnie powiązane ze zgonami. Zgadza się wszystkie szczegóły.

– Ale to przecież nic nie znaczy. Ci ludzie zmarli w czasie, gdy Rose już tu przebywała. Muszę kończyć.

Natalie jednak mnie nie słuchała:

– To nie Gabriella stoi za tym wszystkim. Nigdy nie pracowała w te noce, ani razu, co zresztą wydaje się dość podejrzane, nie sądzisz? Nie jest w to zamieszana i pewnie muszą trzymać ją od tego z daleka.

– Wiem, że Gabriella nikogo nie zabiła! Nikt nikogo nie zabił, Natalie. Rose jest chora, a ty jesteś złodziejką, kłamczuchą i intrygantką, a Zielona Przystań to hospicjum, w którym ludzie umierają. I to samo właśnie dzieje się teraz z moją mamą.

– Ale posłuchaj tego. Jim Thornton to przestępca seksualny. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku został skazany na dwanaście miesięcy.

Byłam w szoku i z początku nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Ale w gruncie rzeczy – pomyślałam sobie – co z tego? Przestępcy seksualni też się starzeją i też muszą gdzieś żyć. Eutanazja na masową skalę nie stanowiła raczej typowego *modus operandi* podstarzałego pedofila.

– To było dawno temu, Natalie.

– Ale on i Marcus się znali, zanim Jim wprowadził się do ośrodka.

No dobra, to wydawało się odrobinę bardziej interesujące.

– Skąd się znali?

– Byli w jednej grupie na warsztatach z pisania poezji.

Może Jimmy zapisał się na warsztaty, by popracować nad tekstami swoich piosenek. Zaczynałam podejrzewać, że Natalie mieszało się w głowie bardziej niż

Rose.

– Rozłączam się, Natalie. Możesz dać temu spokój? To szaleństwo. Szczerze mówiąc, ufam ci teraz mniej niż komukolwiek innemu.

– Teraz muszę iść do pracy, dostałam zlecenie przez agencję, żeby jakoś związać koniec z końcem, ale prześlę ci ten szyfr, rzuć tylko na niego okiem. Wydaje mi się, że to jakieś hasło lub coś takiego. Kto w ośrodku ma komputer?

Zaczynała mnie naprawdę drażnić.

– Natalie, nie chcę być niegrzeczna, ale...

– Dobra, powiedz tylko szybko, kto ma komputer.

– W sali zajęć stoi pecet. Jim ma smartfon, a Marcus – telefon i laptop.

– Gdzie trzyma ten laptop?

– Na górze.

– Ale gdzie?

– Ostatnio widziałam go w jego gabinecie. Ale to laptop, Natalie. Można go przynieść z miejsca na miejsce.

– Dzięki, Catherine. Zostań przy swojej mamie. Odezwę się za jakąś godzinę.

– Nie... – Zamierzałam jej powiedzieć, żeby nie odzywała się przez kilka najbliższych dni, a najlepiej już nigdy, ale się rozłączyła.

Chciałabym móc uznać, że moje pożegnanie z mamą było piękne, wzruszające i satysfakcjonujące. Chciałabym móc powiedzieć, że przytuliłyśmy się i rozplakałyśmy, a ja przeprosiłam ją za to, jaka byłam niewdzięczna, samolubna i leniwa, a także wyznałam jej, że podziwiam ją i szanuję bardziej niż kogokolwiek innego. Chciałabym móc stwierdzić, że mama zrozumiała moje słowa. Ale ona wciąż spała. Nic jej nie powiedziałam. Pocałowałam ją w czoło i w policzek.

– Żegnaj, mamó. Kocham cię – wyszeptalam i wyszłam.

Chris zobaczył mnie na parkingu. Płakałam tak mocno, że nie byłam w stanie odpalić samochodu. Bez pytania wszedł od strony pasażera.

– Gabriella właśnie mi powiedziała. Przykro mi.

Przez ten szloch nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Chris przechylił się i mnie objął.

– Gdzie teraz jedziesz?

– Mama chciała, żebym zatrzymała się u Antonia, ale chyba wolę zostać sama. Nie chcę stąd odjeżdżać. Czy będzie jej tu dobrze?

– Na pewno.

– Wiedziałaś, że Jimmy to pedofil?

Chris popatrzył na mnie zdumiony.

– Bawiłaś się w Sherlocka Holmesa?

– Nie ja. Natalie.

– Natalie od babci Rose?

– Uhm.

Chris westchnął głośno, jakby wcale nie był tym zaskoczony.

– Natalie Holland jest szalona. Nie uwierzyłybyś, jak wkręcała babcię.

Okradła ją prawie na dziesięć tysięcy, a teraz spędza czas na snuciu paranoicznych teorii. Słuchaj, wiem o Jimmym. Myślisz, że nie sprawdziłem dokładnie tego miejsca, zanim pozwoliłem babci tu zamieszkać? Przez takie węszenie po policyjnych kartotekach mogli zerwać ze mną współpracę, ale za nic nie umieściłbym jej tutaj, gdybym nie miał pewności, że to najlepsze i najbezpieczniejsze dla niej miejsce. Zgadza się, Jimmy ma wyrok na koncie, ale to było bardzo dawno temu. Odsiedział swoje, poddał się nawet specjalnemu leczeniu. A tak poza tym to nie jest pedofilem. Twoja mama będzie tu miała dobrą opiekę.

– Ale...

– Panikujesz. Nie winię cię. Ale przecież takie było jej życzenie. Czy wszystko było z nią w porządku, jak wychodziłaś?

– Tak.

– Czy miała zapewnioną opiekę?

– Gabriella niedługo wychodzi, zmieni ją Harriet. Ma się zjawić lekarka, żeby ustalić dawkę morfiny. Tak, tak, no dobrze... Ma zapewnioną opiekę.

– Więc zachowaj się właściwie, Catherine. Zrób to, o co cię prosiła, albo będziesz tego żałować.

Początkowo nawet nie zastanawiałam się, gdzie jadę, po prostu wjechałam na drogę A82 i skierowałam się na północ, jak dawniej robiłyśmy czasem z mamą. „No wskakuj!” – wołała i dwadzieścia minut później już opuszczaliśmy Glasgow. Jechałyśmy, mając po prawej stronie Loch Lomond, aż w końcu zatrzymywałyśmy się gdzieś na obiad. Zazwyczaj w Loch Fyne, gdzie serwowali przepyszne owoce morza, albo gdzieś dalej na północ, jeśli miałyśmy ochotę przespacerować się lub przepłynąć promem na którąś z wysp.

Jechałam już od półtorej godziny, w tym czasie mój telefon kilka razy zabrzęczał. Zatrzymałam się na poboczu i przeczytałam wiadomość od Antonia. Był mocno wystraszony.

Przepraszam. Muszę pobyć sama. Wszystko w porządku. Mam nadzieję, że u ciebie też. Niedługo zadzwonię. Ściskam

– odpisałam. Wtedy znów zadzwoniła Natalie.

– Catherine, Catherine – mówiła szeptem. Sygnał był kiepski, ciągle zanikał.
– Mam pomysł... na górze... Czy może... tekst... szyfr...
– Przerywa, nie słyszę cię.
– Zamierzam wejść... na drugi dzień, jeśli tylko on wyjdzie. Nie zostawiaj...
bo...

Później nastąpiły już tylko trzaski.

– Proszę, przestań do mnie wydzwaniać, Natalie – oznajmiłam głośno i wyraźnie. – Może powinnaś pomyśleć o jakiejś pomocy lekarskiej.

Jechałam dalej na północ. Była już osiemnasta. Na jakim etapie swych „ostatnich czterdziestu ośmiu godzin” znajdowała się teraz mama? Przez cały dzień spała, ostatni raz jadła wczoraj wieczorem, a kiedy wychodziłam, zaczęła wydawać z siebie okropne charczące odgłosy. Równie dobrze mogła już nie żyć. Albo też miała przed sobą jeszcze dzień lub dwa.

Musiałam pojechać jak najdalej, żebym nie mogła już zawrócić i zdążyć do niej na czas. Po tych wszystkich rozczarowaniach, jakie spotkały ją z mojej strony, musiałam zrobić dla niej przynajmniej tę jedną rzecz. Trzymałam się dalej A82, minęłam Crianlarich, a potem wzdłuż A85 ruszyłam w kierunku Oban, skąd odpływały promy na okoliczne wyspy.

Pewnego razu popłynęłyśmy z mamą na Ionę. Wsiadłyśmy na prom na Mull, a stamtąd dostałyśmy się na Ionę. Spacerowałyśmy jakiś czas po wyspie, aż w końcu poczułyśmy głód. Nigdzie nie było nic do jedzenia. Minęły godziny, zanim wróciłyśmy do Oban i wpakowałyśmy się do pierwszej restauracji, jaka się nam tylko nawinęła.

O ósmej, czyli za dwadzieścia minut, odpływał prom na Mull. Czekając w kolejce samochodów, przypomniałam sobie, jak świetnie się bawiłyśmy, gdy byłyśmy tu ostatnim razem i przy wielu innych okazjach. „Wskakujże do samochodu!” – wołała mama i już nas nie było. Bez żadnych planów ani list. Mama nie zawsze żyła według list.

Podpłynął prom, opuszczono rampę dla pojazdów. Jeśli nim popłynę, nie dam rady już dzisiaj wrócić.

Przypomniałam sobie plan porodu mamy. Nie chciała znieczulenia. Nie chciała iść do szpitala. A potem pojawił się ból i bardzo tego żałowała. Przypomniałam sobie, jak zapytała mnie, w co ma się ubrać na bal charytatywny, na którym miała wygłosić przemówienie. Nigdy nie nosiła sukienek, a przynajmniej nigdy nie widziałam jej w sukience, i w ostatniej chwili kupiła sobie kieckę we Fraser. Nie była brzydka, ale nie pasowała do niej i nie czuła się w niej swobodnie. Czym prędzej więc pobiegłam i kupiłam jej zwiewny kostium ze spodniami. Wyglądała w nim szalowo. Kilka lat temu zarejestrowałam ją na portalu randkowym. Była strasznie zażenowana, ale poszła na kilka randek i choć nie poznała nikogo wyjątkowego, to zaczęła potem nieco bardziej o siebie dbać.

Mama nie zawsze wiedziała, co jest dla niej najlepsze. Czasami ja wiedziałam to lepiej.

Musiałam więc wrócić na czas. To jednak miało znaczenie! Musiałam być przy niej, kiedy odejdzie. Oby tylko nie było jeszcze za późno.

Samochody przede mną wjeżdżały powoli na prom. Zawróciłam z piskiem opon i ruszyłam na południe, pędząc sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

W Tarbet policja wlepiła mi mandat, a tuż przed Luss wydarzył się wypadek, w związku z czym, gdy zjawiłam się przed Zieloną Przystanią, dochodziła już północ. Oby tylko nie było za późno. Oby tylko nie było za późno.

Nikt nie reagował na pukanie do drzwi. Okrążyłam więc ośrodek i zadzwoniłam do mieszkania Marcusa. Żadnej odpowiedzi. Nacisnęłam kławkę. Zamknięte. Znowu pobiegłam od frontu. Pukałam, dzwoniłam, waliłam w okno biura. W końcu w drzwiach pojawiła się Harriet.

Na mój widok zbladła.

O Boże, nie! Rzuciłam się do środka, nie zważając, co mówiła, gdy usiłowała mnie zatrzymać.

Pod drzwiami do pokoju mamy wzięłam głęboki oddech, szykując się na to, co mogę ujrzeć, gdy je otworzę. W środku nikogo nie było. Nie wiem, jak długo płakałam, siedząc na podłodze, zanim przyszła Rose.

– Catherine?

– Rose, powinnaś spać o tej porze.

– Znowu próbowali mi dać leki, ale tylko udawałam, że połykam. Szybko, uciekaj stąd, zanim cię dopadną.

Wpięła z powrotem w swe kruczoczarne włosy wsuwkę, za pomocą której wydostała się z pokoju.

– Kto ma mnie dopaść?

– Zdradzę ci sekret, ale pod warunkiem że nikomu nie powiesz.

– Pozwól, że zaprowadzę cię do łóżka, Rose.

Rose wskazała na tył ośrodka.

– Ćśś!

Na jej twarzy malował się ten sam wyraz przerażenia, jaki miała pierwszego dnia mojej pracy, gdy siostra Gabriella wepchnęła jej tabletkę do ust i zostawiła ją w łóżku.

– Chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

Harriet gdzieś zniknęła. W ośrodku panowała cisza jak makiem zasiał, jakby wszyscy spali głębokim snem. Ciekawe, czy karetka zdążyła już zabrać mamę.

Kładąc Rose do łóżka, zauważyłam, że znowu próbowała zerwać obrożę z nogi. Widać było niewielkie ślady na gumie oraz głębokie zadrapania na łydce.

– Coraz ciężiej oddychasz, Margie!
– Rose, wszystko w porządku. Nic mi nie dolega.
Roztarła swoją dłoń.
– Jaka jesteś zziębnięta, Margie. Rozpalę ognisko. Siedź tutaj, to się ogrzejesz. Zaraz wracam. Och, nie mam zapalek. Wróć, ani się obejrzyj.
– Już dobrze, Rose.
Była zbyt słaba, żeby się podnieść. Oczy jej się zamykały.
– Już dobrze, ja się tym zajmę. Nie martw się, Rose.
Zauważyłam na biurku zaczęty rysunek. Zdążyła narysować tylko drzwi z numerem siedem oraz kamerę w kącie pokoju.

Przez szparę pod drzwiami widziałam, że w pokoju numer siedem świeci się światło. Przekręciłam gałkę, ale okazało się, że są zamknięte. Usłyszałam, jak Harriet szepcze coś do drugiej osoby, i zaczęła ogarniać mnie coraz większa złość. Pragnęłam zobaczyć mamę i przytulić ją.

– Wpuść mnie! – Nie obchodziło mnie, czy kogoś obudzę. – Harriet, otwórz te drzwi! NATYCHMIAST!

Kolejne szepty. Tym razem jakiś męski głos.

Gdy Harriet uchyliła w końcu drzwi na kilka centymetrów, zauważyłam, że ma tak czerwone policzki, jakby napłynęła do nich cała krew. Była złana potem. Przepchnęłam się obok niej i weszłam do środka.

W pokoju znajdował się także Marcus. Stał pomiędzy mną a łóżkiem. Odepchnęłam go na bok i wtedy ją zobaczyłam.

Rozczesali jej gęste siwiejące włosy, przez co zrobiły się nienaturalnie puszyste. Mama nienawidziła mieć puszystych włosów. Zrobili jej też pełen makijaż: podkład, szminka, tusz do rzęs. Mama nigdy się nie malowała. Była ubrana w jedwabną srebrzystą koszulę nocną. Ale ta koszula nie należała do niej! Jej ulubione spodnie od piżamy miały wzorek w różowe kropki i były z cienkiej bawełny. Wszystko zrobili źle. Jak oni śmieli?

Cichy szmer. Przyłożyłam policzek do jej ust. Wciąż jeszcze żyła.

– Dlaczego ją przenieśliście?

– Posłuchaj... Catherine – odezwał się Marcus łagodnym głosem – wiem, że to trudne, ale nie powinnaś tu być. Ludzie żałują później, że nie zrobili tego, o co prosili ich bliscy, i w takich chwilach myśleli tylko o sobie. Nie będziesz miała drugiej szansy. Będzie cię to dręczyć do końca twoich dni.

– Przenoszę ją z powrotem do jej pokoju. Z drogi.

Marcus stanął z uniesionymi ramionami pomiędzy mną a mamą.

– Niestety muszę cię poprosić, żebyś wyszła. W swojej deklaracji opieki terminalnej...

– Jeśli nie zejdziesz mi z drogi, zadzwonię na policję.

Marcus wahał się przez chwilę, w końcu się odsunął. Zwolniłam hamulce przy kółkach łóżka szpitalnego, wyjechałam z mamą na korytarz i zawiozłam ją z powrotem do jej pokoju.

Wezwałam lekarkę kuguarzycę, która wbrew temu, co mi powiedziano, nie przyszła po południu, żeby podać mamie morfinę. Zrobiła to teraz i zapewniła mnie, że mama nie odczuwała żadnego bólu i personel prawdopodobnie czekał, aż ból znów się pojawi. Potem wyszła, żeby porozmawiać z Harriet i Marcusem. Słyszałam ich w biurze. Odniosłam wrażenie, że się kłócili. Lekarka zapewne skłamała, żeby mnie nie denerwować. Powinni ją byli wezwać wcześniej. A mama powinna dostać morfinę już kilka godzin temu. Zdjęłam z niej tę idiotyczną jedwabną koszulę nocną i ubrałam ją w spodnie w różowe kropki i biały podkoszulek bez rękawów. Otarłam jej twarz ciepłą myjką. Nałożyłam na włosy trochę pianki, żeby je nieco przygładzić. Zero makijażu, tylko jej piękna twarz. Mama miała doskonałą cerę. Tak gładką jak moja. Zasunęłam żaluzje, żeby z zewnątrz nie wpadało światło lamp. Lekarka odjechała. Przyjechało za to kilka samochodów. Po jakimś czasie wszystkie odjechały. Później zapytam o to tego kłamcę Marcusa. Zwilżyłam mamie wargi mokrą gąbką. Pogładziłam ją po ramieniu. Pocałowałam w policzek. Rozmawiałam z nią.

O moim pierwszym wspomnieniu związanym z jej osobą. Miałam wtedy trzy lub cztery lata. Musiała iść do pracy i zostawiła mnie w domu u babci, z którą miałyśmy piec babeczki. Zaczęłam płakać. Nie chciałam puścić jej do pracy.

O moim pierwszym chłopaku. Miałam piętnaście lat. Mama go nie lubiła. I miała rację.

O mojej pierwszej pracy. Miałam dwadzieścia trzy lata. To mama mi ją załatwiła. Było to najtrudniejsze i zarazem najwspanialsze doświadczenie w moim życiu.

Mówiłam i mówiłam, płakałam i płakałam, i...

Maureen zmarła za pięć piąta rano. Chciała umrzeć w swoim łóżku, w swoim pokoju w Domu Opieki Zielona Przystań. Chciała umrzeć sama. Bez muzyki, bez księdza.

Zmarła w swoim pokoju w Domu Opieki Zielona Przystań. Bez muzyki, bez księdza. Jej córka Catherine trzymała ją za rękę. Jej ostatnie słowa brzmiały: „To chyba nie muzyka, prawda?”. Jej ostatni oddech przypominał westchnienie. Wyglądała na strasznie zmęczoną. W jej oku nie pojawiło się żadne odbicie.

Nie było żadnego jpega.

Jeden tydzień przed śmiercią

Rozdział 17

Wszyscy w Zielonej Przystani współczuli mi z powodu mojej straty. „Przykro mi z powodu twojej straty” – powiedzieli Marcus, Gavin, lekarka kuguarzyca, Harriet i kierowca karetki. Jest mi przykro z powodu twojej zguby, jestem wstrząśnięty twoją niedolą. Co za absurd! Rose nie powiedziała nic. Stała przy mnie, gdy moja zguba opuszczała w karetce ośrodek. Pomogła mi spakować walizkę mojej zguby. Pocałowała mnie, gdy szwajcarskim scyzorykiem przecięłam jej elektroniczną bransoletę, i oznajmiła:

– Dzieją się tu złe rzeczy, Catherine.

Dałam jej telefon komórkowy mamy.

– Tutaj się włącza. Wciśnij jeden, jeśli będziesz chciała do mnie zadzwonić.

Po wciśnięciu dwójki połączysz się z policją.

Przećwiczyłam to z nią, każąc jej zadzwonić do mnie kilka razy.

– Dzwonek jest wyciszony, ale gdy do ciebie zadzwonię, będzie bardzo cicho wibrował, o tak: bzzz. Możesz go gdzieś ukryć?

Rose podniosła szafkę nocną i przechyliła ją tak, że opierała się jednym bokiem o łóżko. Do jej spodu przyklejonych było kilka pękatych kopert – z jednej wystawało kilka pięćdziesięciofuntowych banknotów – oraz około dwudziestu pudełek zapalek. Z leżącej na biurku szpulki Rose oderwała kawałek taśmy klejącej i do spodu szafki przykleiła również telefon.

Zapomniałam zapytać Marcusa o przyjeżdżające i odjeżdżające w nocy samochody. Poszłam do domu poszukać mojej zguby w ubraniach, które odzyskałam z Oxfam, w starannie przygotowanych przez mamę trzech albumach fotograficznych, w ukończonych właśnie zadaniach, w zamrażarce. Nie byłam głodna, ale nawet jeślibym była, to i tak nie mogłabym tknąć jedzenia, które było teraz pewnie tylko odrobinę zimniejsze niż moja zguba. Nie mogłam jednak go również wyrzucić. Mama – jak zwykle troskliwa, lecz pozbawiona wyobraźni.

Zaciągnęłam zasłony, zgasiłam światło, włożyłam jej ulubioną wiatrówkę, położyłam się na kanapie, rozłożyłam na stoliku albumy fotograficzne, przytuliłam do piersi misia, którego dostałam od niej na piąte urodziny, i czekałam, aż nadejdą lzy i wypełnią tę pustkę. Ale nie nadeszły. Postanowiłam je wywołać: zdjęcia z Rothesay na moim telefonie powinny załatwić sprawę. Dziesięć selfie zrobionych na promie: obie z mamą śmiejemy się i stroimy głupie miny. Nie, żadnej ulgi, tylko burczenie w brzuchu, który okazał się równie pusty jak cała reszta mojego ciała.

Dwa razy zadzwonił telefon, ale nie odebrałam. Najpierw Antonio z uprzejmym:

– Cześć, Cath. Już słyszałem. Zadzwoń.

A potem Paul:

– Jesteś tam? Mogę przyjść?

Powinłam była teraz przetrząsnąć pudła w poszukiwaniu polisy ubezpieczeniowej, zapłacić zaległe rachunki, posprzątać cały ten bałagan, jaki powstaje w wyniku choroby, i zorganizować pogrzeb. Zadzwoiłam do domu pogrzebowego, z którego usług postanowiła skorzystać mama. Dyrektor zapewnił mnie, że wszystko zostało już załatwione: muzyka, mowa, humanistyczny mistrz ceremonii. Zaproszeni zostali już wszyscy ze skromnej listy gości, a po uroczystości w Saint Jude's miał się odbyć mały poczęstunek.

– Wystarczy tylko, że pojawi się pani w poniedziałek o dziesiątej rano.

Mama – jak zwykle pozbawiona wyobraźni! Pozbawiła mnie wszelkich rytuałów, które pozwalają ludziom przetrwać pierwsze mroczne dni po śmierci ukochanej osoby. Nie miałam nawet żadnej rodziny, z którą mogłabym się pokłócić. Ileż bym dała, żeby wydrzeć się na brata próbującego ukraść mi spadek, żeby przywalić siostrze za to, że przywłaszczyła sobie pierścionek, który zawsze chciałam, żeby rzucić ze złością pod adresem pogrążonego w żalu ojca: „Jaka szkoda, że to nie ty umarłeś!”.

Ojciec! Mama zostawiła mi numer telefonu do jego rodziców. Gdzie on jest? Chyba w jednej z tych kopert. Bez chwili namysłu wykreśliłam numer.

– Halo? Mówi Catherine Mann. Czy mogę rozmawiać z panią lub panem Marks?

– Pani Marks przy telefonie.

Z miejsca znienawidziłam ten dystyngowany, nadęty głos, który należał najwyraźniej do mojej babci. Postanowiłam zachować się powściągliwie, rzeczowo, przekazać po prostu najważniejsze informacje i to wszystko.

– Jestem córką Maureen Mann. Pani syn był moim biologicznym ojcem. Dzwonię tylko, aby powiadomić państwa, że Maureen zmarła dziś nad ranem.

Pani Marks nie odzywała się przez chwilę. Czekałam na łzy albo jakąś przemowę: „Och, kochane biedactwo, zostałeś teraz całkiem sama. Przyjedź do nas, zamieszkać z nami! Jesteś wszystkim, co nam zostało po naszym ukochanym synu! Weź nasze pieniądze! Zostań z nami!”. W zamian usłyszałam jedynie:

– Przykro mi z powodu twojej straty, Catherine...

Rozłączyłam się. Pocałowałam pierścionek z szafirem na moim palcu: pierścionek mojej babci, mojej mamy, a teraz mój. A następnie zrobiłam to, co robiłam zwykle, żeby uciec przed prawdziwym życiem: schroniłam się w sieci.

Zaczęłam czytać różne artykuły oraz blogi o kolejnych etapach żałoby. Przejrzałam fora internetowe, na których ludzie dyskutowali o śmierci rodzica.

Wygugłałam mamę. Maureen Mann miała w Google czterdzieści dziewięć tysięcy wyników wyszukiwania: „Dyrektor naczelna otwiera nową szkołę w Zimbabwie”, „Maureen Mann o przymusowym małżeństwie”, „Maureen Mann główną mówczynią na balu charytatywnym w Heywood”, pani Mann powiedziała to na temat niesprawiedliwości, tamto na temat ubóstwa, to o polityce nowego rządu, a tamto o dobroczynności. Jedna z ostatnich informacji pochodziła z bloga związanego z jej organizacją charytatywną. Była to notka zatytułowana „Spoczywaj w pokoju, Maureen Mann” i występowały w niej takie określenia, jak: zasmuceni, odeszła, dzielna, waleczna, pełna poświęcenia, niezmordowana, inspirująca, pozostawiła swoją...

Dosyć!

Rose Price miała 349 870 wyników wyszukiwania: strony pełne jej zdjęć w wieku pięćdziesięciu, pięćdziesięciu sześciu, sześćdziesięciu trzech, sześćdziesięciu pięciu lat, aż do spotkania z czytelnikami podczas festiwalu książki w Edynburgu sprzed czterech lat. Była na nich taka spełniona, ładna i szczęśliwa! Miała takie przenikliwe spojrzenie! Wygugłałam samą siebie. Wskoczyło mnóstwo różnych Catherine Mann: prawniczka, ekonomistka i jakaś młoda idiotka, która wrzucała na Twittera same wpisy o chlaniu i kacu (czyli ja). Napisałam do Giny i Rebecki:

Mama zmarła w nocy. W tym momencie nie mam ochoty z nikim się widzieć. Nie musicie przychodzić, ale gdyby co, to pogrzeb jest w poniedziałek o dziesiątej w krematorium w Clydebank.

Wygugłałam Jimmy’ego, czyli Jima Thorntona. Wskoczyło siedem tysięcy pięćdziesiąt wyników. Kilka artykułów o członkach jego dawnego zespołu próbujących wrócić na scenę, dwa artykuły o wokaliście, który rok temu zmarł w wyniku przedawkowania. W 2003 roku Jimmy był zamieszany w jakieś przestępstwa internetowe. Nie znalazłam żadnych bliższych szczegółów, ale gdy dwa lata później dowiedzieli się o tym jego sąsiedzi, próbowali spalić mu salon. Po tym Jimmy przeprowadził się do domu opieki.

Zajrzałam na Facebooka. Gina i Rebecca przeczytały już moją wiadomość, ale żadna z nich nie odpowiedziała. Napisanie odpowiedzi z pewnością wymaga czasu.

Wygugłałam Marcusa Bairda. Proszę, proszę, Marcus prowadził blog zatytułowany *Nie jest wcale przyjemnie być tchórzem² – Marcus Baird o pisaniu*. Jego wpisy były tak samo nudne jak jego książka: „Jak radzić sobie z blokadą twórczą?”, „Wybór gatunku”, „Poglądy na perspektywę narracyjną” oraz *Mała śmierć – przeczytaj za darmo pierwszy rozdział*. Pod notkami nikt nie zostawił choćby jednego komentarza i nic dziwnego.

Wygugłałam *Małą śmierć*. Co za głąb! Ktoś już napisał książkę o takim tytule. W dodatku stała się bestsellerem. Na jego miejscu użyłabym francuskiego

określenia. Jak ono brzmiało? *La petite mort*. Nie wiem dlaczego, ale wygoogłałam to i sprawdziłam pierwszą stronę z wynikami wyszukiwania.

Kliknięcie na dziesiąty z kolei link odesłało mnie do pustej strony, na której wyświetlił się tylko sam napis: „La Petite Mort”. Strona miała taki sam kolor tła i takie samo liternictwo jak blog Marcusa. Pod nazwą znajdowało się pole z informacją: „Wprowadź kod dostępu 1”.

Zadzwiećczał mój telefon. Esmes od Paula o podobnej treści jak wcześniejsza wiadomość głosowa:

Dobrze się czujesz? Mogę przyjść?

Wszystko w porządku. Odpoczywam. Nie gniewaj się, ale potrzebuję побыć trochę sama. Ściskam.

Przejrzałam wcześniejsze esemesy. Boże, Natalie zostawiła ich całą masę:

Możemy się spotkać?

Przepraszam, że się naprzykrzam, ale czy możemy się spotkać?

Czy to hasło wyłączające alarm, czy coś takiego? Kod został zapisany w dzienniku dyżurów w dniu śmierci Carmel Tate osiemnaście miesięcy temu: zKgy48r9fP2_9b

Zadzwoń do mnie.

Proszę, to pilne. Zadzwoń.

Nie jestem złodziejką. Rose podarowała mi te rysunki, ale trzy lata później zapomniała o tym. Więc je oddałam. Proszę, czy możesz oddzwonić?

Po tym nastąpiła długa lista nieodebranych połączeń.

Spróbowałam do niej zadzwonić, ale od razu przełączyło mnie na pocztę głosową. Wygoogłałam Natalie. Ostatnią informacją na jej temat był artykuł z „Heralda” sprzed sześciu miesięcy:

Pracownica socjalna uwolniona od zarzutu kradzieży

Natalie Holland, oskarżona o kradzież dużej kolekcji oryginalnych rysunków słynnej pisarki Rose Price, została dzisiaj uniewinniona przez Sąd Okręgowy w Glasgow. Pani Price, która cierpi obecnie na demencję, oskarżyła swoją opiekunkę socjalną o kradzież, lecz później wycofała się ze swoich oskarżeń. „Sama podarowałam jej te rysunki – stwierdziła w udzielonym wywiadzie. – Natalie ich nie ukradła. Byłam zdezorientowana, gdy to mówiłam”. Chociaż wnuk pani Price oraz jej prawnicy przekonywali, że wycofanie przez nią zarzutów nie było wiarygodne, sędzia Miller argumentował, że jej pierwotne oskarżenie było niewiarygodne w równym stopniu, i uwolnił panią Holland od stawianych jej zarzutów.

A zatem Natalie nie była złodziejką. Ani wariatką. Odnalazłam esemes, w którym przysłała mi ten dziwny kod, i wpisałam go na znalezionej przed chwilą stronie internetowej, nie licząc zbytnio na to, że zadziała.

I nie zadziałał.

Rozpaczliwie potrzebowałam zająć się organizacją jakiegoś pogrzebu. Sprawdziłam Facebooka. Gina odpisała:

Tak mi przykro, kochanie! Proszę, czy mogę się z tobą zobaczyć?

Poszło jej lepiej, niż się spodziewałam. Ale Rebecca nie przysłała ani słowa.

Otworzyłam nowy dokument w Wordzie i dopóty wpatrywałam się w monitor, dopóki mruganie moich powiek nie zsynchronizowało się z migotaniem kursora. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jaką mowę pogrzebową przygotowała mama. Były to pewnie rzeczowe podziękowania, jakie zwykle wygłaszała na organizowanych przez siebie imprezach dobroczynnych. Nie można jej było uznać za znakomitą mówczynię. Ale ja też wcale nie chciałam doskonałej przemowy. Chciałam tylko przemowy, która wzruszy wszystkich do łez.

„Moja moma”. Poprawiłam, gdy zorientowałam się, że zrobiłam literówkę: „Moja mama”. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Wszystkie moje pomysły sprowadzały się do suchych faktów i podziękowań. Być może podczas pogrzebu niemożliwe było wygłoszenie innej przemowy.

Boże, pisanie na komputerze w moim wykonaniu to jakiś koszmar.

Otworzyłam jeszcze raz stronę „La Petite Mort” i ponownie, bardzo uważnie przepisałam hasło. Może zrobiłam wcześniej jakiś błąd? zKgy48r9fP2_9b. A później, zgodnie z instrukcją, powtórzyłam je. Tym razem otworzyła się nowa strona z szarym tłem. Widniał na niej tylko komunikat: „Ta strona wymaga specjalnego oprogramowania, pobierz je tutaj za 34,99 funta”. Czułam, że muszę się wypłakać. Zamknęłam laptop, rozplakałam się i zasnęłam.

Wybierasz rozpacz czy gniew? Gniew. Wybierasz rozpacz czy złamany nos? Złamany nos. Rozpacz czy chciwość? Chciwość. W dniach, które nastąpiły po śmierci mamy, zdecydowałam się jednak na obsesję. Obsesję na punkcie hasła. Wydało mi się to o wiele lepsze od zamrażarki wypełnionej jedzeniem oraz serca przepełnionego pustką.

O czwartej nad ranem zapłaciłam trzydzieści cztery dziewięćdziesiąt dziewięć za wymagane oprogramowanie. W piątek rano zainstalowałam je na moim MacBooku i wyskoczyła kolejna strona żądająca tym razem podania kodu dostępu numer dwa. Nie miałam żadnego konkretnego powodu, by ulegać tej obsesji. Ale kiedy już zaczęłam, wciągnęło mnie to na całego. To zupełnie jak z podjęciem decyzji o dalszym korzystaniu z usług British Gas. Od tego po prostu już nie ma odwrotu.

W przyptywie desperacji znów spróbowałam wpisać zKgy48r9fP2_9b. Hasło nieprawidłowe. Za tą stroną musiał stać Marcus. Zgadzały się czcionka, nazwa, kolor tła. Jakie hasło by wybrał? Skupiłam się wyłącznie na Marcusie.

Baird, Mbaird, mbaird, marcusb. Próbowałam wszystkich możliwych kombinacji jego nazwiska i wykreślałam, jeśli hasło nie pasowało. Zajęło mi to cały piątkowy ranek. Z popołudniowej wizyty Paula nie zapamiętałam zbyt wiele. Zanim wpuściłam go do środka, musiałam schować dziesiątki kartek zapisanych różnymi wariantami hasła. Na pewno podał mi zupę i domyślałam się, że okrył mnie kocem, ponieważ miałam go na sobie, gdy obudziłam się w nocy. Na stoliku znajdowała się szklanka wody, dwie tabletki valium oraz liścik: „Możesz potrzebować tego w nocy na uspokojenie. Zadzwoń, proszę, gdy się obudzisz”. Reszta nocy upłynęła mi na wpisywaniu słów związanych z Zieloną Przystanią. Sama się zdziwiłam, jak wiele ich było, zwłaszcza jeśli używałam dużych i małych liter oraz cyfr. Po siedmiu godzinach wyczerpały mi się pomysły.

W sobotę i niedzielę skoncentrowałam się na tym, co wiedziałam o książce Marcusa. Przeczytałam rozdział, który zamieścił w internecie, i zaczęłam wpisywać hasła z użyciem imion bohaterów i nazw miejsc, a także z angielską i francuską wersją tytułu.

Ktoś pukał kilka razy do drzwi. A przynajmniej tak mi się wydawało. Dobięgl mnie szelest wsuwanego pod nie papieru. Pewnie listy od Paula albo Antonia. A może od Giny i Rebecki. Nie sprawdzałam, byłam zbyt zajęta. Gdy obudziłam się w poniedziałek rano, zobaczyłam, że cały salon tonął w kartkach papieru zapisanych nieprawidłowymi kodami dostępu. Co ja, do licha, wyprawiam? Nazywają to chyba wyparciem. Albo obłędem. Pozbierałam wszystkie kartki, wrzuciłam je do worka na śmieci i poszłam pod prysznic. Gdy przeglądałam później moją garderobę, zauważyłam na wieszaku śliczną czarną sukienkę, która miała na sobie jeszcze metkę. Mama kupiła mi nawet strój na swój pogrzeb.

Gruba kobieta ubrana w spodnium realizowała poszczególne punkty z planu mamy:

1. Powitanie.
2. Mowa pogrzebowa.
3. Piosenka. Ta sama, którą mi dawniej śpiewała, czyli *Feelin' Good* Niny Simone. Przy niej trumna zniknęła za tandetną kotarą.
4. Koktajle, kanapki, ciasta (w Saint Jude's).

Wszystkie z obecnych czterdziestu trzech osób dobrze znały i kochały mamę. Dokonała mądrego wyboru swoich żałobników. Paul oraz Antonio nie odstępowali mnie na krok, doskonale wywiązując się z roli oddanych przyjaciół, a dwie ciotki, trzech wujów, pięcioro kuzynów oraz Rebecca i Gina wyrazili żal z powodu mojej straty, dodając do tej zwyczajowej formułki jakiegoś bardziej znaczące zdanie: „Była najmilszą szefową, z jaką pracowałam”, „Bez przerwy

mówiła, jaka jest z ciebie dumna”, „Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jaka jest piękna”, „Była niesamowicie uczciwa, to najmniej fałszywa osoba, jaką znałem”, „Nigdy nie zapominała o moich urodzinach. To prawda, nie było w niej ani cienia fałszu”. „Dziękuję – mówiłam – bardzo dziękuję”.

Czułam się ociężała. To jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl. Ociężała. Jakby ziemia zaraz miała pęknąć pod naporem moich stóp. Jakby moje nogi nie były w stanie utrzymać mojego tułowia, a szyja – mojej głowy. Pragnęłam, żeby ziemia się pode mną rozstąpiła i żebym mogła się w nią zapaść. Przypomniałam sobie ekran w holu krematorium. Widniał na nim napis „Maureen Mann”. „To nazwisko mojej mamy”, pomyślałam sobie. Podczas ceremonii wiele osób płakało, ale moje łzy wydawały się równie ociężałe jak reszta mojego ciała i nie potrafiły wypłynąć z moich oczu. Pamiętam, że ktoś zapytał mnie, czy chcę zobaczyć mamę raz jeszcze przed rozpoczęciem ceremonii, a ja odparłam: „Nie”. Wprawdzie widziałam jej zwłoki, ale tylko tuż po tym, jak zmarła, i choć wyglądała już inaczej i miała martwy wyraz twarzy, nie zdążyłam wówczas jeszcze przywyknąć do tego nowego stanu ani nie traktowałam jej jako kogoś obcego. Teraz jednak nie chciałam jej oglądać. Chciałam zapomnieć o chorej i martwej mamie, chciałam zapamiętać ją jako żywą i zdrową. Usiadłam z przodu, wiedząc, że wszyscy z tyłu mnie obserwują i myślą sobie pewnie: „Biedna Catherine, została całkiem sama”. Ale nie płakałam ani też nie obejrzałam się za siebie i nie uśmiechnęłam się do nich, żeby przestali się o mnie tak martwić.

W Saint Jude’s usiadłam pomiędzy Paulem a Antoniem, skubiąc babeczkę, przyjmując uściski i wysłuchując rozmaitych opowieści. Wyszłam w pierwszym, możliwie stosownym momencie. Paul podwiózł mnie do domu i zaczął błagać, żebym pozwoliła mu wejść.

– Dziękuję, Paul, ale chcę zostać sama.

Objął mnie i powiedział, że później sprawdzi, jak sobie radzę.

I taki był ten pogrzeb: sprawnie przeprowadzony, cichy, godny, smutny i pełen miłości.

W domu zdjęłam z siebie śliczną czarną sukienkę, którą kupiła mi mama, i położyłam się na łóżku. Co ja powinnam teraz zrobić?

Podniosłam się, wyjęłam walizkę z szafy w korytarzu i zaczęłam się pakować do Kostaryki. Byłam teraz nadziana. Mogłam zmienić termin odlotu i wyjechać praktycznie natychmiast.

Doskonale.

Spakowałam kostiumy kąpielowe, letnie sukienki, letnie buty, okulary przeciwsłoneczne, same kolorowe, radosne rzeczy, po czym spojrzałam w lustro... Ale po co ja w ogóle chciałam lecieć do tej Kostaryki? Żeby tańczyć na plażach

i włóczyć się po barach. Ale nie mieściło mi się w głowie, bym jeszcze kiedyś tańczyła i włóczyła się z nieznanymi facetami, których będę uwodzić, a po trzech tygodniach rzucać.

Schowałam spakowaną już walizkę z powrotem do szafy.

Potrzebowałam, żeby mama powiedziała mi, co mam robić dalej. Potrzebowałam spotkania, planu działań. Przejrzałam wszystkie pozostawione przez nią koperty: hipoteka, samochód, pogrzeb... Na żadnej z nich nie było napisane: „Co powinnaś zrobić teraz”. Ale co mama by napisała, gdyby jednak zostawiła mi taką kopertę? Myślałam o tym, w jaki sposób opowiadała o mnie innym ludziom. Catherine to bardzo dobra osoba. Zawsze się o mnie troszczy. Zawsze chciała czynić dobro. Catherine nie dba o pieniądze ani prestiż. Mama kazałaby mi iść na studia i niewątpliwie miałyby rację. Zawsze miała rację. Bezbłędnie wybrała grono swoich żalobników. Była najmądrzejszą i najmniej fałszywą osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Nie było w niej ani cienia fałszu.

Wzięłam kartkę papieru i zaczęłam spisywać pierwszą listę zadań dla siebie. Zanim się zorientowałam, kartka wypełniła się moimi marzeniami i oczekiwaniami, a mnie przeppełniała wiara w to, że uda mi się je wszystkie zrealizować.

1. *Być z Paulem.*
2. *Zdobyć referencje od Marcusa.*
3. *Złożyć podanie na studia z pracy społecznej.*
4. *Codziennie rano czytać "Guardiana" w sieci.*
5. *Oglądać wiadomości w Channel 4.*
6. *Zapisać się na wieczorowy kurs hiszpańskiego.*
7. *Spędzać mniej czasu z Ginq i resztą/rozszerzyć swój krąg towarzyski.*
8. *Czytać jedną książkę w tygodniu.*
9. *Zapisać się na siłownię. Nabrać kondycji.*
10. *Być z Paulem.*
11. *Postarać się, by mama była ze mnie dumna. Być jak ona. Nie być kimś fałszywym.*

Falsz... Nigdy nie używałam tego słowa. A teraz nieustająco się pojawiało. Falsz. Dla Holdena Caulfielda z *Buszującego w zbożu* cały świat dorosłych był skażony fałszem.

Otworzyłam laptop. Okienko, w którym należało wpisać hasło, migало prowokująco. Wpisałam „buszujacywzbozu”.

Nie, nie dam się znowu wciągnąć tej obsesji. Wezmę się w końcu do własnego życia i do mojej listy. Zrobię coś, co ma sens, co ma jakieś znaczenie. Zrobię to, tylko raz jeszcze spróbuję: „buszujacyzboze”.

No dobra, ostatni raz: „zbozebuszujacy”.

LA PETITE MORT

Witaj, Nieznajomy!

Zapraszamy na forum La Petite Mort. Możesz tutaj zadawać pytania i dzielić się z innymi swoimi doświadczeniami. Włącz się do dyskusji!

Nowy użytkownik? Zarejestruj się [tutaj](#).

Rejestracja nie była trudna. W sumie trzy pytania: wiek, płeć, lokalizacja. I tak oto zostałam pięćdziesięciodziewięcioletnim mężczyzną z Aberdeen o nicku tex59. Po zarejestrowaniu i wybraniu własnego hasła wyłączyłam komputer, zła na siebie, że zignorowałam imponującą i bardzo sensowną listę, którą naprawdę chciałam zrealizować. No dobra, a więc Marcus prowadził jakąś stronę internetową z superzabezpieczeniami i był świrem, który kłamał w sprawie kursujących nocami pod ośrodkiem samochodów. Ale co mnie to obchodziło? Mama zawarła umowę z Zieloną Przystanią i jej warunki zostały wypełnione niemal dokładnie tak, jak sobie to zaplanowała. Spędziłyśmy tam razem trochę czasu. Dojrzałam. Nauczyłam się nią opiekować. Mama czuła się bezpiecznie ze mną u boku. A więc sprawa załatwiona. Daj sobie spokój, Catherine. Opuść to bezsensowne buszowanie po sieci, które zabiera ci całe lata życia. Skończ z tym, nie musisz czytać dalej...

Temat: Śmierć mojej mamy. Autor: zrozpaczony9

zrozpaczony9: 2 lutego 2012 roku tata zadzwonił, że mama jest w bardzo złym stanie i muszę przyjechać do szpitala. A przecież miała 63 lata i była zdrowa jak ryba. Okazało się, że miała atak serca. Po moim przyjeździe na oddział ratunkowy mama przeszła kolejny zawał. Patrzyliśmy z tatą, jak przez ponad piętnaście minut próbowali ją reanimować. Całe to ugniatanie jej klatki piersiowej wydawało się takie brutalne, wiecie? Nigdy nie zapomnę, jak później wyglądała. Nigdy.

elvis_odwalil_kite: Jesteś chyba na złym forum, skarbie.

caulfield: Skąd, możemy tu rozmawiać o wszystkim. Przykro mi z powodu twojej mamy, zrozpaczony9. Witaj na forum. Znam to uczucie. Moja dziewczyna umarła, gdy miałem osiemnaście lat. Nigdy nie zapomnę dotyku jej skóry, gdy

pocałowałem ją na pożegnanie.

caulfield: A kim jest tex59? Widzę, że śledzisz naszą dyskusję. Kim jesteś?

elvis_odwalil_kite: Jesteś tajniakiem, tex59? Polujesz tu na zboczeńców? Nic tu nie znajdziesz, stary. Nie ma tu żadnych zboczeńców, tylko ludzie, którzy chcą pogadać o śmierci swoich bliskich.

tex59: Nie jestem tajniakiem. Też chcę tylko pogadać.

elvis_odwalil_kite: Bo ci uwierzę! Nie wystarczy, że powiesz: hej, nie jestem tajniakiem!!

tex59: Nie wiem, jak mam to udowodnić. Mam przesłać skan paszportu?

elvis_odwalil_kite: No.

caulfield: Nie trzeba, ale przydałoby się więcej informacji, tex59. Kto dał ci kody dostępu?

tex59: Zaufany przyjaciel o podobnych upodobaniach. Czy nie tak to działa? Z ust do ust?

Strzelałam w ciemno. Tylko domyślałam się, że ludzie w taki właśnie sposób trafiają na tę stronę.

caulfield: Wolimy o tym myśleć jako o rekomendacjach od ludzi o podobnych upodobaniach, ale może być. A ty jakie masz upodobania?

tex59: Chciałbym na przykład wiedzieć, jaka była w dotyku skóra twojej dziewczyny.

caulfield: Jak u surowego kurczaka. Idź i sam sprawdź.

tex59: Idę... Ach, teraz już rozumiem, co miałeś na myśli.

Oczywiście nie zrobiłam tego. Nie miałam nawet w domu surowego kurczaka, tylko zamrożonego.

zrozpaczony9: Wydaje mi się, że będziemy się tu nieźle bawić.

tex59: Ale to wszystko, nic więcej?

caulfield: O co ci chodzi?

tex59: Zajmujecie się tu tylko rozmawianiem?

zrozpaczony9: Właśnie, jest coś więcej?

elvis_odwalil_kite: Może.

caulfield: A może nie.

tex59: No powiedzcie.

caulfield: Nowi muszą zamieścić zdjęcie, zanim zdradzimy coś więcej.

tex59: Jakie zdjęcie?

caulfield: Coś, co udowodni, że mamy podobne upodobania.

tex59: Gdzie trzeba je zamieścić?

caulfield: Najlepiej dołączyć do tego wątku. Nie wysyłajcie niczego mailem ani nie wrzucajcie linka. I nie możecie tak po prostu ściągnąć czegoś z sieci. Musicie zrobić zdjęcie czegoś, na czym będzie napisane La Petite Mort, i musi się na nim znaleźć wasz nick oraz data.

tex59: To jakaś forma inicjacji?

caulfield: Właśnie, ale bez obaw, zaraz po tym usunę zdjęcie z forum i umieszczę je w znacznie bezpieczniejszym miejscu.

zrozpaczony9: Wchodzę w to.

tex59: Niebawem wracam...

Marcus bez dwóch zdań był caulfieldem. Nie miałam jednak pojęcia, kim byli pozostali. Nie wiedziałam też, jakie chore zdjęcie chcieli ani też czy uda mi się je zrobić. Ale musiałam się dowiedzieć, co jeszcze kryło się na tej stronie. Krążyłam po domu, szukając jakichś pomysłów. Może zainteresuje ich mrożony kurczak? A może położę się na łóżku i będę udawać martwą? Mogłabym też zapaść się gdzieś na wiejską drogę i upozować na ofiarę wypadku samochodowego. Hmm... kurczak jest zbyt słaby, a pozostałe dwa pomysły wymagałyby pokazania twarzy.

Zadzwoił telefon i posłuchałam wiadomości od Paula.

Hej, uważam, że nie powinnaś siedzieć teraz sama. O ósmej wpadnę z jakimś jedzeniem. Nie masz nic do gadania. A więc do zobaczenia.

Paul! Ubojnia jego taty! Spakowałam kilka rzeczy i wyjechałam z miasta w kierunku Fintry. Gdy zatrzymałam się jakieś pięćdziesiąt metrów od podjazdu, była za dziesięć piąta. Hala mieściła się w pięknej okolicy, niecały kilometr od domu Paula. Patrzyłam, jak wychodzą ostatni pracownicy, a tata Paula zamyka ogromne drzwi. Potem wysiadłam z samochodu z reklamówką z rekwizytami i zaczęłam okrążyć budynek w poszukiwaniu wejścia. Wszystkie drzwi były zamknięte na klucz, ale na tyłach znalazłam niewielkie otwarte okno. Kilka minut później zwisałam już głową w dół, zaczepiona pod kolanami o metalowy pręt przymocowany do sufitu. Miałam na sobie tylko majtki i koszulkę na ramiączkach. Koszulka opadła i zatrzymała się na staniku, odsłaniając napisane na brzuchu czerwoną kredką do ust „tex59”, „La Petite Mort” oraz dzisiejszą datę. Na głowie miałam jutowy worek zawiązany sznurkiem. Obok mnie, z racicami zaczepionymi na hakach, wisiała martwa świnia. Była rozcięta na pół, a z brzucha wypływały jej wnętrzności. Opuściłam bezwładnie głowę i pstryknęłam sobie kilka selfie, licząc, że któreś z nich wyjdzie w miarę dobrze.

Długo się wahałam, czy wrzucić to zdjęcie na forum. Wyglądałam na nim na równie martwą jak świnia i czułam się z tym okropnie. W końcu wrzuciłam je, usiadłam na kanapie i zaczęłam wpatrywać się w ekran, mając nadzieję, że odpowiedź nadejdzie, zanim jeszcze zjawi się Paul.

Rozdział 18

82 lata

Jasna cholera! Wreszcie zrozumiała i z wrażenia aż zwymiotowała na dywan. Czy wczoraj w nocy znowu do tego doszło? O rety, rety! Co oni zrobili jej przyjaciółce? Musi zadzwonić do Chrisa. Nie! Nie do Chrisa. Na policję. Nie! Do tej pory nie uwierzyli w ani jedno jej słowo, i zresztą nic dziwnego. Do Catherine! Miała gdzieś jej numer telefonu. Catherine dała go jej, zanim wyszła. Gdzie on był? W tej małej srebrnej książeczce na biurku? Nie, ta mała książeczka była do niczego. Zawierała różne numery, ale nie te, co trzeba. Czy Catherine wpisała swój numer do jej telefonu? Skąd, jej telefon już dawno zabrali.

Przejrzała książki stojące na półkach: same słowa i rysunki, ale żadnych numerów. Opróżniła szuflady: tylko ubrania, żadnego numeru. Zaczęła liczyć na głos, na wypadek gdyby przeczytała ten numer lub gdzieś go już usłyszała, a teraz mogłaby go sobie jakoś przypomnieć. Jeden, dwa, trzy... Ale nie mogła sobie nawet przypomnieć kolejnej liczby. Jeden? Czy numer do Catherine to jeden? No skądże znowu! Zajrzała do łazienki, pod łóżko. Przechyliła szafkę nocną i oparła ją o ramę łóżka. Pod spodem były przyklejone koperty z pieniędzmi i pudełka zapalek, a także coś jeszcze – co to było takiego? – ale nie znalazła żadnego numeru. Sprawdziła pod materacem i pod poduszkami. Oczywiście, nie było tam żadnego numeru! Ale po co w ogóle szukała jakiegoś numeru? Przypomnij sobie, przypomnij sobie, Rose. Wymiociny na podłodze. Coś sprawiło, że zwymiotowała. Poczula, że kręci jej się w głowie, usiadła przy biurku i zaczęła powoli oddychać. Zanim zwymiotowała, nagryzmoliła coś na kartce czerwonym długopisem.

ROSE – UWIERZ SAMEJ SOBIE. To miejsce jest chore i niebezpieczne. Nie zapisujesz tego z powodu mętliku, jaki masz w głowie. Zadzwon do Catherine! Powiedz jej, żeby poszła na policję. Jej może uwierzą. Tobie nigdy nie uwierzyli i popełnili straszny błąd.

Catherine! Ale gdzie ona mieszka? W Glasgow? Ale co w Glasgow?

Catherine!

Nie mogła dłużej tkwić w tym lochu. Musiała się spieszyć.

W pobliżu nikogo nie było. Jedyne odgłosy dobiegały z pokoju Nancy. Rose otworzyła wsuwkę zamek w drzwiach, przeszła na drugą stronę korytarza i zajrzała do środka: Gavin siedział w fotelu z poduszką na kolanach i oglądał telewizor. Droga wolna.

Z kartką w dłoni pobiegła do drzwi frontowych, a potem na przełaj przez pola.

10 lat

Trudno rozpalić ognisko w deszczu. Wszystkie gałązki były mokre, co do jednej. Te północne gałęzie pewnie zawsze będą mokre. Zmięła kartkę papieru w kulkę, starannie ułożyła wokół niej stos z najsuchszych gałązek, jakie udało jej się znaleźć, i nagle – bum! – nie miała zapalek. Musiała wrócić po nie na farmę. Biegła jak najszybciej, ale musiała gdzieś źle skręcić, bo farmy nie było tam, gdzie być powinna. Co to za miejsce? O Boże, gdzie ona zostawiła Margie? Pod drzewem. Gdzie jest to drzewo? Nad rzeką, w zakolu rzeki. W jakim zakolu? Nad jaką rzeką? Nie było tu żadnej rzeki, tylko same pola. Pola z lewej i pola z prawej, wszędzie pola. Żadnej rzeki ani żadnych drzew. O Boże, Margie, biedna Margie, gdzie ona ją zostawiła? Zgubiła ją!

Zaczęła tupać, tupała i tupała.

– Jesteś samolubną dziewczyną, Rose Price! Wstrętną, samolubną dziewczyną!

Upadła na ziemię, nie bacząc, że może podrapać sobie twarz. Zasłużyła na to.

Rozdział 19

Przez godzinę nikt mi nie odpisał. Na forum zapadła cisza, z wyjątkiem zrozpaczonego⁹, który ciągle głądził o przykrych okolicznościach śmierci swojej matki. Wyczerpana zamknęłam oczy i zasnęłam. Obudził mnie dopiero telefon.

– Catherine?

– Słucham?

– Tu Chris, wnuk Rose. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, ale dostałem twój numer od Marcusa. Dzwonię, ponieważ Rose znów uciekła i zastanawiałem się, czy nie poszła do ciebie. Pod łóżkiem znaleziono elektroniczną obrożę. Musiała ją czymś przeciąć.

– Nie, nie ma Rose u mnie. Zresztą chyba nawet nie wie, gdzie mieszkam. Dzwoniłeś na policję?

– Oczywiście. Obiecali przeszukać okolicę, ale na razie są zajęci i nie wiem, jak szybko się tym zajmą. Jestem właśnie w drodze z Aberdeen i sam nie mogę jej szukać, dlatego chciałem najpierw skontaktować się z tobą.

– Może jest w swoim dawnym domu albo u Natalie?

Chwila milczenia.

– No jasne.

– Mogę to sprawdzić.

– Nie, nie. W porządku, nie trzeba. Na pewno nic jej nie jest. Dzięki.

– Jesteś pewien?

Ale Chris już się rozłączył.

Natychmiast zadzwoniłam do Natalie i nagrałam jej wiadomość na pocztce głosowej. Wskoczyłam do samochodu i pojechałam do jej domu. Przecięcie obroży wydawało mi się początkowo dobrym pomysłem, ale teraz... o Boże, oby tylko Rose nie próbowała znów przeprowić się w pław przez rzekę.

Gdy Natalie nie odpowiadała na pukanie do frontowych drzwi, zaczęłam dobijać się od tyłu. Bez powodzenia. Jakaś wścibska sąsiadka wystawiła głowę ponad żywopłot.

– Co pani tam robi?

– Szukam tylko Natalie.

– Kim pani jest?

– Przepraszam, nazywam się Catherine Mann. Jestem przyjaciółką Natalie, znamy się przez Rose Price. Czy Natalie jest gdzieś w pobliżu?

– Prawdę mówiąc, nie. Brian wychodzi z siebie z niepokoju, bo nie wróciła wczoraj wieczorem do domu. Zostawił u mnie chłopców, a sam pojechał jej

szukać.

Z ogródka sąsiadki dobiegały krzyki i śmiechy. Synowie Natalie grali w piłkę.

– Dzwonił na policję?

– Jeszcze nie. Natalie zaczęła pracę przez agencję. Może po prostu wypadła jej jakaś pilna sprawa?

W drodze do domu znów spróbowałam dodzwonić się do Natalie. Poczta głosowa. Zadzwoiłam do Chrisa. Miał wyłączony telefon. Wybrałam więc numer Zielonej Przystani. Nikt nie odbierał.

Jadąc do Zielonej Przystani, zastanawiałam się, czy któryś z pracowników lub pensjonariuszy to czasem nie zrozpaczony⁹ albo elvis_odwalil_kite. Zakładałam, że świrów zawsze ciągnie do siebie, a nie było dla nich lepszego miejsca niż dom pełen umierających ludzi.

Harriet spłoszyła się na mój widok.

– Nie możesz tak po prostu tu wpadać!

Za późno. Sprawdziłam pokój Rose: był pusty. Od kiedy odeszłam, nie narysowała żadnego nowego rysunku, a przynajmniej żadnego nie mogłam znaleźć. Zresztą nawet gdyby był, to pewnie wyrzuciliby go do śmieci jak wszystkie pozostałe.

Pokój numer siedem był zamknięty, jak zwykle. W koszu pod dystrybutorem z wodą znajdowało się około pięćdziesięciu zużytych kubków. Wygląda na to, że wczorajsza noc była pracowita.

Harriet chodziła za mną krok w krok.

– Policja już jej szuka. Catherine, naprawdę nie możesz tak tu przychodzić.

– Czy ktoś zmarł ubiegłej nocy?

– Nie. Catherine, wiem, że przeżywasz teraz ciężkie chwile, ale muszę cię prosić o opuszczenie ośrodka.

Wrzuciłam do kosza pusty kubek.

– Dobra, już idę.

Gdy mijałam pokój numer trzy, zawołał mnie Jimmy:

– Hej, ślicznotko!

Harriet deptała mi po piętach.

– Mogę chociaż przywitać się z Jimmym?

– Masz pięć minut. – Harriet wzruszyła ramionami i pomaszerowała do kuchni.

Jimmy leżał w łóżku w piżamie. Zamknęłam za sobą drzwi, lecz utrzymywałam bezpieczny dystans.

– Czy ktoś zmarł tutaj wczoraj w nocy?

– Nie. Ja wciąż żyję!

– Widziałeś Rose?

– Nie. Słuchaj, nie masz przypadkiem odrobiny tej trawki? Była ekstra! Dostałem po niej napadu śmiechawki. Co to było, hawajski śnieg? Była tak dobra, że nie mogłem przestać chichotać.

Moje milczenie sprawiło, że poczuł się nagle nieswojo. Może domyślał się, co się zaraz stanie.

– Wiem o tobie, Jimmy.

– Ach, więc już wiesz.

Spodziewałam się, że będzie zawstydzony, zażenowany, okaże skruchę albo przynajmniej będzie próbował się usprawiedliwiać.

– Odsiedziałem swoje, Catherine.

Zmierzyłam go wzrokiem, ale on odpowiedział mi zimnym spojrzeniem, które tak mnie przeraziło, że czym prędzej wyszłam.

Gdy odwróciłam głowę, nie chcąc patrzeć w kierunku pokoju mamy, zauważyłam Gavina czytającego coś Nancy. Wyglądał jak uroczy starszy pan. Zaczęło mnie mdlić. Wybiegłam na zewnątrz i pochyliłam głowę, żeby znów napłynęła do niej krew, po czym kilka razy głęboko odetchnęłam. Wszędzie wokół stóp widziałam świeże ślady opon. Całe mnóstwo.

Poszłam na tył ośrodka i zajrzałam przez okno do pokoju numer siedem. Nie zwróciłam na to uwagi, gdy zabierałam stamtąd mamę, ale po tym, jak Rose rozbiła szybę, wstawiono nową, a do ściany z zewnątrz przymocowano metalową kratę niczym w więziennej celi. Powieszono też nowe zasłony. Nie byłam więc w stanie nic zobaczyć.

Marcus nie reagował na dzwonek, ale drzwi były otwarte, więc pozwoliłam sobie wejść. Mieszkanie przypominało chlew. Wszędzie wały się puste butelki i kipiące petami popielniczki. Marcus spał w pełnym ubraniu na kanapie w salonie, miał półotwarte usta. Pewnie urządzał wczoraj imprezę. Nie próbowałam go obudzić. Czulałam do niego odrazę, a to miejsce napawało mnie przerażeniem. Musiałam stąd uciec.

Pobiegłam nad rzekę, nigdzie jednak nie natknęłam się na Rose. Ale na pewno była tu niedawno. Stało tam starannie ułożone w kształt stożka ognisko, które czekało tylko, żeby je rozpałić. Rose musiała pewnie pobiec po zapalki i zabłądziła.

Zadzwoiłam pod numer starego telefonu mamy z nadzieją, że Rose zapamiętała, gdzie go ukryła i jak powinna z niego korzystać. Rozległ się sygnał, ale nikt nie odebrał. Postanowiłam wrócić do domu, na wypadek gdyby Rose dowiedziała się, gdzie mieszkam, i usiłowała mnie tam znaleźć.

Z domu znów zadzwoniłam do Natalie i Chrisa. Chris powiedział, że nadal nie miał żadnych wieści od Natalie i wciąż nie natrafił na ślad Rose. Już miałam

zatelefonować na policję, kiedy na forum pojawiła się wiadomość.

caulfield: Ach, więc jesteś jednym z tych. Mamy tu całkiem sporo takich jak ty.

tex59: Serio? Z chęcią zobaczę, co ich kręci. Co możesz mi pokazać?

caulfield: Są pewne zasady.

tex59: Zgoda.

caulfield: Wykasuj fotkę, którą tu opublikowałeś, i całą tę rozmowę. Ja usunę ją z serwera. Kliknij w Odkryj na dole strony. Nazwa użytkownika: fajniebyctrupem. Hasło: 3hguz9c7dC.

tex59: Super, dzięki.

caulfield: A teraz usuń, usuń, usuń.

tex59: Już się robi.

Przygotowałam się na równie szokujące i obrzydliwe zdjęcia jak moje, pełne surowego mięsa, martwych zwierząt, być może nagości i sama nie wiem czego jeszcze. Ale kliknięcie w napis Odkryj wciągnęło mnie o wiele głębiej, niż sięgają granice szoku i obrzydzenia. Gdy już się tam znalazłam, wydało mi się niemożliwe, bym mogła jeszcze kiedyś wrócić na powierzchnię, do świata, w którym ludzie pracują jako księgowi i kierowcy autobusów, w którym ludzie zakochują się i odkochują, dwa do trzech razy w tygodniu uprawiają seks w pozycji misjonarskiej, oplakują śmierć bliskich, organizują pogrzeby i kłócą się o pieniądze ze spadku oraz wyrzucanie zwiędłych kwiatów. „Dzisiaj każdy znajdzie w sieci coś dla siebie”, powiedział kiedyś Chris.

W społeczności La Petite Mort wierzymy, że:

Narodziny, seks i śmierć to najbardziej intensywne doznania.

Intensywne przeżycia sprawiają nam przyjemność.

W czasach Szekspira orgazm nazywano małą śmiercią. Wynika to z tego, że chwile szczytowania i śmierci są do siebie bardzo podobne. Moment śmierci wzmacnia doznania seksualne.

Śmierć to transcendencja, wobec której czujemy się bezsilni.

Bezsilność jest seksowna.

Osoba posiadająca władzę nad życiem i śmiercią jest wyjątkowo atrakcyjna seksualnie.

Jeśli byłeś zamieszany w czyjś śmierć lub byłeś jej świadkiem, czujesz się seksowny.

Jesteś Bogiem.

Na La Petite Mort dzielimy się naszymi pierwszymi doświadczeniami:

rozbrykany_umarlak: Mój tata był rzeźnikiem. Gdy miałem pięć lat, zabrał mnie do rzeźni. Pamiętam, jak po raz pierwszy udawałem tam umarłego. Leżałem na stole rzeźniczym obok zabitej owcy. Pewnego razu zabrałem tam mojego najlepszego kolegę, żeby razem ze mną bawił się w trupa. Nie był w tym dobry,

ciągle się wiercił i nudził. To była moja ulubiona zabawa. I nadal jest.

mistrz_reżyserii: Moja ciotka była zapaloną kinomanką. Raz w tygodniu zabierała mnie do kina, a gdy miałem piętnaście lat, zaczęła wprowadzać mnie po kryjomu na filmy dozwolone od osiemnastego roku życia. Pierwsza scena śmierci, jaką pamiętam, pochodziła z *Dzikości serca*. Ktoś z was widział? O rety, kiedy ta dziewczyna ranna w wypadku samochodowym umiera na oczach bohaterów! Grzebie palcami we własnym mózgu! Potem zacząłem kupować na DVD filmy z moimi ulubionymi scenami i w kółko je oglądałem. Pamiętam, jak po raz pierwszy się masturbowałem. Przy horrorze *Kult* (wiem! jako nastolatek łatwo się podniecałem!). Mama i tata poszli na tenisa, więc zamknąłem się na klucz i zrobiłem sobie dobrze. Mocne przeżycie! Nigdy nie miałem wyrzutów sumienia. Jak dobrze porozmawiać z ludźmi, którzy nie uważają, że to coś nienormalnego! Uwielbiam tę stronę. Dzięki, La Petite Mort. xxxx

coolzombie: LOL, rozbrykany_umarlak! Jako dzieciak najbardziej lubiłem bawić się w kostnicę. (Całe szczęście, że mieliśmy ją w piwnicy, tata jest dyrektorem zakładu pogrzebowego!!) Najlepsza zabawa ever. Nie mogłem tylko namówić moich kumpli, żeby się przyłączyli. Ale masz całkowitą rację, ta strona jest zajekurwabista. Dzięki niej czuję się z sobą dobrze, bo wiem, że nie jestem sam.

burke-i-hare: Naprawdę nie jesteś sam, coolzombie! Dlaczego ludzie uważają, że śmierć jest taka brzydka? Przecież nie ma nic piękniejszego na świecie.

Witaj, Marcus:

caulfield: Mój pierwszy raz zdarzył się, gdy miałem piętnaście lat. Miała przezroczystą, typową dla Irlandki skórę. Byłem zakochany w jej skórze. Nigdy tego nikomu nie mówiłem, ale gdy umarła, doszedłem, nawet się nie dotykając. Wciąż pamiętam zarys jej sutków. Po tym doświadczeniu zacząłem widzieć śmierć praktycznie wszędzie, prawdopodobnie ze względu na miejsce, w którym mieszkaliśmy z rodzicami, zresztą ja nadal w nim mieszkam. Nie chcę za wiele zdradzać, ale śmierć jest tutaj wszechobecna. Oglądałem ją nieraz i zacząłem notować szczegóły. Byłem zafascynowany różnicami pomiędzy nadziejami ludzi na to, w jaki sposób umrą, a tym, jak umierali w rzeczywistości. Zacząłem robić im zdjęcia. Czy to nie fascynujące? Byłem ciekaw, czy można uchwycić w oczach umierającego gasnącą nadzieję, w której miejsce pojawia się rozczarowanie, gniew albo cierpienie. A może nadzieja jest niewłaściwym słowem – w końcu niewiele osób żywi nadzieję, że umrze. Interesowałem się wtedy również życiem pozagrobowym – czy umarli widzą siebie, gdy opuszczają własne ciała? Czy istniał jakiś inny świat, gdzieś w nogach ich łóżek? Teraz już tak bardzo mnie to nie interesuje – to chyba lęki wieku dojrzewania sprawiły, że miałem taką obsesję na punkcie nieba i piekła. W tym momencie fascynują mnie tylko piękno i potęga śmierci. Ach, jak dobrze móc o tym porozmawiać. I pisać o tym! A przy okazji

mam dobrą radę: udawajcie, że pracujecie nad powieścią kryminalną, a wtedy możecie pisać o wszystkim, co was kręci, wyszukiwać w sieci, cokolwiek zechcecie, a jeśli ktoś was przyłapie, będziecie mieli doskonale wytłumaczenie! To dla mnie rodzaj asekuracji. Pamiętam, jak dobrze się poczułem, gdy po raz pierwszy wrzuciłem tu zdjęcie. Nie wychodziłem z sypialni, dopóki nie pojawił się pierwszy komentarz, a stało się to dopiero dwa dni później. I właśnie w ten sposób poznałem elvis_odwalil_kite. Siemasz, Elvis!

elvis_odwalil_kite: Jasna sprawa, stary!

zrozpaczony9: To największe tabu ze wszystkich, nic nie może się z nim równać, więc jak mógłbym nie chcieć go przekroczyć?! Stajesz się voyeuem, naruszasz najbardziej intymny moment w życiu. Jesteś niczym Bóg.

agonalne_drgawki: To nieprawda, że ludzie tego nie pragną! W chwili śmierci następuje gwałtowny wzrost aktywności mózgu, faceci dostają erekcji. To znany fakt, że wielu powieszonych mężczyzn miało wytrysk dokładnie w chwili, gdy pękł im kark. Wiem, sam to widziałem (choć nie podczas wieszania). Mój dziadek miał wzwód tuż przed tym, jak zmarł. A był przecież starym prykiem i nie stawał mu już pewnie od lat. Sexy! Zresztą nie robimy przecież nic złego.

oddany_mezulek: Mieliśmy z żoną takie same zainteresowania. Ach, jak mi jej brakuje. Kiedy się do siebie zalecaliśmy – to było całe wieki temu! – zapytała mnie, o czym zdarza mi się fantazjować. Nie zamierzałem wcześniej dzielić się z nią moimi upodobaniami, ale wydaje mi się, że wiedziała o nich od początku, od chwili, gdy tylko na mnie spojrzała. Być może w naszych oczach było coś, co przyciągnęło do siebie dwie pokrewne dusze. Za bardzo jeszcze się wtedy bałem, żeby jej się przyznać. Wracaliśmy właśnie z kina. I nagle ona z tym wyskoczyła! Zanim nawet się pocałowaliśmy! Fantazjowała o tym, żeby ktoś wykopał ją z grobu i posiadł! Moja żona jeszcze żyje, ale cierpi na demencję, w ogóle nie mówi, ma nieobecny wyraz twarzy. Zanim jej stan się pogorszył, przyrzekłem jej (przyrzekałem raz po raz – zmusiła mnie do tego!), że zrobię to z nią zaraz pierwszego dnia. I słowa dotrzymam. Choć nie wiem jeszcze, jak uda mi się to zrealizować (będziesz mógł mnie skontaktować ze swoim staruszkiem, coolzombie? Dalej działa w branży pogrzebowej?). To wszystko, dla czego jeszcze żyję. Wciąż nieustannie się z nią kocham. Nie widzę przyjemności na jej twarzy, ale WIEM, że ona ją czuje. Wiem, że jest ze mnie dumna.

Uroczą historia, Gavin. Twoja katatoniczna żona to prawdziwa szczęściara.

coolzombie: Mogę zrobić nawet coś więcej, oddany_mezulek. Teraz to zakład pogrzebowy ojciec i syn! Daj mi znać, gdy będziesz mnie potrzebował. Z radością pomogę bratniej duszy.

elvis_odwalil_kite: To było w trakcie trzeciej trasy koncertowej po Wielkiej Brytanii z moim zespołem. Pewnej nocy po koncercie jedna z dziewczyn z chórków przedawkowała heroinę. Nie sądzę, bym dał radę ją uratować, nawet

gdybym spróbował, ale wiem, że nie byłem w stanie przerwać tego, co akurat robiłem: stałem nad nią, patrzyłem i filmowałem. Sam też byłem nieźle naćpany! To wszystko wydawało się magiczne, musiałem to mieć nagrane. Wideo wciąż jest dostępne, jeśli macie ochotę zerknąć (wejdźcie na [Filmy](#), a potem na [elvis odwalil kite873](#)). Oglądałem je przynajmniej raz w tygodniu. Zobaczcie, jak dziewczyna patrzy w kamerę, prosto w obiektyw, aż do samego końca. Jak gdyby przez obiektyw mogła przedostać się do życia pozagrobowego. Po tym doświadczeniu na serio wciągnąłem się w filmowanie. Sprawdźcie [Filmy 854-1058](#). Wszystko to moje dzieła! Ogromny wybór. Nie sposób wyrazić, jak bardzo ta strona odmieniła moje życie.

Witaj, Jimmy.

Zapuszczałam się coraz głębiej i głębiej, aż do galerii zdjęć. Otworzył się przede mną cały świat martwych ludzi: noworodków, niemowląt, dzieci, nastolatków, dorosłych, ludzi w średnim wieku, starców. Widziałam nagie zwłoki, okaleczone zwłoki, zwłoki ze spokojnym wyrazem twarzy, ofiary wypadków drogowych. Widziałam żywych dotykających zmarłych, żywych leżących ze zmarłymi i uprawiających z nimi seks.

Porzygałam się.

Zadzwoiłam do Chrisa. Ciągłe szukał Rose, wydawał się zdenerwowany.

– Natknęłam się na coś, Chris. Zaraz dzwonię na policję. Marcus, Jimmy i Gavin, wszyscy oni są zaangażowani w stronę internetową o nazwie La Petite Mort.

– Co? Jak na to natrafiłaś? Ożeż kurwa! Tylko zaparkuj. Nie rozłączaj się... Dobra, stoję w zatoczce. Dobrze się czujesz?

– Nie! Chris, tam jest zakładka z filmami i nie mogę się zdobyć na to, żeby je obejrzeć.

– Nie rób tego. Nie oglądaj ich. Możesz zostać oskarżona! Natychmiast dzwonię na policję. Znam tam ludzi, którzy zajmują się tego typu rzeczami. La Petite Mort?

– Tak. – Płakałam. – To tak obrzydliwe, że... trudno opisać.

– Już do nich dzwonię i każę im przyjechać prosto do ciebie. Na pewno wszystko w porządku?

– Nie, ale... Nic mi nie będzie. Poczekam tu na policję. Niech przyjadą jak najszybciej!

– Jasne, poczekaj tam. Jaki jest twój adres?

– Dowanhill, Dowanside Road 13.

– Nie oglądaj tego gówna, dobrze? Nie rozmawiaj z nikim aż do przyjazdu policji. Wyłącz telefony, zamknij drzwi na klucz.

- W porządku.
 - I nie wpuszczaj nikogo poza policją.
 - Dobrze.
- ***

Zamknęłam na klucz tylne i frontowe drzwi, wyłączyłam komórkę i odłączyłam z gniazdka telefon stacjonarny. Miałam też zamknąć komputer, gdy zauważyłam na górze strony link prowadzący do działu Filmy. Przesuwając strzałką w dół, przejrzałam odnośniki do podstron około dwudziestu użytkowników, w tym elvis_odwalil_kite, które zawierały zapewne amatorskie nagrania. Myśl o obejrzeniu któregoś z nich nappełniała mnie wstrętem, ale gdy zobaczyłam, że jedna ze stron nosiła nazwę Wydarzenia, nie mogłam się powstrzymać. To zostało opublikowane niedługo przed śmiercią mojej mamy:

Środowy pokaz specjalny: atrakcyjna 49-latka z włosami przyprószonymi siwizną. Seans zaplanowano na 00.30 w nocy, plus minus. Dostępnych dwanaście biletów wstępu po 200 funtów od osoby. Płatne gotówką przy wejściu. Pytania o wskazówki i bliższe szczegóły należy kierować w bezpieczne miejsce. Proszę nie wносить aparatów i kamer.

A to z kolei opublikowano w ostatni czwartek, niedługo po śmierci mamy:

Przepraszamy za odwołanie w ostatniej chwili wczorajszego pokazu specjalnego. Niestety nie mieliśmy na to wpływu. Tymczasem czy widzieliście nasze najnowsze wideo?

Wkrótce więcej informacji o nowych wydarzeniach.

Pod tym wpisem znajdowały się dziesiątki skarg. Ludzie jechali po kilka godzin. Domagali się zwrotu pieniędzy za paliwo. Ludzie byli wściekli. Tracili zaufanie do organizatora pokazów. Żądali darmowych wejściówek przy najbliższej okazji. A to pojawiło się wczoraj:

Dzisiaj nieplanowany pokaz specjalny! Mamy dla Was niedzielną ofertę! Przepraszamy za zamieszczenie ogłoszenia w ostatniej chwili, ale jak wiecie, nie zawsze da się to zaplanować z wyprzedzeniem. To będzie jednak warte Waszego czasu! Zdrowa 45-latka z klasą, szczupła, ale nie wychudzona, wysportowana. Włosy: własne, ciemne. 350 funtów od osoby. Płatne gotówką przy wejściu. Pytania o wskazówki i bliższe szczegóły należy kierować w bezpieczne miejsce. Proszę nie wносить aparatów i kamer.

Ostatni post został opublikowany dziś rano:

Rekordowa liczba wyświetleń! Wczorajszy nieplanowany pokaz specjalny okazał się największym hitem. Ponad 1000 odsłon, a ich liczba rośnie z minuty na minutę. Kliknijcie [tutaj](#), a przekonacie się dlaczego! Pokaz wywołał również zaciętą licytację pomiędzy 45 chętnymi widzami. Po tym, jak zobaczyli zdjęcie naszej gwiazdy, byli gotowi zapłacić trzy razy tyle, ile wynosiła cena wyjściowa.

Jeszcze raz: kliknijcie [tutaj](#), żeby przekonać się dlaczego. Gratulacje, La Petite Mort! 5*!!

Zanim zdążyłam się zastanowić, kliknęłam [tutaj](#), żeby przekonać się dlaczego.

Zanim wideo wystartowało, wiedziałam już wystarczająco dużo. Wiedziałam, że sprzeciwiając się woli mojej mamy i zawracając spod promu, uratowałam ją. A raczej uratowałam jej śmierć. Zrozumiałam wreszcie, że właśnie to chciała powiedzieć Rose, gdy pewnego razu dotarła na komisariat policji. Chciała „ratować śmierć”. Wiedziałam, że Rose od początku miała we wszystkim rację: ludzie nie byli bezpieczni w Zielonej Przystani, a środowe dzieci były pełne żalości i nie chciały umierać bez godności. Wiedziałam, że część osób oglądała to przez internet, a inni za odpowiednią opłatą obserwowali wszystko w pokoju, w którym to się działo, a patrząc, sami „umierali małą śmiercią”. Wiedziałam, że Marcus jest wyjątkowo odrażającym typem. Wiedziałam, że Jimmy jest notowanym przestępcą seksualnym, a Gavin gwałcił swą pogrążoną w wegetatywnym stanie żonę. Nie musiałam wiedzieć już nic więcej. Zresztą czy mogło być jeszcze coś więcej?

Niedzielnny pokaz specjalny!

Pusty ekran: 1087 wyświetleń, 57 komentarzy.

Niesamowite!

Uroczą przed, zachwycającą potem!

Rozpieszczacie nas!

Nie mogę przestać oglądać.

Nigdy nie przestanę tego oglądać!

Chwilę później zamiast czarnego ekranu pojawił się obraz z jasno oświetlonego pokoju numer siedem. Pomieszczenie było pełne widzów. Dwanaścioro, może nawet więcej osób. Kamera pokazywała tylko ich nogi i stopy. Głównie mężczyźni, tylko trzy kobiety, jeśli dobrze się zorientowałam. Różne rodzaje butów: adidas, sandały, wypastowane półbuty.

Nie wiem, kogo spodziewałam się ujrzyć na łóżku, ale gdy kamera zatrzymała się w końcu na nim, zaczęłam wrzeszczeć. Potrzebowałam papierowej torebki, żeby zacząć normalnie oddychać i nie zemdleć. Natalie, biedna Natalie.

Co Natalie powiedziała mi przez telefon, gdy jechałam na północ? Połączenie było kiepskie, słyszałam tylko strzępy zdań. „Zamierzam wejść... na drugi dzień, jeśli on wyjdzie”. Może więc włamała się do mieszkania Marcusa i została przyłapana?

Nieplanowany niedzielny pokaz specjalny! Była przytomna, ale mocno otumaniona. Po twarzy płynęły jej łzy. Powtarzała tylko słabym głosem: „Moi chłopcy! Moi kochani chłopcy!”. Jej ciche wołania spowodowały wrzawę wśród obserwujących. Usłyszałam zgrzyt rozsuwanych zamków błyskawicznych.

Westchnienia rozkoszy. Tymczasem liczba wyświetleń na dole strony ciągle rosła. Zamknęłam laptop. Dzięki Bogu rozległ się dzwonek. Przyjechała policja.

Założyłam wcześniej łańcuch na drzwi, więc najpierw uchyliłam je lekko, żeby zobaczyć, kto za nimi stoi. To nie była policja, ale Chris.

– Chris! Wejdz, szybko!

Zdjęłam łańcuch i otworzyłam drzwi. Chris zamknął je za sobą. Wyglądał na równie przerażonego jak ja.

– Rozmawiałaś z kimś?

– Nie, ale kurwa mać, Chris, to jest okropne. Oni zabili Natalie.

Chris poszedł za mną do salonu.

– Nie posłuchałaś mnie.

Sięgnęłam po laptop, chcąc mu pokazać, co przed chwilą odkryłam.

– Proszę?

– Co mówiłem ci wcześniej przez telefon?

– Żebym z nikim nie rozmawiała. I nie rozmawiałam.

– Zgadza się, dobrze. Ale co jeszcze powiedziałem?

– Hm...

Szedł w moim kierunku. Był nieco zbyt blisko. Jedną rękę schował za plecami, coś w niej trzymał.

– Powiedziałaś, żebym nie...

– ...żebyś nie oglądała tego gówna i nikogo nie wpuszczała do domu. Z wyjątkiem policji.

Śmierć

Rozdział 20

82 lata

Królowa, czerwone usta. Królowa, czerwone usta. Królowa. Czerwone usta.

Rose powtarzała to raz po raz, przedzierając się przez kolejne pole z nadzieją, że idzie we właściwym kierunku. Była przemoknięta, ale nie wiedziała dlaczego. Wiedziała jednak, że musi się dostać z powrotem do Zielonej Przystani.

Królowa, czerwone usta. Królowa, czerwone usta.

Dlaczego wciąż to powtarzała? Och, ta stacja benzynowa wyglądała znajomo. Czy to ta naprzeciwko Zielonej Przystani? Wyglądała jak każda inna. Och, a czy to lustra? Na końcu podjazdu powinny być lustra na słupach. Nie, to nie lustra. To nie była ta stacja, na której Chris kupował jej czasem chipsy Doritos, jeśli ładnie go poprosiła. Chris mówił czasami: „Nie ma sprawy, babciu, ale musisz mi obiecać, że dobrze je przeżujesz przed połknięciem. Te chipsy są twarde i ostre. Pamiętasz, jak raz nie pogryzłaś ich dobrze? Niemal się zadławiłaś, prawda?”. Kochany wnuk, troszczył się o nią. Chronił ją, dbał o jej bezpieczeństwo. Ale też strasznie się rządził, ten Chris. Chris z pięknie wyrzeźbionymi rysami twarzy odziedziczonymi po Vernonie oraz pięknymi dziecięcymi ustami, których nie odziedziczył po nikim, były całe tylko jego. Piękne usta. Takie czerwone.

Królowa. Chris.

Było jej zimno. Dlaczego była mokra?

– Dobrze się pani czuje? – Ktoś zauważył ją przy dystrybutorach paliwa. – Jest pani cała przemoczona. Jak się pani nazywa?

– Nic mi nie jest. Idę właśnie do domu.

Mężczyzna miał w samochodzie dwójkę dzieci. Rose wykorzystała kiedyś jego postać w książce – zwłaszcza ten pełen wahania wyraz na jego twarzy. W samochodzie miał dwoje dzieci. W tym najwyżej rocznego bobasa, który był cały zapłakany. A przy zaparkowanych ciężarówkach błąkała się zmoknięta staruszka. Dzieci? Zmoknięta staruszka? Dzieci? Zmoknięta staruszka?

– A czy ten dom jest blisko?

– Jestem pewna, że tak!

Rose szła dalej, tym razem po chodniku. Minęła punkt bukmacherski, sklep z używanymi rzeczami, piekarnię. Trzech nastolatków zaczęło się z niej śmiać. O nich też kiedyś napisze. Może nawet ich zabije. Ha!

Czerwone usta, czerwone usta. Niedobrze, niedobrze. A nawet bardzo źle.

Rozmyślała o tym, od kiedy Chris zabrał ją do wyjścia z labiryntu. Przywitał się z właścicielem jak ze starym znajomym, rozpakował jej rzeczy, odwiedzał ją częściej niż krewni pozostałych pensjonariuszy razem wzięci, a także znacznie częściej, niż kiedy mieszkała na West Endzie.

W Chrisie było wiele dobrych rzeczy. Miał fantastyczny gust. Potrafił słuchać. Był dobry. I niesamowicie przystojny. Wcześniej nie miała wobec niego większych zastrzeżeń. Przecież większość dziewięciolatków uważa martwego gołębia za coś fascynującego, prawda? A może nie? Ale po przeprowadzce do Zielonej Przystani Rose zaczęła głębiej się nad nim zastanawiać. Spędzał mnóstwo czasu z tym oślizgłym właścicielem i często przesiadywał w pokoju Jimmy'ego. A kiedy przyszedł raz późno w nocy z wizytą, przytrzymał ją siłą, a Harriet wepchnęła jej do ust dwie pigułki. Rose udawała, że zasnęła, i słuchała, jak Chris stuka coś przez chwilę na swoim komputerze. Nagle Marcus otworzył drzwi i powiedział: „Szybko, już jadą. Włosy i makijaż!”. A Chris odparł: „Już się robi”. Potem klepnął ją w policzek, żeby sprawdzić, czy na pewno jest nieprzytomna, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wtedy Rose wypluła pigułki. Kolejny samochód zaparkował na podjeździe. Skąd wzięło się tu aż tyle samochodów o drugiej w nocy? Szkoda, że siostra Gabriella nie miała dyżuru, ale niestety wyszła kilka godzin temu. Ta pielęgniarka wyglądała jak prawdziwa suka, ale miała dobre serce. Rose była zbyt wystraszona, by wyjść z pokoju. Słyszała, jak tylne drzwi otwierają się i zamykają, następnie otwierają się i zamykają drzwi do pokoju w głębi, widziała ludzi wysiadających z aut i okrążających budynek... Zastukała w ścianę – był to tajny szyfr, którym porozumiewały się wspólnie z Beatrice. Bam. Bam, bam-bam-bam-bam. Bea zawsze odstukiwała, uspokajając ją: „Jestem tu, Rose, u mnie wszystko w porządku”. Ale tym razem nie odpowiedziała. Nagle uwagę Rose zwrócił laptop Chrisa, który wciąż stał otwarty na biurku pod oknem. Dopiero po chwili zrozumiała, co na nim widzi: była to Bea na szpitalnym łóżku na kółkach. Chris nachylał się nad jej twarzą, dotykał jej ust, aż stały się tak samo czerwone jak jego. Marcus i Jimmy przyglądali się temu z drugiej strony. Gavin wtoczył do środka Nancy na wózku i oboje zajęli miejsca wokół łóżka.

Chris wracał do pokoju. Rose wskoczyła szybko do łóżka i udawała, że śpi, gdy tymczasem on zabrał z sobą laptop. Rose poderwała się, uchyliła odrobinę drzwi i zobaczyła, że jej wnuk skręca w prawo na końcu korytarza. Usłyszała szcęk zamykanych drzwi. Wszedł do pokoju numer siedem. Właśnie tam jest Bea, pomyślała Rose, a oni ją filmują. Musi coś zrobić. Musi do kogoś zadzwonić. Ale gdzie był jej telefon? Mogła skorzystać z tego, który był w biurze. Chwila, z czego miała skorzystać? W jakim biurze?

Bzzz. Bzzz.

Sprawdziła godzinę. Piętnaście po trzeciej nad ranem. Chyba znów na jakąś

godzinę musiała zagubić się w labiryncie.

Bzzz. Harriet podniosła słuchawkę w przylegającym biurze.

– Dobrze, proszę pana – powiedziała. – Już włączam czajnik na wodę.

Rose słyszała, jak Harriet przygotowuje coś do jedzenia i picia w jadalni, później tłum ludzi przeszedł korytarzem. Wszyscy weszli do jadalni i zamknęły się za nimi drzwi. Powinna sprawdzić, co się dzieje z Beą! Przemknęła na palcach pustym korytarzem i przekręciła gałkę w drzwiach pokoju numer siedem. Nie weszła do środka, tylko zerknęła przez szparę. Bea! Z jej zwiotczałych ust wypływała z charkotem spieniona ślina. Na trójnogu w kącie stała kamera. Ci ludzie obserwowali, jak Bea umiera! Filmowali ją! Powinna zawiadomić policję!

Rose zamknęła drzwi do swojej sypialni, gdy ludzie zaczęli wychodzić z jadalni i zmierzać z powrotem do pokoju z Beą. A więc antrakt trwał tylko dziesięć minut. Antrakt?

A potem znów straciła na chwilę poczucie czasu.

Gdy nazajutrz rano pożegnała Beę, wszystko to do niej wróciło i narysowała pierwszy z wielu rysunków przedstawiający całą tę scenę.

Czuła coś dziwnego. Co to za uczucie? Zatrzymała się i dotknęła swego brzucha. Dobiegały z niego dziwne dźwięki. Głód! Przydałyby jej się doritos.

Sklep na rogu był pełen rozmaitych smakołyków. Rose miała ochotę na coś więcej niż doritos. Położyła na ladzie dużą tabliczkę mlecznej czekolady, butelkę dietetycznej coli, dwie paczki chipsów serowo-cebulowych, duże opakowanie serowych doritos i słuchała pikaniasy.

– Przepraszam?

Kasjerka sprawiała wrażenie gburowatej. Niezadowolonej. Była gruba. Tak, o niej też mogłaby napisać. Jedno z dzieci na farmie mogłoby kraść. Na przykład Wendy. Tilly odniosłaby z powrotem ukradzione słodycze, a ta zrzędlawa kasjerka by ją na tym przyłapała. O tak! „Pik, pik”, robiła kasa.

– Słucham?

O rety, musiała powiedzieć „pik, pik” na głos.

– Wydawało mi się, że powiedziałam to tylko w myślach – roześmiała się.

– Pięć funtów dwadzieścia pensów.

Kasjerka zaczęła pakować zakupy. Robiła to bardzo starannie! Porządnie i elegancko. Gdy zapakowała wszystko do końca, podniosła cienką niebieską reklamówkę, żeby sprawdzić, czy dobrze się spisała i czy reklamówka wytrzyma ciężar. Ale kiedy Rose wyciągnęła rękę, by wziąć od niej zakupy, kobieta cofnęła się, wpatrując się w nią intensywnie. Ta chwila zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

– To moje.

– Pięć dwadzieścia.

Ach, no racja. Pieniądze. Musiała zapłacić tej zrzędzie za zakupy. Przecież nie będzie kraść jak Wendy!

Sięgnęła do torebki w kwiaty, którą zawsze nosiła przy sobie, ale na jej ramieniu nie było długiego paska, a torebka nie objęła się o jej biodro jak zwykle. Musiała ją gdzieś zostawić.

– O nie, zapomniałam torebki. Zaraz po nią pójde. Czy może pani zatrzymać te rzeczy do mojego powrotu?

Kasjerka westchnęła. Postawiła reklamówkę pod ladą i wróciła do przerwanej lektury czasopisma.

To miejsce nie miało kompletnie charakteru. Betonowe klocki domów wyrastały z krótkiego pasażu sklepów niczym kępka siwych rozwichrzonych włosów. Okolicę przecinała na pół szeroka, czteropasmowa droga. Rose uwielbiała spacerować, zawsze to lubiła. Popatrzyła na grupkę chłopców na przystanku autobusowym. Musiało być około dwunastej. Chłopcy palili papierosy.

– Nie powinniście być teraz w szkole?

Największy żartowniś z paczki burknął do niej:

– A ty nie powinnaś gnić na cmentarzu?

Liczba uśmierconych bohaterów w jej kolejnej książce stopniowo rosła. Po drugiej stronie drogi znajdował się duży hotel, równie betonowy i klockowaty jak otaczające go domy. Przez obrotowe drzwi wszedł do środka biznesmen w garniturze i z aktówką w ręce. Na jaką to nudną konferencję tu przyjechałeś? Kilka sekund później z hotelu wyszła para młodych ludzi, trzymali się za ręce. Dobrze wiem, co tam porabialiście.

– Przepraszam!

Obok Rose zatrzymał się samochód, szyba zjechała w dół. Młoda, może dwudziestopięcioletnia kobieta uśmiechnęła się do niej.

– Zgubiłaś się? – spytała ją Rose.

– Miałam właśnie zapytać o to samo! Gdzie się pani wybiera?

– Ja...

Ta dziewczyna miała kapitalne ciuchy. Zwiewną kremową bluzkę, brązowe kozaki do kolan. Była taka ładna.

– Nie potrzebujesz wcale tego całego makijażu! Może spróbujesz na początek obejść się bez szminki przez dwa dni w tygodniu i zobaczysz, jak się będziesz czuć. Tak samo ludzie robią, odstawiając alkohol.

– W porządku!

Miała takie czerwone usta.

– Och! Potrzebuję pomocy. Możesz mi pomóc?

– Jasne. Mam panią podrzucić do domu? Wie pani, gdzie mieszka?

– Nie, nie. To znaczy, tak. Wiem. Ale to nie z tym potrzebuję pomocy.

Potrafisz dochować tajemnicy?

– Będę trzymać buzię na kłódkę! – Dziewczyna zakręciła palcami przy ustach, jakby je zamykała na kluczyk. Miała przeuroczy uśmiech.

– Miałabyś o wiele ładniejszy uśmiech bez tej szminki. Zrobisz to? Spróbujesz nie malować ust? Na przykład jutro? Zobaczysz, jak się z tym poczujesz. Założę się, że spotka cię wtedy jeszcze więcej komplementów.

– Zrobię to, jeśli zdradzi mi pani swoją tajemnicę.

Och, no tak. Tajemnica.

– To... hmm... Jak masz na imię?

– Sophie. Sophie Craig. A pani?

– Rose Price. Jestem pisarką.

– Rose Price? Chyba nie... Tilly? Rose Price! O rany. Uwielbiałam pani książki jako dziecko. Chce mi pani zdradzić swoją tajemnicę?

– Z chęcią.

– Wciąż je czytam. Te książki mnie uspokajają. Wieczorem przed ostatnimi egzaminami w kółko czytałam tę część o krowie Josie. O tym, jak Tilly szła przez całą noc, prowadząc ją na pastwisko farmera Grega. To moja ulubiona część.

– W prawdziwym życiu zjadłam Josie.

Dziewczyna zbladła i Rose pożałowała, że wyjawiała jej prawdziwą wersję tej historii.

– Byłam strasznie głodna.

– Rose, jestem pani wielką fanką. Proszę pozwolić się podwieźć. Podrzucę panią pod sam dom.

Rose nigdy nie miała dobrej orientacji w terenie. Zawsze powtarzała sobie, że pisarzom to niepotrzebne. Wszystkie dobre pomysły zawsze brały się ze spacerów i wędrowek bez celu.

– To w Kelvindale?

– Tak, tak, Kelvindale.

– A więc w lewo w Hyndland Road? Tam przed nami jest Hyndland Road.

Rozpoznaje pani?

Rozpoznała!

– Tak! Tu w lewo. I znowu w lewo. Widzisz tę uliczkę za domem duchów?

– Domem duchów?

– Zawsze go tak nazywam. Muszą mieszkać w nim duchy, nie sądzisz? Całe mnóstwo. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tam wchodził lub stamtąd wychodził. Musi być zamieszkały przez duchy.

– Więc mam wjechać w tę uliczkę?

– Tak. To mój dom! Och, mój dom!

Dziewczyna zatrzymała się przed bramą. Rose wysiadła. Kochała to miejsce. Po prostu je kochała!

– Napisałam tu dwadzieścia sześć książek! Dasz wiarę?

– Taki dom to miejsce stworzone do pisania.

Dziewczyna też wysiadła z samochodu. Czyżby chciała wstąpić na filiżankę herbaty?

– Z chęcią napiłabym się herbaty.

Pomalowana na biało brama jak zwykle była zamknięta. Rose sięgnęła po klucze.

– Cholera! Moja torebka. Chyba zostawiłam ją w domu.

Ta miła dziewczyna przeskoczyła przez bramę na wyłożone kostką podwórko i otworzyła ją dla Rose od środka. Wszystkie kwiaty zniknęły! Zostało tylko parę zmizerniałych krzewów w doniczkach. Ktoś zniszczył jej ogródek.

Zajrzały we dwie przez okno w kuchni. Może zostawiła torebkę na kuchennym stole? Ale to nie był jej stół. Rose miała staroświecki stół w stylu wiejskim, na tyle duży, że mogła na nim rozłożyć swoje bloki i farby. Ten stół był nowy i biały. Gdzie więc podział się jej stół kuchenny?

Rose nie była pewna, co potem się wydarzyło. Wiedziała tylko, że siedzi teraz na ziemi, a dziewczyna z makijażem gdzieś telefonuje.

– Do kogo dzwonisz?

– Spokojnie. Próbuję się tylko dowiedzieć, gdzie jest pani torebka.

– Zostawiłam w sklepie doritos. – Szminka tej dziewczyny była okropnie czerwona. – Och! Zadzwoń na policję! Proszę, wezwij policję! Mieszkam w Domu Opieki Zielona Przystań. Ludzie są tam zabijani. Proszę, wezwiesz policję?

Dziewczyna przestała rozmawiać i schowała aparat z powrotem do swojej torebki.

– Już wezwałam. Policja pani szukała, Rose. Przyjadą tu lada moment. Już dobrze, już dobrze.

Rose skinęła głową. Zielona Przystań. Ta nazwa wydała jej się tak urocza, gdy Chris po raz pierwszy ją wspomniał. Zielona Przystań. Myślała nawet o tym, żeby użyć jej w kolejnej książce.

– A gdy będziemy czekać, proszę opowiedzieć mi o swojej pracy. Skąd czerpie pani pomysły?

Mogła o tym mówić w nieskończoność! Co za przyjemne uczucie. Siedząc na meblach ogrodowych, które ktoś postawił na ogołoconym z roślin podwórku, opowiedziała dziewczynie o Vernonie. O tym, jak po jego śmierci odżyła na nowo, chociaż to nie znaczyło, że jej mąż był złym człowiekiem lub że macierzyństwo nie było dla niej źródłem satysfakcji. Po śmierci męża wróciła nawet do swego panińskiego nazwiska. Była przecież Rose Price, a nie Rose-wieczną żoną. Opowiedziała, jak wreszcie rozkwitła, gdy załatwiła już wszystkie sprawy

związane z pogrzebem. Opowiadała o festiwalach literackich, na które jeździła do Berlina, Chicago, Brisbane. O małych dziewczynkach, z którymi spotykała się w szkołach, a które z otwartymi szeroko oczami łapczywie chłonęły każde słowo z jej ust, gdy czytała im swe książki. Opowiadała też o Tilly, która była taką dzielną dziewczynką, jaką jej samej nigdy się nie udało być. Opowiadała bardzo długo, aż wreszcie zorientowała się, że jej opowieściom przysłuchuje się dwójka stojących na podwórku policjantów. Jeden wydawał jej się znajomy. Może to jakiś kolega Chrisa? Drugi wyglądał na piętnaście lat i odnosił się do niej dość opryskliwie.

– Gdzie masz swoją obrozę, Rose?

– Co takiego?

– Nieważne. Podobno próbowałaś sprowadzić pomoc. W jakiej konkretnie sprawie potrzebujesz pomocy?

Przydałaby jej się spora pomoc! Chciałaby na przykład pospacerować po mieście i przydałoby się, żeby ktoś ją tam podrzucił. Była głodna i z chęcią zjadłaby kiełbasę w bułce. No i przydałoby się jej całe mnóstwo roślin, bo ktoś wszystkie stąd zabrał.

– Jesteście panowie policjantami?

Starszy, ten bardziej uprzejmy, kiwnął głową.

– No więc ktoś ukradł moje rośliny.

Rozdział 21

Ciekawe, co ja bym napisała w swojej deklaracji opieki terminalnej. Niech no pomyślę. Chciałabym zapewne umrzeć w domu, w którym mieszkaliśmy razem z mamą. Jeszcze kilka tygodni temu poprosiłabym ją, żeby była wtedy u mego boku. Poprosiłabym ją też, aby udawała, że niebo istnieje, i tym swoim głębokim, poważnym głosem wymieniła wszystkie fantastyczne rzeczy, jakie mnie tam czekają. Skoro jednak mama nie żyje, chciałabym, żeby towarzyszył mi Paul. Żeby usiadł na łóżku i trzymał mnie za rękę. Nie! Wolałabym, żeby stanął przy łóżku i... Nie! Powinien usiąść w fotelu i przeczytać, nie... zaśpiewać... albo lepiej porozmawiać ze mną, właśnie tak, chciałabym, żeby porozmawiał o tych warsztatach teatralnych, na które chodziliśmy razem jako nastolatki, i o tym, jak byłam tak ponura, że nadawałam się tylko do odgrywania ponurych postaci. I o tych wszystkich filmach, które wspólnie obejrzelśmy, a potem rozkładaliśmy je na czynniki pierwsze, a Paul zawsze mówił: „Mylisz się co do punktu zwrotnego, Catherine, kompletnie się mylisz!”. I o tym, jak w tajemnicy przed wszystkimi zakuwałam do matury – do późna w nocy w jego lub w moim pokoju – i jak zataiłam moje oceny przed Giną i resztą, ponieważ same piątki wydawały mi się takie obciachowe, i o tym, jak bałam się pokazać je mamie, bo nie chciałam, żeby kazała mi zdawać na prawo lub coś podobnego, i o tym, jaka dumna byłam, gdy w końcu pokazałam jej te oceny. Zakładam, że poprosiłabym również Paula o to, żeby trochę się nade mną porozczulił. Żeby powiedział mi, jaka jestem piękna i że mnie kocha. Chciałabym, żeby opowiadał mi o mieszkaniu, w którym razem mieszkaliśmy, i o podróżach, które wspólnie odbyliśmy. Chciałabym kontynuować to, co zaczęliśmy – chciałabym kolejnego pocałunku, ale bez języczka, ponieważ mój język smakowałby zapewne śmiercią.

Ciekawe, jakiej muzyki bym sobie zażyczyła. Czy w ogóle poprosiłabym o jakąś muzykę? Sama nie wiem. Moje gusta muzyczne były dość krótkotrwałe.

Gdybym pisała to oświadczenie ponad miesiąc temu, z całą stanowczością zaznaczyłabym, że pragnę umrzeć, zanim się zestarzeję i stanę się cuchnąca, nudna, powolna i kłopotliwa. Poprosiłabym, żeby wszystko przebiegło szybko i bezboleśnie, bez strachu i najlepiej podczas snu. I z pewnością upierałabym się przy tym, żeby mieć wówczas na sobie przyzwoity oraz stosowny do okoliczności strój, na przykład moje urocze pasiaste spodnie od pizamy i świeży biały podkoszulek na ramiączkach (podobny do podkoszulka mamy!). Poprosiłabym Paula, aby dopilnował, żebym nie ślinała się w trakcie ani żeby po wszystkim moje usta nie zwisały rozdziawione i żeby ktoś natychmiast przytknął mi powieki, a jeśli zamierzaliby użyć w trakcie pogrzebu przedstawiających mnie zdjęć, to powinni je wybrać spośród moich fotek profilowych na Facebooku, ponieważ

wszystkie one były po prostu zajebicie obłędne. Ale nie poproszę o żadną z tych rzeczy.

Gdy się obudziłam, naprawdę dość długo zastanawiałam się, gdzie się znajduję. Łóżko było wygodne, pokój cichy, łagodnie oświetlony. Przez moment myślałam, że jestem w domu, ale potem ujrzałam przed sobą nieco wyraźniej obraz z widoczką, a chwilę później także poręcz przy łóżku i doszłam do wniosku, że zasnęłam w pokoju mamy w Zielonej Przystani. Nagle jednak przypomniałam sobie, że mama już przecież nie żyje, i ogarnęło mnie to przytłaczające uczucie, które niczym gorąca fala ołowianego smutku pojawiała się i zniknęła od jej śmierci, aż w końcu uświadomiłam sobie, że nie mam żadnego powodu, aby tu przebywać. Gdy próbowałam usiąść, przypomniałam sobie ostatnią rzecz, jaka przydarzyła mi się, zanim się tu obudziłam: widok Chrisa, który wyciąga rękę zza pleców, a potem mnie uderza. I od razu wiedziałam, że znajduję się w pokoju numer siedem.

Kumpela Giny padła raz ofiarą gwałtu na randce i od tamtego wydarzenia wszystkie przez jakiś czas zwracałyśmy baczną uwagę na nasze drinki. Tamta dziewczyna miała na imię Kate. Przyrodni brat Giny znalazł ją na parkingu pod barem. Była nafaszerowana ketaminą i spermą jakiegoś kolesia. Później powiedziała, że najgorsze w tym wszystkim było to, że nic z tego nie pamiętała, a mnie zawsze wydawało się to szurnięte, bo kto chciałby pamiętać, jak został brutalnie zgwałcony. Domyślałam się, że mnie podali coś podobnego. Wszystko wokół wirowało. Nie mogłam się ruszyć. Chciałam zerwać z siebie pasy i uciec, ale nie mogłam zrobić żadnej z tych rzeczy. W przeciwieństwie do tamtej dziewczyny ja już chciałam jak najszybciej o tym wszystkim zapomnieć.

Nie zostałam zgwałcona, przynajmniej na razie. Znajdowałam się sama w pokoju. Czy właśnie tutaj zamierzali to zrobić? Może nie. Może nawet w ogóle mnie nie dotkną. Może będą tylko przyglądać się, jak umieram. Zamknęłam oczy i otworzyłam je na nowo, nie wiedząc, dlaczego mogę poruszać jedynie powiekami, niczym więcej. Gdy więc weszli do środka – wszyscy ci ludzie, którzy przyjechali tu w środku nocy, żeby stanąć kręgiem wokół mojego łóżka – zamknęłam oczy i udawałam, że w ogóle ich tu nie ma. Może wcale nie będzie to takie trudne. Jeśli tylko nie będą chcieli zobaczyć strachu w moim spojrzeniu ani żadnego odbicia w moich oczach... Jeśli tylko nie będą próbowali mnie dotykać...

Scenografia była dość bezbarwna: tylko ja na łóżku szpitalnym, z pasami na rzepy opinającymi moje nogi, tułów i ramiona. Drzwi były zamknięte, słyszałam kroki i nagle męskie głosy. Och, przecież mogłam spróbować krzyknąć! Czemu wcześniej o tym nie pomyślałam? Aby krzyknąć, musiałam jednak otworzyć usta, a nie bardzo wiedziałam, jak tego dokonać. Przez kilka minut rozmyślałam nad mechanizmem mrugania i usiłowałam zrozumieć, jak mogłabym przełożyć tę umiejętność na otwarcie ust. Nie, nie byłam w stanie tego zrobić.

Obraz na ścianie naprzeciwko zaczął się ruszać. Masa zieleni na dole

rozkołysała się pod znajdującą się u góry nawałą barw. Znów zamknęłam oczy. Może uda mi się krzyknąć bez otwierania ust? Albo chociaż coś powiedzieć. Wydać z siebie choć jeden dźwięk. Nie. Niech ten obraz przestanie w końcu się ruszać! Te dźwięki, niech one wreszcie ucichną... to ciągle stuk-puk, stuk-puk do wtóru falującej zieleni.

Bam. Przestrzeń za obrazem nagle się zmieniła. Otworzyły się drzwi, weszli jacyś ludzie, drzwi znów się zamknęły. Jeśli potrafię mrugać, to na pewno mogę też krzyczeć. Proszę, usta, zróbcie to, co wam każe, i zacznijcie wrzeszczeć! Może gdzieś w pobliżu jest siostra Gabriella, może usłyszy mnie i przyjdzie mi na ratunek. Bo jak nie ona, to kto? Paul miał wpaść z jakimś jedzeniem. Otóż to. O ósmej. Czy już była ósma? Nie miałam pojęcia. Jeśli poszedł do mnie do domu, mógł pomyśleć, że zapomniałam albo wyszłam, albo zapadłam w głęboki sen. Pewnie zostawił mi wiadomość lub dwie, a potem wrócił do domu, żeby się uczyć. Nigdy nie mógł na mnie zanadto polegać: ciągle się spóźniałam (punkt szósty: problemy Catherine z punktualnością) albo przekładałam spotkania na inny termin (punkt siódmy: kiepskie zdolności organizacyjne Catherine), albo o nich zapomniałam (punkt ósmy: roztargnienie Catherine). Nie, Paul na pewno mnie nie uratuje, a poza nim nie miałam już nikogo.

W pokoju znajdowało się trzech mężczyzn. Nie, czterech. Nie, jednak trzech. W pokoju znajdowali się jacyś mężczyźni. Nie, była też jedna kobieta. Niska, pulchna, groteskowa do kwadratu. Harriet. Ale pozostałe osoby to mężczyźni.

– Pójdę tylko położyć Rose – oznajmiła Harriet. – Zastanawiałam się, czy potem mogę zrobić sobie tosta?

– Jasne, nie ma sprawy – odparł ktoś. – Wyłączę alarm jak zwykle, więc zachowaj czujność, dobrze?

– Tak, proszę pana – to znowu Harriet. – Proszę do mnie zadzwonić, gdy przyjdzie czas na przerwę, to nastawię czajnik. Przygotowałam już bufet. Przez całą noc będę w biurze. Powodzenia.

Domyślałam się, że większość planów filmowych wygląda dość nieciekawie, zanim jeszcze wszystko zostanie zainscenizowane. Ci ludzie mieli tyle do zrobienia! Laptop leżał na nocnym stoliku, kamera była skierowana na mnie. Jeśli przesunęłam lekko gałki oczne, mogłam zobaczyć na ekranie, jak wiję się pośrodku sceny, a licznik na dole strony pokazywał liczbę widzów, którzy oglądali transmisję na żywo w internecie.

– Pięćdziesiąt pięć osób w dwie minuty! – oznajmił jeden z mężczyzn. Chris, to na pewno był Chris. Elegancko się ubrał na dzisiejszy pokaz. Był podniecony. – Pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem! Zobaczcie sami!

Trzeba było sprawdzić dźwięk.

– Raz, dwa, raz, dwa – powiedział drugi z mężczyzn, przesunął sprzęt i powtórzył to ponownie. Jimmy, to był Jimmy. Witaj, Jimmy. W ustach trzymał skręta, zaciągnął się głęboko, po czym dmuchnął mi kłębem dymu w twarz. – Dobrze jest czasem pochichotać.

– Sześćdziesiąt osób, a jeszcze nawet jej nie przygotowaliśmy! Wyobraźcie sobie, co będzie się działo, gdy ją przeberzemy i zrobimy makijaż. – To powiedział z kolei Marcus. – Ile sprzedaliśmy biletów?

Najwyraźniej odpowiadał za stronę biznesową przedsięwzięcia.

– Jedenaście po trzy stowy i cztery po cztery. A pan F zarezerwował sobie chwilę na osobności, gdy już będzie po wszystkim.

Chris podliczał szacowane wpływy na kartce.

– Ile razem?

– Dwa tysiące za godzinę. JX też wypytywał. Może dostać kilka prywatnych sesji, w zależności od czasu. Może proponujemy mu tysiąc dwieście za pół godziny?

Chris, Marcus i Jimmy usiedli, jakby chcieli się naradzić, a przynajmniej tak to wyglądało. Mieli sporo do przedyskutowania przed akcją. Marcus chciał zaznaczyć, że podobnie jak ostatnim razem to nadzwyczajny przypadek i że ta strona internetowa nie została stworzona z myślą o torturowaniu lub zabijaniu, tego typu rzeczy nigdy nie były jego zamiarem. Chris wyjaśnił, że ja oraz ta poprzednia to tylko jednorazowe strzały, że nie mieli wyboru i że byliby szaleńcami, gdyby nie spróbowali spieniężyć tak trudnej i ryzykownej sytuacji. Marcus chciał wiedzieć, co się stanie po wszystkim z aktorką. Chris uspokoił go, że już o wszystko się zatroszczył.

Nie byłam w stanie zrozumieć wiele więcej. Mówili coś o wynagrodzeniu dla Harriet, o kwestiach bezpieczeństwa i anonimowości widzów, coś o tym, jak długo będzie działał narkotyk i w jaki sposób najlepiej zakończyć sprawę.

– Łagodna śmierć – zdecydował Chris. – Jak z ostatnią. Sam mówiłeś, że tu nie chodzi o torturowanie. A ona jest taka piękna i niewinna. Tak, łagodna śmierć.

W całym pokoju stały pudełka z chusteczkami higienicznymi, a obrazy na ścianach były zakryte jakimiś tkaninami. W pewnym momencie Chris zabrał się do obmywania aktorki. Czyli mnie.

W przeszłości zdarzało mi się wpadać w panikę. Na przykład gdy zgubiłam wszystkich znajomych na festiwalu T in the Park albo gdy wydawało mi się, że jestem w ciąży. Z perspektywy czasu jednak widzę, że nie przejmowałam się za bardzo tą kombinacją strachu i bezradności, bo natychmiast w jej miejsce pojawiała się adrenalina i determinacja, by znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. W tym przypadku adrenalina nie mogła mnie uratować, ponieważ z tej sytuacji nie istniało żadne wyjście. Spróbowałam zastosować mantrę mamy: „Po prostu o tym nie myśl”. Ale zostałam odurzona przez trzech mężczyzn, a teraz jeden z nich

oczyszczał mi twarz wilgotnymi chusteczkami. Zamierzali mnie zabić. Jak mogłam o tym nie myśleć?

Postanowiłam zastosować inną strategię: z inną Catherine, o której z taką naiwnością opowiadałam wcześniej. Po co rozmyślać o trudnych sprawach, po co cokolwiek planować, skoro z konsekwencjami będzie musiała sobie poradzić już zupełnie inna Catherine? Ale ta Catherine, która leżała teraz sparaliżowana i przywiązana do łóżka, była jedyną dostępną mi Catherine. Nie miałam więc wyboru, musiałam się martwić o jej obecne położenie.

Strach wypełniał mnie całą, próbował rozsadzić mnie od środka. „Mama była tu na moim miejscu”, pomyślałam. Ten sam mężczyzna przemywał jej twarz, ściągał z niej spodnie i ubierał ją w srebrną koszulę nocną. Ten sam osobnik z groteskową twarzą dyszał na nią, nakładając jej korektor, podkład, szminkę, kredkę do ust, róż i tusz do rzęs. W ten sam sposób wysuwał język między zębami, gdy pracował w skupieniu. Mam nadzieję, że mama była przynajmniej nieprzytomna, gdy starannie, wręcz czule czesał jej włosy, a potem układał je na poduszce. Marcus od czasu do czasu zerkał, jak się prezentuję na ekranie. Najwyraźniej wyglądałam całkiem nieźle, bo wystarczyło jeszcze tylko kilka ulepszeń: mniej różu na policzkach, zsunąć lekko ramiączko, właśnie tak, nie, jeszcze odrobinę, o tak, dokładnie o to chodziło! Już siedemdziesięciu trzech widzów i nic dziwnego, ponieważ:

– Wygląda ślicznie!

Chris i Jimmy wyszli z pokoju, żeby się odpicować, a Marcus usiadł na łóżku.

– Przepraszam cię za to, Catherine. – Pocałował mnie w czoło. – Nie bój się, nie zrobimy ci krzywdy. – Pocałował mnie w usta. (Krzyczcie, usta, krzyczcie!) – Jesteś taka śliczna, gdy leżysz nieruchomo.

Nakłuł mi ramię i umieścił w nim rurkę. Moja krew zaczęła spływać do butelki. A więc tak umrę, litr po litrze zostanę opróżniona z całej krwi. Ciur, ciur, ciur, kap, kap, kap, stu dziewięciu, stu dziesięciu widzów...

– Dziesięć minut do podniesienia kurtyny! – To znowu Chris. Z tego, co zauważyłam, on też zrobił sobie niewielki makijaż.

– Dziesięć minut, Catherine. – Marcus uśmiechnął się do mnie. – Będiesz boska.

Chris otworzył butelkę szampana, a tymczasem Gavin wtoczył do pokoju swoją katatoniczną żonę. Chris nalał wszystkim szampana.

– Wkrótce tu będą. Gotowi?

– Gotowi!

Brzdęk!

Zamknęłam oczy i zaczęłam myśleć o liście, którą zostawiłam na stoliku w salonie. Nie skończyłam jej pisać. Miała być bardzo długa, ponieważ istniało mnóstwo rzeczy, które chciałam zrobić w życiu. I choć jeszcze kilka tygodni temu nie miałam żadnych pragnień ani marzeń, teraz miałam ich miliony. Wydaje mi się, że mogłabym zrealizować wiele punktów z tej listy. Mogłabym się zakochać. Mogłabym być z Pauliem. Na myśl o tym nie potrafiłam przestać się uśmiechać, więc postanowiłam, że będę sobie tu leżeć i rozmyślać już do końca mojego życia o tym, jak Paul i ja się całujemy. Mmm...

Pamiętajcie o mnie, dobrze? Bo już nic więcej ode mnie nie usłyszycie. Jestem zdrową dwudziestotrzylatką o blond włosach i niebieskich oczach. Jestem szczupłą, wysportowaną i śliczną jak diabli.

Cholera.

Jeśli chcecie zobaczyć, co się ze mną stało, kliknijcie [tutaj](#).

Rozdział 22

82 lata

Może było to coś w rodzaju szumu w uszach, jakieś dzwonienie lub brzęczenie, które wypełnia całą głowę i sprawia, że świat wydaje się złowrogi. Albo też przypominało to bardziej serię snów, przeważnie koszmarnych.

Och, pieprzyć to, nigdy nie będzie w stanie tego narysować.

Zmieniła kolejną kartkę pełną gównianych idiotycznych zapisków, przechyliła szafkę nocną, tak że oparła ją jednym bokiem o łóżko, i odczepiła spod spodu dwa pudełka zapalek. Od kiedy się tu przeprowadziła, znalazła ich dwadzieścia siedem – to więcej niż jedno na miesiąc. Może to jakaś ukryta wiadomość, ale jeśli tak, to nie potrafiła jej zrozumieć. Ach, był tam też przyklejony telefon! Dostała go od Catherine. Naciśnij jeden do Catherine. Dwa – na policję. Odczepiła telefon i razem z jednym pudełkiem zapalek schowała go w kieszeni śpiochów w kształcie misia koala. Jedną z zalet siedzenia pod kluczem w tym pokoju było to, że mogła podpalić swoje żalosne wypociny bez narażania się na reprimendę niczym jakaś uczennica. Rose uwielbiała palić takie gówniane kawałki. Strząsnęła do kosza popiół po spalonej kartce.

Labirynt. Tak, dokładnie tym było to miejsce. Czy właśnie teraz na to wpadła? Nieźle to wymyśliła! Błąkała się po tym zapomnianym przez Boga labiryncie, a starannie przystrzyżone żywopłoty prowadziły ją tędy i owędy, aż w końcu nieuchronnie docierała do żywopłotu w kształcie lwa i wtedy wiedziała, że już tu wcześniej była, że w istocie nigdzie nie dotarła, tylko wciąż kręciła się w kółko.

Jej córka powinna przyjść tu z pomocą. A nawet obie, miała przecież dwie córki. Dlaczego któraś nie wołała do niej z wyjścia: „Tędy, mamó! Podążaj za moim głosem!”?

Przysadzista pielęgniarka weszła do pokoju, tak po prostu, nawet bez pukania. Rose nie знаła bardziej niewychowanych ludzi od tych, którzy tu pracowali. Pielęgniarka zaczęła pociągać nosem, wyczuwając w powietrzu swąd dymu.

– Znowu ukradłaś zapaliki z kuchni?

Rose oddała Harriet pudełko, śmiejąc się w duchu, ponieważ miała jeszcze jedno w kieszeni, a pod szafką nocną kolejnych dwadzieścia pięć.

– Pora spać!

– Nie jestem zmęczona.

– Właśnie, że jesteś.

- Wiem, kiedy jestem zmęczona, i mówię ci, że jeszcze nie teraz.
- Połóż się do łóżka, Rose, nie sprawiaj dziś żadnych problemów.
- Nie będzie żadnych problemów, po prostu nie jestem zmęczona.
- Dobrze! Kładź się. Do łóżka, już.

Harriet odrzuciła kołdrę i chwyciła mocno Rose za ramię.

- Robisz mi krzywdę.
- Nie, wcale nie.

Harriet ścisnęła ją jeszcze mocniej. Uszczypnęła ją. Według Rose to zdecydowanie kwalifikowało się jako uszczypnięcie.

- Uszczypnęłaś mnie. Przestań mnie popychać!

– Nie popycham cię. Już, już, połóż się do łóżka, grzecznie i miło, właśnie tak. Otwórz usta.

- Co to takiego?

– Twoja tabletką.

- Jaka tabletką?

– Ta, którą musisz zażywać. Proszę. Napij się trochę wody i połknij, o tak.

Rose udała, że połyka, lecz przesunęła tabletkę w ustach i ukryła ją pod językiem.

- A teraz wynoś się z mojego pokoju, ty wstrętna, wstrętna kobieto.

10 lat

Problem polegał na tym, że Rose była miastową dziewczyną. Wszystkie jej obowiązki domowe to były obowiązki miastowej dziewczyny. Nie radziła sobie najlepiej z dojeniem krów, brodzeniem w błocie i jedzeniem na obiad swojej ulubionej krowy. Ani też z rozpalaniem ogniska.

Próbowała już od pewnego czasu, ale nigdzie nie było tu żadnych gałęzi ani patyków, a szukała wszędzie. Gdy rozglądała się za podpałką, w głowie niczym echo wciąż rozbrzmiewały jej słowa ojca: „Jesteś samolubną dziewczyną, Rose Price”. Udowodni mu, że się mylił. Jeśli Margie była zbyt słaba, żeby dojść do lekarza, ona sprowadzi lekarza tutaj. Ale najpierw musiała rozpałcić ognisko.

Margie zawsze wydawała się nieco z innego świata, jakby od niemowlęctwa wiedziała, że będzie odmienna, chorowita, zdana na bliskich, i ta świadomość sprawiła, że na jej twarzy malowały się niezwykle spokojny oraz poczucie godności. Nigdy się nie skarżyła ani nie płakała. Niczym Beth z *Małych kobietek*! Nie, nie Beth! Beth umiera. A z Margie wszystko będzie dobrze. Rose musi tylko znaleźć podpałkę.

Ale wokół nie było żadnej podpałki. Rose tupnęła nogą ze złości. Musiała się spieszyć! Nie miała czasu szukać gałązek. Chwyciła to, co wpadło jej w ręce, czyli książkę z półki, zaczęła wydierać z niej kolorowe kartki i miąć je w kulki. Ale

jedna książka nie wystarczy. Wzięła kolejną i kolejną, i kolejną, w sumie trzydzieści. W furii wydierała z nich strony, układała je w stertę na ziemi i przykrywała twardymi okładkami, ogołoconymi teraz ze swoich głupich historyjek i rysunków. Jak na miastową dziewczynę udało jej się zbudować całkiem przyzwoicie wyglądające ognisko. Potrzebowała jeszcze tylko zapalek.

82 lata

Bzzz. Bzzz. Ten odgłos sprawił, że Rose odskoczyła od drzwi, które najwyraźniej próbowała otworzyć. W jednym z pokoiw ktoś nacisnął dzwonek. W biurze rozległo się brzęczenie. Rose usłyszała szuranie nóg.

– Tak, proszę pana, oczywiście – oznajmiła urzędowym tonem Harriet. – W porządku, za pięć minut wszystko będzie gotowe.

O Boże, no jasne, przypomniała sobie! Już słyszała kiedyś dokładnie taką samą wymianę zdań. Wiedziała, co nastąpi za chwilę.

Szuranie nóg po korytarzu, do jadalni, włączenie światła, nastawienie czajnika, kroki z kuchni do jadalni, tace postawione na stole, i jeszcze raz to samo, zdjęcie folii z tacy, kroki z jadalni do kuchni, gwizdanie czajnika, z powrotem do jadalni, trzy korki, które jeden po drugim wyskakują z szyjek butelek na wolność, kuchnia i z powrotem, filiżanki i kieliszki, jeszcze więcej kieliszków na stole, cisza. I wtedy nadeszła reszta, tak jak za każdym poprzednim razem. W noc, w którą umarła Bea. Gdy umarli Emma i Jason. Gromada kroków i szeptów sunących z pokoju numer siedem do jadalni, aż wreszcie ktoś zamknął drzwi i znów zrobiło się cicho.

Och, teraz to wszystko nabierało sensu, Rose wszystko sobie przypomniała i zrozumiała, choć naprawdę wolałaby niczego nie pamiętać i nie rozumieć. Wiedziała, że pewnie ominęło ją niejedno z tych małych nocnych zgromadzeń, ale co najmniej trzy razy, a może i więcej, była w swoim pokoju i słyszała dokładnie tę samą sekwencję zdarzeń. Szli do jadalni, zamykali drzwi i siedzieli tam przez pół godziny, ale co dziesięć minut ktoś wychodził i sprawdzał, co się dzieje w pokoju numer siedem. A więc Rose pozostało jeszcze dziewięć minut. To masa czasu.

Wsunęła rękę do kieszeni śpiochów. Ha. Zapalki i telefon. Rozpali ognisko, które zbudowała. Wsuwką do włosów otworzyła zamek w drzwiach i jak najszybciej pobiegła do pokoju numer siedem. Ku jej zaskoczeniu nie zamknęli drzwi na klucz. Byli strasznie pewni siebie. Rose weszła do środka, wyciągnęła igłę z ramienia Catherine, zwolniła hamulce przy kółkach, przy użyciu całej siły wypchnęła łóżko na korytarz i potoczyła je w kierunku drzwi frontowych. A tamci wciąż siedzieli w jadalni, gawędząc w najlepsze.

Na zewnątrz przez drzwi, w dół po pochylni dla wózków, przez wyspany żwirem podjazd, a potem po nierównej mokrej trawie. Szło jej ciężko, ale nie mogła się zatrzymać. Nie dawała już rady. Musiała odpocząć. Przystanęła, złapała oddech, wyjęła telefon i nacisnęła dwójkę.

– Mówi siostra Gabriella Nelson. Chciałabym zgłosić pożar w Domu Opieki Zielona Przystań w Clydebank.

A potem pchała i pchała, aż w końcu dotarła do drzewa i obróciła się, aby się przyjrzeć, jak jej więzienna cela jaśnieje ogniem, a z okien wydostaje się dym. Widzowie dzisiejszego pokazu nie wyszli na zewnątrz. Wciąż pewnie siedzieli w jadalni. Może nawet w ogóle nie czuli dymu, dopóki nie nadjechała straż pożarna.

Rose poczuła na dłoni słaby dotyk czyjegoś palca. Catherine. Rose pochyliła się nad łóżkiem, oparła czoło o głowę Catherine i zaczęła śpiewać. Jej głos jednak nie mógł zagłuszyć dźwięków dobiegających z oddali. Syren. Pisku opon. Komend wydawanych przez megafon: „Proszę się zebrać w ogrodzie różanym! Proszę nie opuszczać terenu ośrodka!”. Huku wody tryskającej z węży. Krzyków. Syren karetek i radiowozów. Kolejnych krzyków.

Wreszcie zaległa cisza.

Rose przestała śpiewać.

Choć w tej dziewczynie zostało już bardzo mało życia, użyła całej swojej siły, żeby uśmiechnąć się do Rose i powiedzieć:

– Zostałaś ze mną, Ro-Ro, zostałaś ze mną.

Rose także uśmiechnęła się do tej cudownej dziewczyny. Była tak dobra i kochana jak jej mała siostrzyczka, ale nie była jej małą siostrzyczką. Och, Catherine.

– To prawda! Zostałam z tobą. Zostałam z tobą, aniołku.

Podziękowania

Pragnę podziękować mojemu tacie, który zmarł na guza mózgu, oraz jego mamie, która cierpiała na demencję.

Serdeczne podziękowania dla Sergia Casciego, Liz Hopkin, Douga Johnstone'a i Luki Vestego, którzy czytali pierwsze wersje książki i dzielili się ze mną szczerymi i bardzo przydatnymi uwagami.

Dziękuję mojemu agentowi Philipowi Pattersonowi z Marjacq Scripts za to, że czytał tę książkę raz po raz i motywował mnie do dalszej pracy.

Dziękuję również wspaniałej ekipie z wydawnictwa Faber & Faber, a zwłaszcza Sarah Savitt, Katherine Armstrong, Sophie Portas i Trevorowi Horwoodowi.

Rozmowa z Helen FitzGerald

Dwie główne bohaterki *Jedynego wyjścia* dzieli ogromna różnica wieku: Catherine ma dwadzieścia trzy lata, a Rose – osiemdziesiąt dwa. Łatwiej było ci oddać głos kogoś młodszego od siebie czy też znacznie starszego, a może wiek bohaterów nie ma dla ciebie znaczenia, gdy siadasz do pisania powieści?

Nie chciałabym być uznana za osobę mającą uprzedzenia do ludzi starszych. Zależało mi jedynie na tym, aby przedstawić Catherine i Rose jako kobiety z krwi i kości, i mam nadzieję, że udało mi się nadać autentyczność ich postaciom. Przy ich tworzeniu czerpałam niewątpliwie z obserwacji mojej siedemnastoletniej córki, która podobnie jak Catherine zastanawia się, czym chce zająć się w życiu, i robi sobie mnóstwo selfie, a także mojej osiemdziesięcioletniej mamy, która dorastała w wiejskim gospodarstwie, a poza tym uwielbia pisać i rysować. Obie są mi bardzo bliskie i to z pewnością pomogło mi nawiązać bliską więź z Rose oraz Catherine.

Okazuje się, że kilka postaci *Jedynego wyjścia* skrywa bardzo mroczne sekrety. Czy uważasz, że większość ludzi ma jakieś tajemnice?

Mieszkam w okolicy pełnej identycznych eleganckich domów z tarasami z czerwonego piaskowca i często wyobrażam sobie, jakie tajemnice mogą skrywać się za ich murami. Może ktoś lubi przebierać się w damskie ciuszki? Ktoś zdradza lub bije żonę, a ktoś jest uzależniony od kokainy? A więc tak, uważam, że każdy z nas nosi w sobie jakąś tajemnicę, ale większości ludzi nie udaje się jej zachować dla siebie. Zawsze muszą się nią z kimś podzielić.

Oprócz pisania książek pracujesz również w opiece społecznej i zajmujesz się ludźmi przebywającymi na zwolnieniu warunkowym. Jaki to ma wpływ na twoją twórczość?

W obu tych zawodach kluczową rolę odgrywają dwie kwestie: empatia oraz ciekawość. Nie sądzę, żeby praca kuratora wpływała jakoś szczególnie na moje pisarstwo, po prostu bardzo lubię wykonywać oba te zawody. Jako pracownica opieki społecznej i jako pisarka mam do czynienia z ludźmi znajdującymi się w kryzysowej sytuacji. W obu tych zawodach muszę poznać sprawcę, zebrać informacje i oszacować ryzyko. I w obu muszę pamiętać, że zwykli ludzie są zdolni do robienia bardzo złych rzeczy.

Akcja *Jedynego wyjścia* rozgrywa się w hospicjum i część bohaterów musi zmierzyć się z perspektywą śmierci. Czy praca nad tą książką sprawiła, że zaczęłaś myśleć inaczej o śmierci, opiece terminalnej lub też eutanazji?

Mój tata zmarł kilka miesięcy przed tym, jak zaczęłam pisać *Jedynego wyjście*. Spędziłam z nim dwa miesiące, obserwując, jak guz mózgu pozbawia go stopniowo

poszczególnych umiejętności. Nieustannie sprawdzałam w internecie objawy występujące przy guzie mózgu i zastanawiałam się, w jakim stadium tata się znajduje, ile jeszcze czasu mu pozostało. Byłam obecna przy tym, jak pielęgniarka wypełniała z tatą jego deklarację opieki terminalnej. Zadawała mu przedziwne pytania, na które ja sama też nie byłabym w stanie odpowiedzieć („Czy chcesz nadal żyć, jeśli nie będziesz mógł chodzić?” Tata odparł: „No cóż, będę z tego powodu w bardzo kiepskim nastroju”). Opieka nad ludźmi umierającymi to coś, co wciąż nie daje mi spokoju. Po śmierci taty obejrzałam na przykład film *Miłość* Michaela Hanekego i wręcz obsesyjnie zgłębiałam temat eutanazji. Ale wciąż nie wiem, co o tym myśleć ani czego chciałabym dla samej siebie. Dopóki nie przydarzy się to nam bezpośrednio lub komuś z naszych bliskich, nie zdajemy sobie sprawy, jaki to głęboki i skomplikowany problem.

Rose jest dotknięta demencją, co sprawia, że nikt nie wierzy jej, gdy twierdzi, że w domu opieki dzieje się coś niedobrego. W jaki sposób szukałaś informacji na temat osób cierpiących na demencję? Czy trudniej pisać o demencji niż o wątkach, które znacznie częściej pojawiają się w powieściach kryminalnych, na przykład o morderstwie?

Moja babcia zmarła w wyniku demencji. Pamiętam, jak odwiedzałam ją w hospicjum prowadzonym przez siostry nazaretanki w Melbourne. Byłam durną osiemnastolatką, czułam się tam nieswojo. Pewnego razu, gdy jedna z pielęgniarek wyszła z pokoju, babcia powiedziała: „Ta kobieta próbuje mnie zabić!”. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc nie odezwałam się słowem, zlekceważyłam to. A co, jeśli babcia mówiła prawdę?

Przed napisaniem tej książki rozmawiałam z ludźmi dotkniętymi demencją. Przeczytałam wiele artykułów i blogów pisanych przez chorych oraz ich opiekunów. To niezwykle ciężka choroba, z którą na starość przyjdzie się zmierzyć jednej trzeciej z nas. Tak, uważam, że pisanie o demencji jest znacznie trudniejsze niż o morderstwie.

W swoich dwóch ostatnich książkach – *Jedynym wyjściu* i *The Cry* – penetrujesz mroczne zakamarki mediów społecznościowych, które stały się siedliskiem plotek, hejtu i wszelkiej maści przestępców. Co myślisz o Facebooku i Twitterze? Czy sama też doświadczyłaś na sobie oddziaływania tej ciemnej strony internetu?

Mój mąż napisał scenariusz filmu *The Caller* i przebywał na jego planie w Portoryko. Tak się złożyło, że mój znajomy z Facebooka był wielkim fanem Stephena Moyera (czyli wampira Billa z serialu *Czysta krew*), który grał w tym filmie główną rolę. Mąż podczas rozmowy przez internet powiedział mi, że Stephen Moyer czyta właśnie w łóżku moją książkę *The Donor*, a ja kilka minut

później wspomniałam o tym mojemu znajomemu na czacie. Dwie godziny później mąż dzwoni do mnie i mówi, że Stephen Moyer wystraszył się, bo jakiś bloger napisał o tym, co czyta w łóżku! Ups, mój błąd.

Kocham internet i zarazem go nienawidzę. Uwielbiam grupy internetowe, na których można podyskutować o pisaniu kryminałów. Poczucie koleżeństwa oraz wspólne żarty dają mi dużą siłę. Ale czasami robi mi się strasznie wstyd, gdy na przykład za bardzo się odsłaniam w sieci, a w przeszłości zdarzyło mi się paść ofiarą nieprzyjemnych komentarzy i zawołanych gróźb. Trzeba czasu, żeby nauczyć się kilku podstawowych reguł: nie pokazuj za wiele, nie tweetuj po alkoholu, pamiętaj, że to sfera publiczna i wszystko zostaje w niej już na zawsze.

Catherine ma w powieści dobre relacje ze swoją matką, ale obydwie coś przed sobą ukrywają. Często w swoich książkach mierzysz się z różnymi tematami tabu i ciekawi mnie, czy twoja mama czyta twoje książki.

Mama jest emerytowaną nauczycielką literatury, a do tego wspaniałą pisarką. Kiedy w końcu wysłałam jej mailem swoją pierwszą książkę, byłam przerażona, jak zareaguje na te wszystkie wulgaryzmy i sceny seksu. Wyczekiwałam nerwowo przez tydzień, aż wreszcie odważyłam się zapytać, czy już ją przeczytała. Okazało się, że e-mail do niej nie dotarł. Czuwał nade mną Bóg lub jakaś inna opatrzność. Wysłałam więc książkę raz jeszcze, prosząc mamę, żeby nie czytała strony pierwszej, trzydziestej trzeciej, od pięćdziesiątej siódmej do pięćdziesiątej dziewiątej i tak dalej. Oddzwoniła po trzech godzinach i powiedziała, że przeczytała wszystko. Żałowała, że jednak nie ominęła wymienionych przeze mnie stron, ale poza tym była ze mnie bardzo dumna. Od tamtego czasu jako jedna z pierwszych osób czyta wszystkie moje książki.

Twój mąż jest scenarzystą filmowym. Jakie są różnice pomiędzy pisaniem powieści a scenariuszy? Czy pomagacie sobie nawzajem przy pisaniu i redagowaniu?

Przy tworzeniu powieści trzeba być jednocześnie pisarzem, producentem, reżyserem i aktorem. Ty sam o wszystkim decydujesz, sam wypełniasz wszystkie puste miejsca. Mój mąż mówi, że od tych wszystkich nudnych rzeczy ma całą ekipę ludzi! Zanim zabrałam się do pisania powieści, próbowałam sił w scenariopisarstwie i był to dla mnie świetny poligon doświadczalny. Ale pisanie książek jest według mnie znacznie łatwiejsze. Przychodzi mi to bardziej naturalnie.

Piszę odpowiedzi na wszystkie te pytania, siedząc w łóżku. Jeszcze godzinę temu wpatrywałam się w pusty ekran i nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Napisałam więc do męża na Facebooku (oglądał na dole telewizję), czy nie przyszedłby na górę i nie pomógł mi trochę. Minutę później stanął w drzwiach z okrzykiem: „Super! Jest robota!”. Mąż pomaga mi absolutnie we wszystkim.

¹ Nawiązanie do dziecięcej rymowanki *Monday's Child*, według której dzieci urodzone w środę są pełne żalości (przyp. tłum.).

² Aluzja do: J. D. Salinger, *Buszujący w zbożu*, tłum. Maria Skibniewska, Iskry, [b.m.d.], s. 109.

Nastoletnia Catherine zajmuje się głównie przesiadywaniem na Facebooku i flirtowaniem z chłopakami, dlatego też – zmuszona przez swoją matkę – dość niechętnie przyjmuje pracę w domu opieki. Miejsce jest piękne i ma ustaloną renomę. Jednak dziewczyna szybko odkrywa, że Zielona Przystań skrywa wiele tajemnic.

Jedna z podopiecznych ośrodka, 82-letnia Rose, jest przekonana, że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo. Tylko że kobieta cierpi na demencję, więc co ona tam może wiedzieć i kto by jej w ogóle uwierzył... Staruszka tworzy mroczne rysunki, na których w tle zawsze widnieje pokój numer 7, i przestrzega dziewczynę, by trzymała się od niego z daleka. Gdy zaniepokojona Catherine postanawia w końcu sprawdzić teorie Rose, na jaw wychodzą przerażające fakty.

Świat stworzony przez FitzGerald jest tak rzeczywisty, że mamy wrażenie, jakbyśmy faktycznie się w nim znajdowali. Wszystko wydaje się tu moralnie niejednoznaczne: pozytywni bohaterowie nigdy nie są całkowicie dobrzy, negatywni zaś – nie są do końca źli. FitzGerald przedstawia ludzkie życie takim, jakie bywa ono w rzeczywistości – śmieszne, skomplikowane, straszne, przepelnione rozpaczą.

„Independent on Sunday”

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbkę książki



Zamówienia
www.burdaksiążki.pl
tel. +48 22 360 37 77

PATRONAT MEDIALNY

CHIP

